
ALMANACH
ROK
1928
J. HORBLIN.
ŚWIATA
KOBIECEGO
LIT.ART. W.GŁÓWCZEWSKI, WARSZAWA

TRZECI ALMANACH ŚWIATA KOBIECEGO

Z DRUKARNI I LITOGRAFJI PILLER-NEUMANNA WE LWOWIE

TRZECI ALMANACH ŚWIATA KOBIECEGO

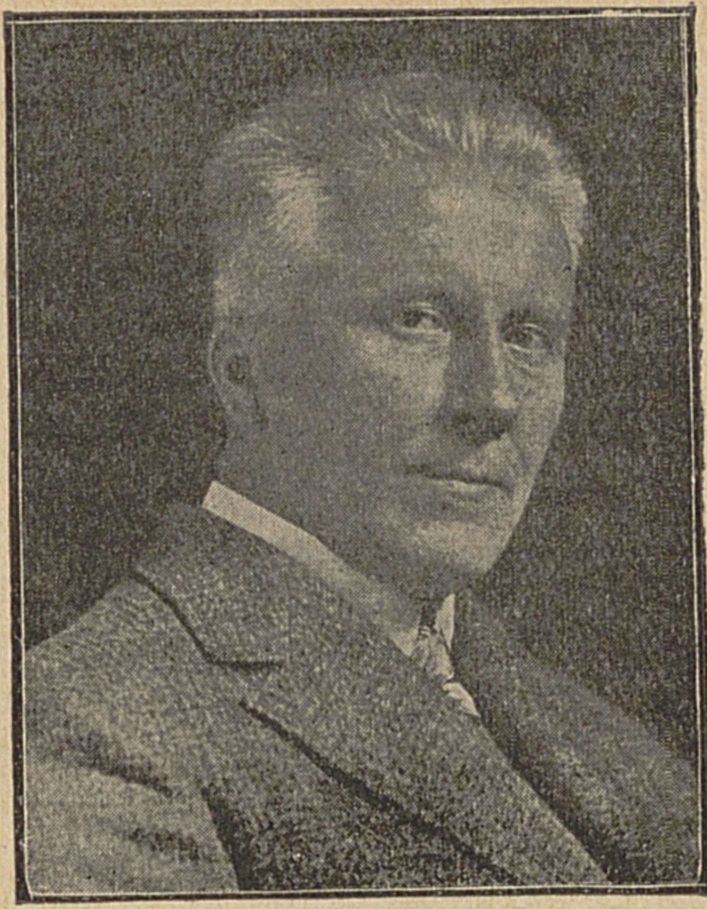
POD REDAKCJĄ

KONSTANCJI HOJNACKIEJ

NAKŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ B. POŁONIECKIEGO
WE LWOWIE MCMXXVIII

SPIS RZECZY

ZAMIAST PRZEDMOWY



WŁADYSŁAW WITWICKI

JAK CZYTAĆ WARTO

Nietylko w Polsce — nawet w Niemczech, gdzie analfabetów prawie że niema — narzekają wydawcy i księgarze na powszechny upadek czytelnictwa po wojnie. Powiadają, że na jaki taki zbyt mogą liczyć wyłącznie tylko nowości ostatniego dnia. I te mają żywot krótki — o książkę wczorajszą nikt nie pyta. Klasyków nikt poza szkołą nie potrzebuje. Powoli wymiera pokolenie ludzi, którzy jeszcze umieli coś kiedyś zacytować i poznawali cytaty z autorów klasycznych i nowszych. Ludzie mało czytają.

Wiele się na to składa. Naprzód to, że książka dziś za droga, jak na kieszeń wykształconego człowieka, a niewykształcony zawsze się bez niej obchodził. Potem to, że wolne chwile, które dawniej człowiek czytający spędzał z książką w ręku, dziś mu zabiera radjo, kino, sport a nie-

kiedy dancing. Może być, że tu przyczyna, a może i gdzieś indziej. Nieobojętne dla upadku czytelnictwa będzie u nas i to, że szkoła dąży stale do ograniczenia roli książki w nauczaniu i nietylko w wielu wypadkach nie wymaga od uczniów czytania, ale wprost zabrania im korzystać z podręczników. Te, jeśli są, muszą być możliwie zwięzłe i nie śmią narażać na trud przy czytaniu. Istnieją, prywatnym kosztem wydane, streszczenia nawet Pana Tadeusza i Trylogji sienkiewiczowskiej. Mają zbyt. Uwalniają od czytania oryginałów.

Czytanie nie jest w duchu epoki. Nie poradzi na to ani sprowadzanie zwłok poetów już nieczytanych, ani wydawanie kosztem Państwa wykładów z przed ośmdziesięciu lat, ani mundury akademickie dla starszych poetów, jeszcze żyjących. Musi zczasem przyjść nowa fala młodzieży i ta zacznie wbrew szkole i wbrew temu, co w domu widziała, nosić po kieszeniach książki na boiska i dyskusjami literackiemi wypełniać pauzy na meczach, a odczyty radjowe zostawi dla ślepych i dla analfabetów. Wtedy nawet w warszawskich lokalach zaczną do stołu przed jedzeniem i po niem podawać „coś do czytania". Nie tylko przedostatni numer „Muchy" u fryzjerów. Warto wierzyć, że taka fala nadejdzie, i spodziewać się dnia nad wieczorem.

Tymczasem z temi niewieloma osobami, którym jeszcze książka potrzebna do życia, warto się pokrótce zastanowić, czy ma sens i jaki czytanie takie, które jest stosunkowo najczęstsze u tych, co czytają wogóle, i jak właściwie czytaćby warto.

Bo, jakkolwiek zanikają ci, którzy książki kupowali i od wczesnej młodości pracowali nad gromadzeniem prywatnych bibljotek, nie brak i dziś takich typów, które pożyczają każdy, gdziekolwiek napotkany, romans i każdą chwilę nałogowych nudów zabijają nałogowem czytaniem byle czego. Dumasa czy Zevaco, cokolwiek wpadnie w rękę w formie niezbyt dużej książki, byle nie naukowej, to się odrazu przegina tak, żeby okładka była w środku a druk po obu stronach na wierzchu, i to się pochłania na kanapie. Szybko i bez śladu. Z pominięciem wszystkiego co nie jest rozmową, w niecierpliwem poszukiwaniu końca. W nastroju takim jak w kinie na średnio zajmującym filmie, jak pod-

czas patrzenia na fale z mostu, na mrowisko, na rojną ulicę z balkonu. Coś człowieka zajmuje, coś się rusza, coś zmienia, coś nie obchodzi osobiście, coś daje miłe roztargnienie i zajmuje czas.

Na drugi dzień już wylatuje z głowy treść, a na trzeci zaczyna się mieszać z inną treścią, pochłoniętą poprzednio lub następnie. Tytuł staje się znany i przybywa jedna pozycja „załatwiona", do której nie chce się za nic wracać, gdyby ta sama książka kiedyś drugi raz w rękę wpadła.

Przy takiej lekturze książka przesypuje się niejako przez głowę, niestrawiona. Tak, jak się obrazy prześlizgują po oczach, kiedy się ktoś w dobrem towarzystwie przechadza po wystawie, albo patrzy wychylony przez okno wozu kolejowego. Dużo widział, ale mało z tego ma, bo się nie zatrzymywał na niczem i nic nie robił z danym materjałem.

Co można z nim robić? On przecież jest tylko do czytania i do zarzucenia. Książka przeczytana ma wartość makulatury. To tylko nieznośne, że zwykle cudzej i trudno ją odszukać, jeżeli pożyczający jest pedantem i liczy na oddanie. Tak pomyśli niejedna osoba czytająca dużo, byle jak a prędko.

Otóż z tem, co daje dobra książka, można robić wiele. Można ją przetrawiać, a lichych wogóle czytać nie warto. Zwyczaj przetrawiania książek czytanych nie jest taki dawny. Znały go i uprawiały jeszcze nasze babki i matki nieco starsze.

Jak się to robiło? Do tego celu przedewszystkiem potrzebny jest własny egzemplarz książki, a nie pożyczony od znajomych albo, co gorsza, z wypożyczalni publicznej. Czytać powinno się zawsze z ołówkiem w ręku i, wbrew temu czego słusznie zabraniają przepisy bibljotek publicznych, robić w swojej książce podkreślenia, znaki i uwagi na marginesach. W nich się przecież wypowiada i utrwala osobisty stosunek czytelnika do tekstu. Widać, czy mu się dane miejsce podobało, czy napełniało go wstrętem, czy go gniewało, nudziło, śmieszyło, budowało, zachwycało, czy mu dany ustęp coś przypominał ciekawego, czy nie odnajdował w tekście siebie, albo kogoś z bliskich lub dalekich. A może mu się nasuwały uwagi ogólne obyczajowe albo stylistyczne, może w nim książka budziła jakieś tendencje,

pragnienia, może postanowienia, może jakiś żal, może wyrzut sumienia, a może znajdował w niej to, czego mu odmówiło życie. To wszystko może się jakoś wypowiedzieć krótko w znakach i słowach na marginesie książki. Ona się wtedy staje rodzajem pamiętnika i potrafi po latach odświeżać rozmowy, jakie czytelnik z jej autorem prowadził. Nie można jej byle komu pożyczać, ale dla najbliższych i bliskich taka książka z śladami nie czyichś palców, ale czyjejś duszy ma ogromną wartość. Pozwala obcować nie tylko z autorem, ale i z poprzednim czytelnikiem. Stwarza rozmowę we troje i to tych, którzy mają sobie coś do powiedzenia. Rzecz dobra a nie częsta. Zamieszczać dopiski na książce cudzej — co gorsza: publicznej — jest arogancją i nieposzanowaniem cudzej własności. Zamieszczać je we własnym egzemplarzu jest dobrem prawem każdego i może być cennym śladem czynnego pożycia z książką.

Drugi środek ułatwiający przetrawienie lektury — to wypiski z książek pożyczonych. Czasem zdanie jakieś uderzy, czasem olśni. Uwaga jakaś trafna a niebanalna, myśl, którą człowiek jakby przeczuwał a nigdy się nie zdobył na jej sformułowanie, czasem zwrot jakiś krótki, dosadny a niepospolity, jakieś przysłowie, jakieś określenie, porównanie, jakichś kilka wierszy, któreby się chciało mieć na własność, aby do nich wrócić innym czasem a może ich kiedyś użyć przy sposobności, nie zapominając o źródle. A może przeciwnie: miejsca których się nie znosi dla siebie, ale się w nich ma rysy charakterystyczne dla autora. W spuściznie po osobach minionego pokolenia zdarzają się grube notatki wypisków z lektury z datami — niekiedy z uwagami. To nieraz wyrazy przeżyć czytelnika, ujęte w słowa czytanego autora, albo czemś innem dla niego ciekawe ustępy, do których zamierzał wracać. Ciekawe zatem pośrednio i dla jego bliskich. Takie wypisywanie u jednych jednostek może prowadzić do tego, że się nietylko w mówieniu i pisaniu, ale nawet w cichem odczuwaniu rzeczy i zdarzeń zaczną wzorować na tem co przeczytały. Dla obcujących z nimi wielka plaga: słyszeć jak ktoś wzdycha i chrząka wedle czytanego wzoru i czuć jak zalatuje drukiem kiedy drzwi zamyka: nieledwie w każdym ruchu i słowie. Innemu to właśnie pomoże, aby to co sam czuje po

swojemu wypowiadał najprościej, i pozwoli mu oceniać wypowiadanie się drugich. W każdym razie zostaje wtedy coś z rzeczy przeczytanej na stałe — jakiś trwały ślad; nietylko na papierze, ale w kulturze duchowej człowieka.

Za komentowaniem i wypiskami idzie trzecia rzecz: omawianie treści i formy przeczytanych rzeczy w rozmowach z ludźmi bliskimi. Piękna sposobność do kontaktu duchowego i do wpływania na siebie nawzajem. O krok dalej idzie krytyka literacka a o jakieś piętro wyżej leży naukowa analiza estetyczna. To rzeczy nie dla wszystkich dostępne, ale czytanie czynne, z dopiskami, wypiskami i uwagami — to dostępne dla każdego myślącego człowieka, który sobie zdał sprawę z tego, że na tem korzysta wewnętrznie.

Już nie poruszam sprawy programu w czytaniu. Bo trzeba mieć dużo pieniędzy i wiele innych rzeczy na to, żeby sobie powiedzieć: w tym roku uzupełnię swoją znajomość literatury angielskiej, albo: spróbuję zrewidować swój stosunek do Szekspira, do Russa, do Zoli, czy do Goethego.

Większość ludzi czyta przygodnie. Co się trafi, co na wystawie lub na ladzie księgarskiej wpadło w oko. Ale i to należałoby czytać czynnie. Przetrawiając. Książka, która w pierwszych rozdziałach nie daje sposobności do tego, żeby coś z niej wziąć dla siebie — nie warta, żeby ją kończyć; książka, która coś daje, warta, żeby ją czytać drugi raz.

Mam wrażenie, że tylko tym sposobem czytająca publiczność stworzyć potrafi popyt na lepszą produkcję literacką: twórczą i krytyczną. Narazie czcimy tych, których nie czytamy, a czytamy wiele rzeczy, których nawet nie szanujemy.

CZĘŚĆ PIERWSZA

KAZIMIERA ALBERTI — KWIATY DZIECIŃSTWA

MARJA DĄBROWSKA — GONIEC

WACŁAW FILOCHOWSKI — ŚWIT, DZIEŃ I NOC

ZOFJA NAŁKOWSKA — SZCZĘŚCIE ZWIERZĄT

MARJI NIKLEWICZOWEJ — PRZEKŁAD POEMATÓW MAURYCEGO MAGRE — Z KSIĘGI ROZKWITAJĄCYCH LOTUSÓW

BEATA OBERTYŃSKA — TO SŁOWO

MARJA PAWLIKOWSKA — FRAGMENT KOŃCOWEGO AKTU »BRACI SJAMSKICH«

EWA SZELBURG — BUON PASTORE

MARYLA WOLSKA — KURANT

AURELJA WYLEŻYŃSKA — POCHWAŁA SAMOTNOŚCI



KAZIMIERA ALBERTI

KWIATY DZIECIŃSTWA

Otwieram wszystkie okna, przez które wdziera się ostra, świeża i wilgotna jeszcze woń wiosny.

Wychylam się i długo patrzę na pęczniejące gałązki drzew.

Ktoś wskazówkę na mojej tarczy posunął znów o jeden rok dalej, ale dzisiaj nie widzę tego.

Oglądam się za siebie. Jeszcze nie jest późno. Jeszcze dobrze pamiętam te wszystkie kwiaty, które przynosiłam do domu, w dłoniach stulonych i różowych od wiosennego chłodu, które przykładałam do dziecinnych policzków i nozdrzy, chcąc uczuć ich gładkość i miękkość, chcąc rozróżnić ich aromaty miodosytne.

Już tam gdzieś w mrocznych sieniach lasów otworzyły się błękitne, zdziwione oczka długoszypułkowych przylaszczek.

Już pewnie ząbkują pospolite, bezwonne, płaskie kluczyki, o listkach zwężających się nagle w ogonek, krótkowłosistych.

Już tam gdzieś na płatach ziemi nieurodzajnych a słonecz-

nych, z okryw trójlistnych, wyglądają kosmate, zwisłe, ciemno-fioletowe sasanki, zapylane przez długie, bolesne pocałunki owadów.

Już tam najpierwsze zawilce, o białych i różowych pyłkosypnych kwiatach przekwitły pewnie w cienistych zaroślach — a za miesiąc — kiedy to? — tak, w maju! zazłoci się gromadnie, na wilgotnych łąkach, jaskrawo lśniąca knieć błotna. Pamiętam całe pęki tej knieci, o liściach krajem karbowanych, okrągławo sercowatych, ciemno-zielonych.

Już tam, właśnie teraz, gdy krzaki nie mają jeszcze listowia — trójdziałkowemi kielichami, uśmiechają się gorąco-żółte pszonki wiosenne.

Już tam gdzieś nabierają jadowitych soków i barw zielonawozłotych pięciopromienne gwiazdki jaskrów, stulające się wieczorem, przed ostrym chłodem rosy.

Już pierwiosnki o pięciu krótkich ząbkach, z ciemniejszemi plamkami koło soczystych gardziołek, chwieją się na wyprostowanych, szorstkowłosych głąbikach.

Już białe główki śnieżyczek wychylają się z ramion liści wąskich, spodem grzbiecistych, modrawych i już kołyszą się na wietrze, maluteńkie, zrosłopłatkowe tarcze stokroci, o złotawych serduszkach.

Już na gałązkach iw grubieją szaro-popielate aksamitne węzełki-bazie, a dzika, ciernista tarnina otwiera mikroskopijne, o pięciu płatkach, białe piąsteczki.

Już owady przylatują na żółte kotki wierzb i piją miód, a rowy niedługo zniebieścieją od modrych źrenic niezapominajek, z jasno-żółtawemi zasklepkami.

Już w sadach zaśnieżyły się nad śnieg sklepiste arkady i złączone baldachy wisien, a w ogrodach, z gęstwy liści kończystych ostro piłkowanych, wychyliły się pióropusze czeremchy, o woni drażniącej i dusznej.

Otwieram wszystkie okna domu mego i pozdrawiam was, kwiaty dzieciństwa.

Śpiewam z wami.

Jak wy — modlę się do życia i rozkwitania.

Rokrocznie ktoś wlewa tętniące soki w wasze malutkie serduszka, gardziołka i dzióbki, prostuje wasze głąbiki, rozchyla pięcioząbkowe warżki i piąstki stulone i miodem napełnia wasze dzbanuszki, dzwonki i koszyczki chciwe.

Rok rocznie, ktoś niewidzialny, posuwa wskazówki na tarczy mojego zegara.

I rosnę. — I kwitnę.

I czuję w sercu mojem, żem wcale od was nie większa.

I czuję także, że z jednego źródła rodne czerpiemy soki, z ziemi czarnej, pachnącej, — matki naszej wspólnej.

Otwieram okna domu mego i nie widzę kwiatów tych dumnych, strzelistych, ręką troskliwą człowieka, pieczołowicie w cieplarniach hodowanych, ale widzę was niziutkie, proste, ledwo z nad trawy różowemi i błękitnemi języczkami wychylone kwiaty dzieciństwa, łąkowi i leśni moi przyjaciele.

Znam waszą falistość i gładkość, znam miękkość waszych króciutkich, ledwo widocznych rzęs złotych, znam bicie waszych pulsów żywych.

Znam wasze wielkie, w miłości żyjące rodziny, niekrzyżowane sztucznie ręką człowieka, ale takie, jakie was rozniósł po świecie wiatr boży, jakie wycałowały owady.

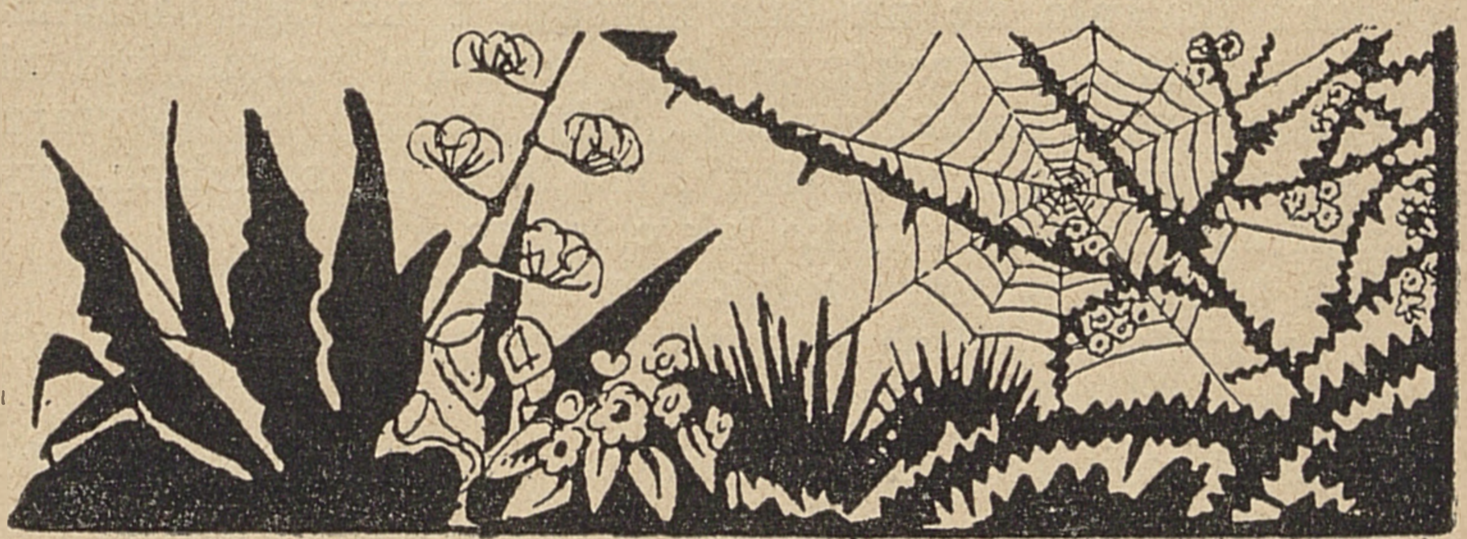
Nie chcę być ani lepsza, ani gorsza od was — chcę żyć jak wy na słońcu i na wichrze.

Od was nauczyć się szumienia.

A jeśli kiedyś ostatnia wskazówka stanie na tarczy mego zegara, przymknę oczy cicho, tak jak wy — po rozkoszy kwitnięcia wąziutkie przymykacie powieki — i już z wami kwiaty nadrzeczne, łąkowe i leśne — na zawsze popłynę.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Którejś wiosny wykwitniecie z prochu mego serca i może mi wyśpiewacie dzieciństwo moje, które było nieśmiałe i proste jak wasze różowe serduszka.





MARJA DĄBROWSKA

GONIEC

Do biura nastał nowy goniec.

— Ten nowy goniec nie jest bardzo przyjemny — dała się słyszeć wkrótce potem opinja.

— Tak, za dużo ma o wszystkiem do gadania. —

Nie był w istocie bardzo przyjemny.

Duży, za duży jak na gońca, łabaty, o rysach twarzy zawiłych, a jednocześnie prostackich. Wszystko na tem obliczu zdawało się nie tam kończyć i nie tam zaczynać, gdzie powinno. Jednakże w jego niedbałej postaci był nie ulegający wątpliwości wdzięk. Gdy siedział na korytarzu w sposób trochę rozleniwiony, lub biegł po schodach, wyglądał nie jak goniec tylko jak chłopiec.

Był odziany w starą żołnierską kurtkę.

Z początku dawał na wszystko baczenie z przesadną gorliwością, jak każdy nowy.

Później atoli dał spokój i zachowywał się w sposób sobie właściwy.

Jeżeli przynosił któremu z referentów urzędowe papiery — wyrażał zawsze swoje zdanie o tem, jak je załatwić.

— Niech pan to najlepiej podpisze — i poszle odrazu do pana naczelnika. — My ważniejsze papiery tak samo załatwialiśmy. — Odrazu referent podpisywał...

Czasem spojrzawszy na przeznaczenie teczki — zapowiadał porywczo:

— Ja z tem nie pójdę. Z tem może iść Onufer. Ja nie mogę długo po schodach chodzić. Jestem ranny i zaraz w boku mnie boli.

Tem osiągał cel. Wytrącał referenta z urzędowej sztywności i dawało się słyszeć zapytanie:

— A gdzie was tak urządzili?

— Pod Radzyminem.

Tu następowało poczęstowanie papierosem.

Kogoś kto był ranny pod Radzyminem nie można uważać za młodocianego.

Przyjmował papierosa z pewnego rodzaju drwiącem wahaniem.

Niebezpiecznie jednak było zaczynać z nim mówić o tych sprawach, gdyż natychmiast poczuwał się do obowiązku wyrażenia swojego sądu o całej kampanji wojennej.

Mówił o tem długo, przerywanym i gniewnym głosem. Krytykował plany wojenne dowódców, przeprowadzał sam swoje własne operacje wojskowe, sypał mnóstwem technicznych wyrażeń. Zniecierpliwieni jego nieobecnością woźni zaglądali niekiedy do pokoju, mówiąc:

— Ignac — dzwonek w piętnastym.

Ignac odwracał tylko głowę i sarkał:

— To Józio nie może iść?

Trzeba było dopiero poprzeć woźnego i całkiem stanowczo położyć koniec strategicznym wywodom.

Wówczas Ignac opuszczał pokój, trzymając w dwóch palcach niezapalonego papierosa. Po takiej rozmowie zwykle trudno go było jednak namówić do urzędowych czynności. Zdawał się dziwić, że po ujawnieniu jego karjery wojskowej uważano w dalszym ciągu za stosowne posyłać go z teczkami i z listami. Jeżeli zaś już poszedł, to usiłował brać udział w rozmowie urzędników — i dawał im znów

rady, jak możnaby ten lub ów z przyniesionych papierów załatwić.

Raz kiedy zaczęto przy nim mówić po francusku, powiedział gorączkowo:

Oui — oui — dając poznać, że i w tej rozmowie byłby całkiem na miejscu. Było to pretensjonalne i ośmieszyło go do reszty.

Nie — pomimo swej rany na froncie, nie był miłym, nie był dobrym gońcem.

Nie był właśnie, jak to się mówi, właściwym człowiekiem na właściwem miejscu.

Lecz jakie było jego miejsce?

Młodemu referentowi, który obserwował uważnie tego chłopca, wydało się raz, że ujrzał prawdziwe oblicze Ignaca. Było to nad ranem w sali posiedzeń biura. W sali tej był urządzony wieczorem koncert stowarzyszenia urzędników, po którym nastąpiła zabawa. Około piątej porozchodzono się, a młody człowiek, o którym było wspomniane, jako gospodarz zabawy, pilnował likwidacji bufetu i sprzątania.

Gdy to czynił, usłyszał, że w sali ktoś gra na fortepianie proste ludowe melodje.

Kto taki? Wszyscy już poszli. Zostało tylko dwuch gońców, którzy mieli zamiatać.

Zajrzał i zobaczył gońca Ignaca, grającego na fortepianie. Szczotka do zamiatania była oparta o pudło instrumentu. Chłopiec grał obydwoma rękami, dobierając akordy ubogie, lecz nie fałszywe. Pochmurne i nieskładne rysy jego twarzy stały się czyste i urodziwe.

— Kto cię nauczył grać?

— Bo to ja umiem? — spytał niemile zdziwiony.

— Fortepian stał roztwarty, więc chciałem spróbować jak to idzie. Tyle mówili o tym Paderewskim — a to nie taka znów sztuka.

— Chciałbyś zostać muzykiem?

— Ja? Niech mnie pan Bóg broni — i nagle z pogardą wygłosił szereg bezwarunkowych sądów, mających świadczyć o niższości muzyków.

Mimo to młody referent postanowił, że sam zacznie Ignaca uczyć na fortepianie. Lecz potem rzecz poszła w za-

pomnienie i po dawnemu Ignac nosił papiery, czyniąc nad wszystkiem swe niewłaściwe i nietaktowne uwagi.

Pewnego dnia rozeszła się po biurze wiadomość, że Ignac więcej nie przyjdzie, gdyż został zabity na ulicy przez konia.

Na ulicy? Przez konia?

Tak jest. Mimo że nie miał z końmi nic do czynienia — stojący koń dorożkarski kopnął go tak nieszczęśliwie, że zabił go na miejscu. — Podobno Ignac po drodze do biura zaczął dorożkarzowi wyjaśniać — jak należy zabezpieczyć konia przed ochwaceniem.

Inni powiadają że to był koń rozbiegany, i że go Ignac chciał zatrzymać.

Jak było naprawdę, nikt się już nigdy nie dowiedział.

Ignac przeminął niewytłumaczony, nierozwiązany jak zadanie z pomyłką — albo nieodpowiednie dla naszego wieku.





WACŁAW FILOCHOWSKI

ŚWIT, DZIEŃ I NOC

Dni senne, bo w bezsenne noce,
gdy świat w malignie się trzepoce,
ja, proszę pani, wiersze knocę.
Rankiem zaś kąpiel, natrysk, koce,
łuk, boks i floret, aż się spocę,
bo to materję dobrze zmienia.

Redakcja, spacer i obiadek,
gawędy, o czem myśli Dziadek?
Wizytka z pudłem czekoladek,
flirt z panną Dadą (będzie spadek!),
goście, brzęk plotek i szept gadek:
— Pięciu znów wzięli do więzienia...

Teatr — więc łóżko (rozpacz głucha!)
negliże: druh zwiódł żonę druha,
masz ziew od ucha aż do ucha.
Koniec. Powraca ci otucha.
Taksem do domu, wiatr i plucha —
— to szlak twych przeżyć i natchnienia.

Na stole kwiat od kogoś czeka,
poczta: list bliski, choć zdaleka,
owoce, szynki dziesięć deka,
w łóżku czytanka jakaś lekka...
Noc. I tęsknota do Człowieka
gorzką litanję wyszeplenia.

Kiedyż zawołam „Eureka“,
psiakość! (To tak neurastenja
się wścieka.)



ZOFJA NAŁKOWSKA

SZCZĘŚCIE ZWIERZĄT

Djana, duża popielata charcica, mój pies domowy, od szeregu lat pędzi dni swoje z Joke'iem, wyżłem bronzowo-gryczanym, młodszym od niej i usposobionym lekkomyślnie.

Wszystko od początku zbliżyło do siebie dwa te piękne zwierzęta: niewątpliwa sympatja, codzienne pożycie, wspólność miski i nawet wspólność materaca. Wszystko — oprócz rasy, na której odrębności oba psy były zresztą najzupełniej obojętne.

Piękność Djany, jej miłe, żartobliwe usposobienie, jej wdzięk niezaprzeczony musiały — mimo różnicy wieku — obudzić w Joke'u inne uczucia poza uczuciem przyjaźni. Djana jednak traktowała lekceważąco te młodzieńcze porywy, z wyrozumiałością dojrzałej piękności przyjmowała jego westchnienia, grzała się w płomieniach jego młodych uczuć, nie dzieląc ich jednakże, zaledwie tylko tolerując. Ale gdy szło o przepyszne gonitwy po pustych polach

jesiennych, o leśne zabawy, o myśliwskie sporty, gry i szaleństwa, Joke był dobry i nawet — można powiedzieć — jedyny.

Była dla niego doskonałą przyjaciółką, ale nie mogła być kochanką. — Tak się złożyły okoliczności, taka była wola nas, ludzi, z którą należało się liczyć. Inne bowiem, wyrafinowane motywy wchodziły tu w grę, motywy wyższe. Szło nam o czystość rasy przyszłych pokoleń, o niepokalaną doskonałość charciej piękności.

Przyjaźń psów była trwała, wypróbowana, ostająca się wobec przeciwności losu. Djana przyjmowała niekiedy odwiedziny psów ze swojej sfery, przepysznych chartów — głównie syberyjskich, ponieważ o staro-angielskie, jak ona, było trudno. Ukrywała się wtedy przed Joke'iem, udawała, że go nie rozumie, że nie słyszy jego jęków, jego lamentów rozgłośnych, że nie dostrzega jego bronzowego nosa, podsuniętego żałośnie pod próg wozowni.

Ale wkrótce przygodny mąż znikał, a śliczne, pełnokrwiste charcięta, które przychodziły potem na świat, dzieliły łoże z Joke'iem, ciągnęły go za uszy, gryzły w nogi i ogon i chodziły po nim, ponieważ w miękkości serca na więcej im pozwalał, niż wypadało. I patrząc na te igraszki, w których niekiedy sama Djana łaskawie brała udział, niktby nie pomyślał, że ta harmonja rodzinna jest tylko złudnym pozorem, że dzięki zobopólnej umowie maskuje się w ten sposób przed oczyma ludzkiemi zwyczajny skandal.

Tak, niewątpliwie dziwny był ten układ rodzinny — rezultat zimnych rachunków ludzkich i przemocy. Djana zawsze odrazu godziła się na to, czegośmy chcieli — ale co ją kosztowały te ofiary, nie wiedział nikt. Jej równe, zgodne usposobienie długo wprowadzało nas w błąd. Miły, wąski pysk wyrażał zawsze życzliwość, a spojrzenie było łaskawe i uprzejme. Nikt więc w sprawę jej uczuć głębiej nie wglądał.

A jednak trudno było nie widzieć, że współżycie tych dwojga zwierząt było czemś więcej, niż zwykłą przyjaźnią.

Wobec narzuconych przez nas stosunków, Joke poczuwał się też do zupełnej ze swej strony swobody. Nie można było mu się dziwić, że korzystając z każdego zamieszania, wymykał się z domu na długie godziny włóczęgi.

Ale my patrzyliśmy na to złem okiem. Bo Joke jest pięknym wyżłem i parokrotnie już ginął, zatrzymywany przez takich, co poznali się na jego wartości. Gdy więc jego wycieczka przekraczała wszelką miarę, gdy wracał z niej na drugi dzień dopiero — zabłocony, zmoknięty i niewyspany — dostawał bicie.

Nie byłam zwolenniczką tej metody. Ale niewiele miałam w tej sprawie do powiedzenia, bo nie znam się na polowaniu i żadnego wogóle pojęcia nie mam, czego się od psa myśliwskiego wymaga. Musiałam tedy milczeć, tłumiąc własne uczucia.

Jednak okazało się ostatecznie, że słuszność miałam ja właśnie — jak zwykle. Bo Joke, bity za powrotem, wogóle przestał wracać, skoro już raz wyszedł. I trzeba było przedsiębrać specjalne poszukiwania, organizować całe wyprawy, by go odnaleźć i do domu sprowadzić.

Na szczęście miasto było nieduże i pełne różnych znajomych. A Joke należał do psów popularnych, jego lekkomyślne obyczaje były szeroko znane. Najczęściej więc znalazł się ktoś, wiedzący o co chodzi, łapał Joke'a na ulicy i przyprowadzał go do domu. Zdarzało się też, że sygnalizowano poprostu telefonicznie z miasta, iż Joke znajduje się tam a tam i szło się po niego ze smyczą.

Skończyło się wreszcie na tem, że wszelkie bicia ustały, pies po powrocie dostawał zwyczajnie jeść i był przez czas jakiś pod ściślejszym nadzorem. A cała sprawa sama się jakoś wyczerpała i przycichła.

Ale okres tych pedagogicznych doświadczeń i błędów tem był pożyteczny, że dał nam poznać prawdziwe duchowe oblicze Djany, jej wrażliwe i oddane serce.

Kiedyś właśnie Joke wrócił z takiej swojej wyprawy jakoś sam i z wyraźnem poczuciem winy w całej fizjonomji przemknął się na zgiętych łapach, szorując zabłoconym brzuchem po ziemi, ku wspólnemu posłaniu. Djana pozwalała mu przytulać się do siebie nawet gdy był zabłocony, więc wcisnął się za nią i ułożył od strony ściany, by go jak najmniej było widać.

Tym razem nie było w domu pana, więc kara mogła Joke'a minąć. Ale surowa dyscyplina panowała jeszcze naówczas, przystawszy więc z konieczności na samą za-

sadę, nie mogłam dopuszczać w niej jakichś nieusprawiedliwionych wyjątków. Musiałam chociaż zamarkować wymiar sprawiedliwości. Wzięłam tedy smycz i zamierzyłam się na Joke'a, nie mając zresztą intencji naprawdę go uderzyć. Szło o to jedynie, by mu pogrozić, by gorzkie słowa wyrzutów, któremi obsypywałam go jednocześnie, zilustrować gestem.

I wtedy zobaczyłam rzecz zadziwiającą. Djana, obok Joke'a leżąca, podniosła się nieco, swym uroczym ruchem wyciągnęła przednią łapę i machnęła nią naprzeciw smyczy, odparowała niejako ten cios.

Myślałam, że to mi się tak wydało, i spróbowałam jeszcze raz w ten sam sposób zagrozić Joke'owi. I Djana znowu podniosła swą łapę przeciwko mnie. A gdy mimo to jeszcze udawałam, że mam zamiar go bić, posunęła się szybko i swem szarem, płaskiem, jak u karpia, ciałem nakryła Joke'a — sobą osłoniła go przede mną, wystawiając się sama na ciosy.

Stała się w moich oczach taka rzecz, jak z bajki. Chłód i obojętność Djany były więc złudnym pozorem. Oto do czego umiała się posunąć, gdy młody jej przyjaciel znalazł się w niebezpieczeństwie.

Wzruszona, uściskałam oba psy, szlachetną Djanę i lekkomyślnego Joke'a. I zdaje się, że nawet od tej chwili karanie Joke'a za ucieczki z domu się skończyło.

Innym razem gorzej jeszcze było z Joke'iem.

Zabrany samochodem na polowanie o trzydzieści kilometrów od miasta, Joke z właściwem sobie roztrzepaniem zapodział się gdzieś w lesie. Odjeżdżając stamtąd, nawoływano go i szukano napróżno. Gdy zapadła noc, trzeba było wracać bez psa.

Nazajutrz pojechaliśmy w to samo miejsce, by go szukać. Parę godzin chodziliśmy po uroczych drogach leśnych, widzieliśmy pośród puszczy całe pola sasanek i kwitnące, różowe, pachnące gałęzie wilczego łyka. Słyszeliśmy głośne śpiewy wszystkich ptaków aż do zachodu słońca, aż do wiosennych ciemności. Ale Joke'a nie było.

Na trzeci dzień jeszcze raz szukaliśmy go napróżno. Tylko ludzie we wsi, leżącej najbliżej puszczy, mówili, że widziano

tam takiego psa, ale biegał daleko i uciekał, gdy chcieli go zawołać.

Obiecaliśmy nagrodę temu, kto psa złapie i przyprowadzi i pogrążeni w smutku wróciliśmy jeszcze raz do domu.

I oto nazajutrz, wczesnem ranem, Joke przyszedł sam.

Aż trudno było w to uwierzyć. Przeszedł sam te trzydzieści kilometrów w straszliwą ulewę, która trwała przez całą noc. Przeszedł trzydzieści kilometrów z nieznanego lasu po szosie najruchliwszej, gdzie co dnia przejeżdża setki wozów i samochodów, przyszedł, mając za wskazówkę tylko ślad kół naszego samochodu, pachnącego jak każdy inny.

Cóż to za nos mieć trzeba i jaką domyślność serca, by pośród miljona zapachów, w deszczu ulewnym i wietrze, rozeznać węchem i tęsknotą, którędy przemknęła dżdżystem i wietrznem powietrzem nasza o niego troska i zgryzota.

Jakkolwiekbądź — tak jednak się stało. I Joke wrócił, ukazał się na progu — zupełnie mokry, ociekający wodą, chudszy o połowę, trudny do poznania, prawie nieprzytomny. Witany tak radośnie, nie cieszył się wcale, nie miał siły. Nie chciał nic jeść, nos miał gorący, gorące uszy, łapy rozpalone i drżące.

Położył się na legowisku przy Djanie, a ona schylała się nad nim i obwąchiwała go z największą troską. Nie miała do niego żalu. O nic go nie pytała i nie robiła mu żadnych wyrzutów, że nabawił ją tyle niepokoju. I wreszcie różowym swoim językiem zaczęła lizać jego brudne, mokre kudły, jego gorący łeb...

Musiałam wkrótce później stamtąd wyjechać i nie widziałam moich psów przez szereg miesięcy. Gdy znów wróciłam do domu, znalazłam w nim wielkie zmiany.

Wszystko poszło stąd, że w czasie mej nieobecności puścił ktoś fałszywą pogłoskę, iż suka w wieku Djany nie może więcej mieć szczeniąt. Odrazu to jakoś wzięto na serjo i przestano się Djaną pod tym względem interesować.

Otóż gdy wówczas po dłuższej niebytności wróciłam do domu, zastałam tam poprostu nowego, trzeciego psa.

Był to szalony, wszystko gryzący szczeniak, cały dom trzymający pod terrorem, szkaradny kłębek burej sierści,

najeżonej zębami i pazurami. Mała ta suka, nazwana poza memi plecami Zulą, była jedyną nową córką Djany. Córką Djany — i Joke'a!

Byłam oburzona do głębi tym widokiem. Powiedziałam aby mi natychmiast zabrano to zwierzę, że nie chcę widzieć go na oczy! Nie byłam ani trochę ciekawa, co z tego wyrośnie — ja, której tyle chluby przysparzały zawsze dzieci Djany! Kora, Zoryna, Safona, Szary Brat i Biała Siostra, Ralph III, Titina, Rex — ach, kto je wszystkie przeliczy, te śliczne, pełnokrwiste charcięta, sławę jej i mego imienia szeroko roznoszące po świecie!

Ale cóż? Mimo moich gniewów Zula została w domu poprostu dlatego, że nikt jej wziąć nie chciał. I trudno się temu dziwić, gdy się widzi to monstrum o łbie wyżła i kadłubie charta, porośnięte centkowanem, bronzowem i szarem futerkiem, zadowolone z siebie, zadzierzyste i nieznośne.

Cokolwiekbym jednak o tem sądziła, Djana, Joke i Zula stanowią szczęśliwą, kochającą się rodzinę. Śpi ta trójka na jednem legowisku, razem jada, razem odbywa spacery, nie rozstaje się ze sobą ani na chwilę. I oboje rodzice z najgłębszą równowagą umysłu, z tkliwą pogodą oddają swoje uszy i ogony na pastwę strasznym zębom Zuli. Bo przesąd rasy i demon ambicji nie zakłócił naiwności ich dusz, zwierzęcych i dobrych.



MARJA NIKLEWICZOWA

przełożyła

Z KSIĘGI ROZKWITAJĄCYCH LOTUSÓW

POEMATÓW MAURYCEGO MAGRE

WYŻSZA WIEDZA

Powiedziała mi: „Jestem bardzo wykształcona. Gdy miałam lat trzynaście umiałam już tkać, jako czternastoletnia — szyć różne ubiory, jako piętnastoletnia nauczyłam się grać na lutni, a w rok później ślicznie tańczyłam. W wieku lat osiemnastu kierowałam twoją służbą, ogrodnikami i ludźmi, którzy niosą lektykę“.

Odrzekłem: „Nie umiem nic. Starałem się odgadnąć tajemnice ukrytych prawd i pozostały nieprzeniknione. Próbowałem uchwycić nieznane prawo, rządzące rytmem poezji, lecz i to mi się nie udało. Nie rozumiem nic z tego co mnie otacza. Nie wiem czemu śmiejesz się ani czemu płaczesz, i choć mam cię tuż przy sobie — jesteś dla mnie największą zagadką wszechświata“.

Wówczas roześmiała się radośnie na myśl o wyższości swej wiedzy i poczęła tańczyć po pokoju. Nagle stanęła, spojrzała w górę i, jak gdyby zdjął ją żal nade mną, podeszła ku mnie ze słowami: „Jest jedno, co czyni cię jeszcze większym nieukiem: ja umiem cię kochać, a ty nawet nie wiesz, że cię kocham".

OBAWY PADMANI

W samym środku kniei odnaleźliśmy rzeźbiony w zielonym kamieniu posąg nieznanego bóstwa. Padmani uciekła, lecz zawróciła niebawem.

Powiedziałem jej:

— Bóstwa nie czynią nam zła, zło jest jedynie w sercach ludzi.

Gdy wracaliśmy ku domowi, na drodze minęli nas podejrzani włóczędzy. Padmani uciekła, lecz zawróciła niebawem.

Powiedziałem jej:

— Zwierzęta nie są niebezpieczne. Spójrz, jak kijem odsuwam skorpjona.

A ona złożyła dłonie, mówiąc:

— Jakżeś odważny, mój najmilszy!

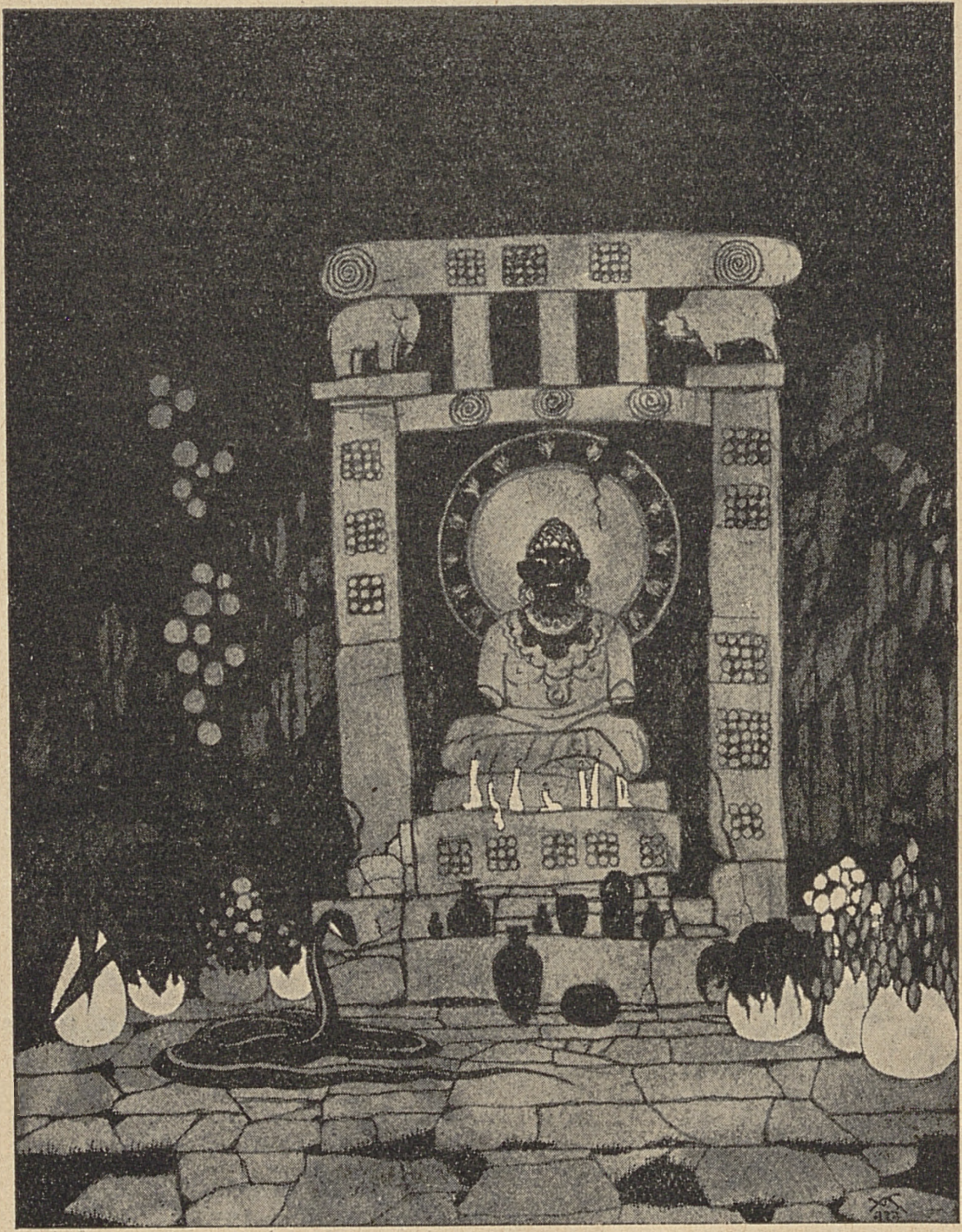
— Tak, jestem odważny — odparłem — skoro patrzę w oczy tej którą kocham, w twoje piękne oczy, i nie lękam się zawartej w nich groźby, zamiast uciekać jak najdalej od ciebie. Wiem przecież, że dla mojej duszy jesteś niebezpieczna bardziej, niż zapomniane bóstwo, niż człowiek zbłąkany, niż skorpjon na progu.

Wówczas Padmani roześmiała się i rzekła:

— Gdybyś uciekł, uczyniłbyś to samo co ja: zawróciłbyś niebawem, najmilszy!

PAWIE PIÓRA

Na balkonie ujrzałem bardzo piękną kobietę. Przez lekką szatę przeświecała biel jej ramion, strojna była w klejnoty, nakształt bożyszcza, a twarz skryła napoły za wachlarz z lśniących pawich piór.



RZEŹBIONY W ZIELONYM KAMIENIU POSĄG NIEZNANEGO BÓSTWA.

Niepomny na idącą obok mnie Padmani, wpatrywałem się długo w nieznajomą, gdyż balkon zwiększa piękność kobiety o cały czar tajemnicy znajdującego się za nią pokoju. Pragnąłem, by mnie zauważyła, wyprostowałem się i zwróciłem w jej stronę.

Padmani nie rzekła nic, lecz w sposób śmieszny zaznaczała swoje milczenie, a ja pomyślałem później, iż uraziło ją spojrzenie, które zatrzymałem tak długo na innej.

Spytałem: — Czem zasmuciłem cię, Padmani? Może jesteś zazdrosna o piękną kobietę z balkonu? Wypowiedz swój smutek, bym go mógł rozprószyć.

— Przykro mi — odrzekła — gdy myślę o lśniących piórach wachlarza. Paw, który się ongi w nie stroił, nie będzie ich już roztaczać tęczowym kręgiem. Jakże okrutni są ludzie dla ptaków! Czyż nie wiedziałeś, że ulubionym moim ptakiem jest paw?

CUDOWNA PODRÓŻ DO CHIN

Opowiadałem Padmani o cudach, jakie widziałem w czasie podróży do Chin. Opisywałem jej pałac Nieśmiertelnej Radości, fontannę Skrzydlatych Smoków w ogrodach Jeholu, Srebrne Jezioro o trzystu kryształowych kioskach rozrzuconych u stóp wzgórza z błękitnego kruszcu, wyspę milczących pagod i, harmonijny, jak doskonałość opanowanej myśli, grobowiec Konfucjusza.

Opowiadałem Padmani o uroczystościach, w których brałem udział, o święcie Siódmego Wieczoru, gdy z orchideją w dłoni zstępuje wysłaniec niebios, o święcie Władców Trzech Światów, gdy rodzi się duch życiodajnej siły. Opisywałem procesje w czasie święta Księżycowego Starca, kojarzyciela małżeństw, i olśniewające stroje mistrzów ceremonji, jak również tych, którzy pilnują kolejności przyklękań i pokłonów; opowiedziałem jej, jak na górze Fu-Czen odbywa się obchód latawców.

Padmani słuchała w milczeniu, i czułem, iż chce zadać mi jakieś pytanie, a ze wszystkiego co mówiłem jedno ją tylko pochłania, ku czemu wyciąga wiotką szyję i spogląda źrenicami z ciemnego nefrytu.



STROJNA BYŁA W KLEJNOTY, NAKSZTAŁT BOŻYSZCZA

— Jakiego koloru były latawce? — spytała.

— Wszystkich kolorów tęczy!

Wówczas zatraciła się w marzeniach...

Opowiedziałem jej jeszcze o tajemniczych snach palacza opjum, o przesądach dziwnych, niezwykłych przygodach i niebezpieczeństwach, jakie napotkałem, o menażerjach dzikich zwierząt w Makao, o przybyciu portugalskiej floty do Liampo, o tem, jak wymknąłem się korsarzom, o wielorybach, które minęliśmy zdaleka, i o wszystkich dziwach, spotykanych przez podróżnika w Chinach.

Padmani słuchała w milczeniu, lecz słowa uderzały jej słuch, nie sięgając duszy. Gnębiło ją jedno jedyne zagadnienie, ciążąc na jej głowie bardziej, niż kask jej mrocznych włosów.

— Czy chińska mimoza pachnie inaczej, niż mimoza z naszego ogródka?

— Pachnie zupełnie tak samo, o Padmani. — Westchnęła z głęboką ulgą, jak gdybym odjął jej wielkie zmartwienie, i rzekła:

— Na cóż się zdało jechać do Chin? Tak nam tu dobrze obojgu.

ULICA SMUTKU

Tę krótką, krótką uliczkę, wijącą się w błękitnym cieniu tamaryksów, co wychylały się ponad murami — zwałem ulicą radości.

Przebiegałem ją w jednym porywie i prószyłem za sobą garść zerwanego po drodze listowia.

Twój domek stał z prawej strony drogi, niski domek o drzwiach z czarnego hebanu: zwałem go domem szczęścia.

Pokój, w którym spoczywałaś pod przejrzystą barwną zasłoną, chroniącą cię od ukąszeń moskitów — pokój ten, w którym przeżyłem tyle upojnych godzin — zwałem pokojem wspomnień.

Dom twój stoi do dzisiaj z prawej strony drogi. Tamaryksy sączą błękitny cień. Lecz ulica ta och! jakże się dłuży — i zwę ją ulicą smutku.



NA JEDNEJ Z ULIC BENARESU ŻEBRAK WYCIĄGNĄŁ KU MNIE RĘKĘ

Na jednej z ulic Benaresu kobieta skinęła na mnie z okna i uśmiechnęła się, a ja udałem, że tego nie widzę. Wróciłem tam o zmierzchu. Okno było już zamknięte.

Na jednej z ulic Benaresu żebrak wyciągnął ku mnie rękę, a ja odwróciłem głowę, przyśpieszając kroku. Nagle przypomniałem sobie nauki proroka i zawróciłem. Żebraka już tam nie było.

Na jednej z ulic Benaresu mułła ukazał mi w dali rzeźbione odrzwia meczetu: minąłem je. Gdy później modlić się chciałem, napróżno błądziłem wzdłuż bazarów i bambusowych opłotków.

Przez całe życie osypywał się za mną czarny różaniec straconych sposobności. Jesteś szalony, jeśli nie wiesz, iż nadchodzi godzina, gdy nie spotkasz kobiety, żebraka, ni Boga!

TRZYKROTNE PUKANIE ISTOTY NIECIERPLIWEJ

Gdy do moich drzwi zapukał ktoś potrzykroć — nie śpieszyłem, by mu otworzyć. Powoli zamykałem flakon różanego olejku, odłożyłem rękopis poety Mira... Któż wie, ażalim pobłądził, nie śpiesząc skwapliwiej ku drzwiom?

U wrót nie zastałem nikogo. Jakaś niecierpliwa istota zapukała do nich i nie czekając — odeszła. Czyż biec należy, gdy przyjdzie do nas szczęście, i jakże odgadnąć, czy szczęście, czy też nieszczęście potrzykroć puka u wrót?

Ulica była prawie pusta. Spytałem człowieka, który roznosił wodę, czy nie widział, kto odszedł stąd. Lecz on uśmiechnął się tajemniczo i nie odpowiedział. Byłaż to stracona pomyślność, czy ból, któremu powolność moja oddalić się pozwoliła?

Śród zielsk, co wzeszły między płytami chodnika, dostrzegłem zgubioną różę. Podniosłem ją: nie miała woni, jakgdyby nie chciała zdradzić tajemnicy kobiety, która ją uroniła.

Rękopis poety Mira otworzyłem na stronie, założonej przed chwilą. Lecz zbłąkały się myśli, a wiersze skrzydlate musnąć mnie w przelocie nie mogły. Nasłuchiwałem, czy żaden odgłos nie dotrze do mnie z opustoszałej ulicy. Zamknąłem rękopis, zamiast zakładki stronicę znacząc różą. Och — jakżeż odgadnąć, czy szczęście, czy też nieszczęście potrzykroć puka u wrót?

NOC, W KTÓREJ UMARŁY MAKI

Pokój był pełen rozkwitłych maków, gdy wiatr uchylił okno.

Leżałem śród barwnych poduszek, oczekując śpiewu słowika.

Lecz tej nocy jedynie cedry szumiały między sobą w ogrodzie.

Obok niedopitej czary złożyłem cytrę i usnąłem, a lampa zaczęła gasnąć.

Wówczas ta, której nie mam już ujrzeć nigdy, uchyliła jedwabną kotarę.

Płynęła za nią powłóczysta szata, niosąca woń perskiego piżma.

Nie słychać było szelestu jej ciżemek, ani dźwięczenia klejnotów, a jej pierścienie ogni nie rzucały.

Uśmiechnęła się jak ci, od których oddaliła się dusza.

Ujęła czarę, podniosła ją do ust i wychyliła do dna.

Wzięła cytrę i wygrała na niej nutę słodką i smutną, a ja słuchałem przez sen.

Po chwili wahania przejrzała się w lustrze, dotknęła ścian z lakki.

Potem znikła, jak wspomnienie bardzo dawnego wieczoru.

Zbudziłem się: na brzegu czary lśnił karmin jej warg.

Na drgającej strunie cytry barwa jej paznokcia rumieniła się, jak kropla krwi.

Zimny podmuch wiatru zważył maki, i za oknem zadzwonił śpiew słowika.

Bądź pochwalony, ty, któryś mnie skrzywdził i pozwolił wpatrywać się dowoli w maskę niewdzięczności! Oto poznałem, jaki płomień zapala ona w spojrzeniu, jak podstępnie umie udać przywiązanie, i lojalnie dłoń podać, i szczere wyznania robić, by oszukać tem przemyślniej. Bądź pochwalony, ty, któryś mnie skrzywdził!

Bowiem nie znałem był mocy zła, nie zmierzyłem potęgi, z jaką przez niejedną duszę przechodzi, wyrywając dobre wspomnienia, jak burza drzewa obala, i pustosząc pole przyjaźni, na którem tak trudno zakwitały jej zasiewy... Nie znałem był jednego ze skłonów góry, skłonu, którym wśród mroków i nieustannego deszczu schodzi się w smutek.

I nacóżby się zdało wypominać, iż kochałem cię sercem prawdziwem, a jeśli nie wyraziłem tego kochania w pustych słowach, milczenie moje mówiło ci o tem nieraz. W chwili, gdy przyjaciel odnajdzie przyjaciela, czyż w spojrzeniu, w powitaniu ich radość braterska nie wyłania się z głębin tajemnych? Nie wypomnę ci radości braterskiej, którą dawała mi twoja obecność, lecz powiem: bądź pochwalony, ty, któryś mnie skrzywdził!

Bowiem nie odpłacę ci złem. Nie dlatego, by małą była odwaga moja, lub płytkiem cierpienie. Najpiękniejsza odwaga przejawia się milczeniem, zdolnością zniszczenia w sobie wszystkiego, co zostało spłodzone przez zło. Ból poznałem od najgłębszego rozwidlenia korzeni aż do najwyżej drgającego liścia — i kryję go zazdrośnie dla siebie, tylko dla siebie. A tobie mówię: bądź pochwalony, ty, któryś mnie skrzywdził!

Darowałeś mi bogactwo bezcenne. Obmyłem kawałek ołowiu: było to zbrukane złoto. Krzywdę, którą mi uczyniłeś, urabiałem, toczyłem, żarzyłem w sercu, aż stała się tajemnem przebaczeniem, i dzięki niemu zrozumiałem życie. Przebaczenie to jest mi kluczem do wszelkich zamkniętych drzwi, jakie w pielgrzymce swej spotkać może człowiek. Dałeś mi więcej, niż odebrać mogłeś.

Bądź pochwalony, ty, któryś mnie skrzywdził!

PRZELOT SYMURGA*)

Ptak Symurg mieszka w Persji na szczycie góry Kaf. Przelatuje on nad mieszkaniem człowieka raz jeden w ciągu jego życia, i szczęśliwy ten, kto wówczas ma wzrok utkwiony w niebo!



PTAK SYMURG WŁAŚNIE O TAKIEJ PORZE PRZELECI

O miła, czy nie od muśnięcia jego piór złocistych palmowe chwieją się liście? Nie trzeba okna zamykać: szyby z konchy perłowej niebo nam przesłonią.

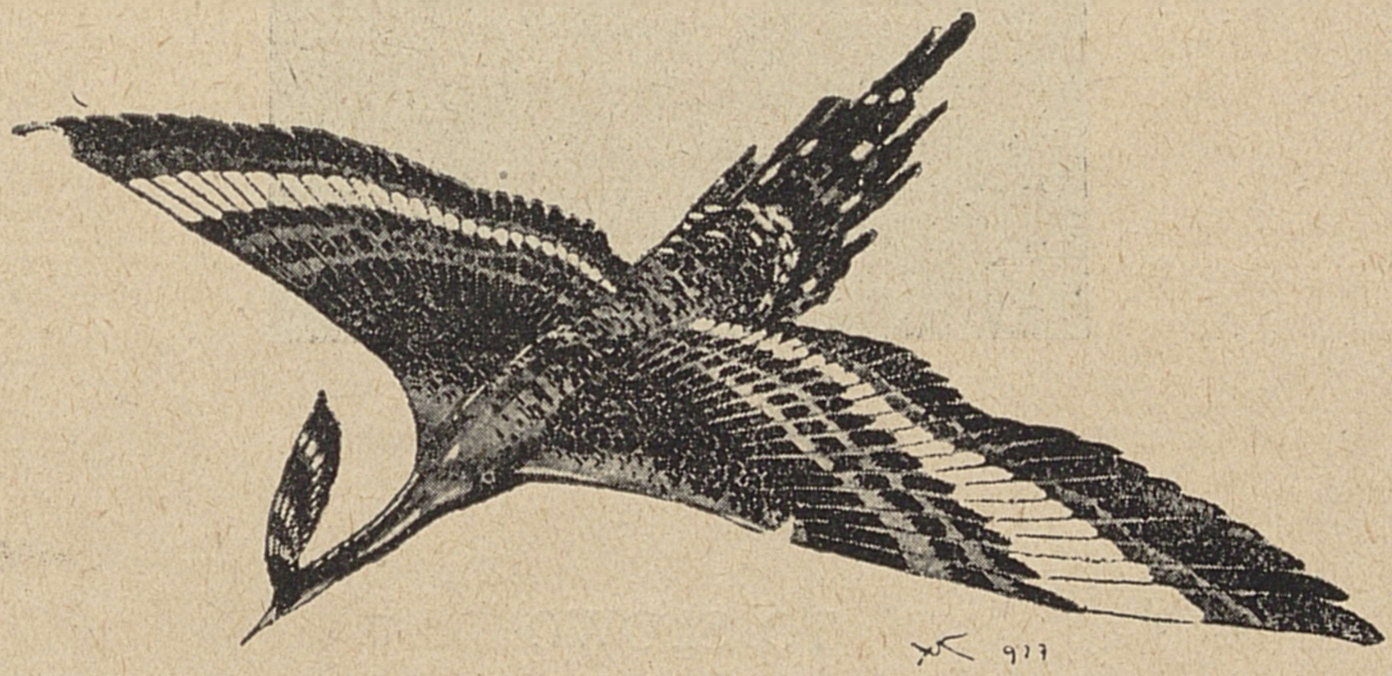
Raz jeden — tylko raz! Czarowny ptak nie wróci. I nie wie nikt, czy przeleci w srebrnej poświacie gwiazd, czy

*) Ptak Symurg uważany był przez sufich Persji i Indji jako symbol myśli Boga.

w glorji wschodzącego słońca. Może winienem wynieść czarę mleka na szczyt eukaliptusa, by ptak choć na chwilę wstrzymał swój lot, chcąc ugasić pragnienie?

Gdy siedzę wieczorem na tarasie przy tobie, pochylam się nisko i oczu od twoich oderwać nie mogę. Wiem, że ptak Symurg właśnie o takiej porze nade mną przeleci. Usłyszę jego skrzydeł szelest...

Czy wzniosę głowę ku niemu?





BEATA OBERTYŃSKA

TO SŁOWO

Jest takie jedno nienazwane słowo
Którego dzisiaj darmo szukam wszędzie...
Słowo, którego usta nie rzekły niczyje
A które jednak gdzieś w powietrzu żyje
Jak woń nad kwiatem zawisłe nad mową...
Choć go niema, wiem dobrze że było i będzie
To właśnie słowo..

Szukam go — nad długiego milczenia pustkowiem
W zagajnikach pamięci, w przeczuciach, w tęsknocie,
Jak grzyba pod gałęzią, jak słodkiej jagody
Czy jak gwiazdy odbicia na powierzchni wody..

Znajdę je ciemną nocą, gdy kwitną paprocie
O porze czarta, czarów i lubczyka...
Gdy o twarz mi się nagle otrze skrzydłem sowiem
I da się dobrowolnie zamknąć wreszcie w dłoni
I gdy z jej ciemnej głębi oczom się wyłoni,
Tajemniczą zielenią próchna czy świetlika,
O tej rosistej północy przed nowiem —
To Ci je powiem!



MARJA PAWLIKOWSKA

Fragment końcowego aktu

„BRACI SJAMSKICH"

sztuki, zakwalifikowanej do grania przez Teatr im. Słowackiego w Krakowie

(Streszczenie: Agenor i Agnieszka, kochankowie znużeni sobą nawzajem a zbyt sentymentalni by zerwać krępujące ich więzy, męczą się przez dwa pierwsze akty; w drugim Agnieszka spada z góry w trakcie wycieczki, i budzi nową miłość w sercu Agenora, tem. że omal nie zginęła. W trzecim akcie Agnieszka, już zdrowa po dłuższem leżeniu w schronisku, rozmawia z Agenorem o nowem życiu, które teraz rozpoczną.)

Rzecz dzieje się wysoko w górach, w schronisku. Agenor siedzi obok Agnieszki leżącej na łóżku i okrytej futrami. Zmierzch. Śnieg pada za małem okienkiem.

AGNIESZKA

Wiesz kochanie —
Myślę, że czas najwyższy mieć własne mieszkanie...

Te hotele, zajazdy, które się wciąż zmienia —
wynikają stąd tylko nieporozumienia!
To żeśmy się kłócili jak ci „Sjamscy bracia“
to tylko ten brak domu...

AGENOR

To zupełna racja.
Myślałem dawno o tem. Mam już nawet plany.

Wyjmuje z szuflady papiery.

AGNIESZKA

klaszcze w ręce

Ach, jakiś ty poczciwy! jakiś ty kochany!
Co za radość! Porównać nie da się to z niczem!

AGENOR

Miejsce już zakupione, na Placu Lotniczym.
Dom będzie taki (*pokazuje plany*) widzisz? na piętrze sypialnie —
mury muszą być mocne, grube, niezniszczalne...

AGNIESZKA

z entuzjazmem

To bardzo słusznie.... Mury... Tak, a w oknach kraty?

AGENOR

zdziwiony

Kraty? Skąd? Na wschód — ganek. Dzikie wino, kwiaty.

Przewraca wśród planów.

Tu jadalnia. Plan mebli przepadł gdzieś niestety.
Słońce rano zaglądnie. Przyniosą gazety.

AGNIESZKA

I listy........

AGENOR

Nie, nie będzie listów. Bo od kogo?
Co tam! Niech świat i ludzie idą swoją drogą.
Nie potrzeba nam będzie nikogo — Łazienka (*pokazuje*)
Gazowa.

AGNIESZKA

Nie, to do niczego. Rura ciągle pęka.

AGENOR

Dach będzie mansardowy, z dachówek niebieskich —
przemyślałem to wszystko od deski do deski.
Źle było, żeśmy dotąd nie mieli mieszkania. (*Przewraca plany*)
Wielkie żółte akacje muszą dach osłaniać
zasadzimy je teraz. Po latach dorosną
coraz większe i wyższe będą z każdą wiosną,
a my znów coraz mniejsi. Lecz zato szczęśliwi...
przed kuchnią zasadzimy jabłonie i śliwy...
Ten dom będzie tem właśnie za czem człowiek goni,
i czego szuka wiecznie. Tu (*pokazuje*) klomby z begonij...

AGNIESZKA

A gdy słowik zaśpiewa tak jak to on umie?
A gdy drzewa zaszumią w kwietniowym poszumie?
A gdy koty zakrzyczą o słodkiej tęsknocie
co ma oczy fałszywe i pazury kocie?

AGENOR

Ja się tam drzew, słowików i kotów nie boję.
Z tej strony (*pokazuje*) balkon. W skrzynkach (*ziewa*)
fiołkowe powoje.

AGNIESZKA
sztucznie

Świetnie, świetnie. Cudownie! Ach, jakże się cieszę.
Daj mi proszę Cię lustro. Trochę się przyczeszę... (*patrzy
w lustro*)
Nieźle wyglądam, prawda? i cóż więcej będzie?

AGENOR

Mały zielony stawek z wyspą i łabędziem... (*składa plany*)

AGNIESZKA

walcząc ze łzami

Bardzo się cieszę, (*wybucha płaczem*) Boże.

AGENOR

Co to? Co się stało?

AGNIESZKA

To ze szczęścia!

AGENOR

gorączkowo

Nieprawda! Powiedz prawdę całą.
Dosyć kłamstw. Nie ze szczęścia.

AGNIESZKA

płacząc

O, nie, nie, z rozpaczy.
Ja nie chcę.

AGENOR

Czego nie chcesz?

AGNIESZKA

zanosząc się od płaczu

Nie wiem.

AGENOR

Co to znaczy?

AGNIESZKA

Och, nie mogę. To nudne. To okropnie nudne.
W tym domu posiwieję i zbrzydnę i schudnę!

Nie chcę łabędzia, stawku, balkonu, akacji:
te rzeczy doprowadzą mię do desperacji.

AGENOR

spokojnie

Tak. Ta myśl jest ponura i nudna straszliwie.
Tak, masz zupełną rację. Nic ci się nie dziwię.
O Boże! Ta sypialnia, te meble, te ściany,
to gniazdo dla miłości zgalwanizowanej!
W krzakach głosy słowików jak nuda przeciągłe,
i wiosny bez błyskawic. Lecz to nic. Przysiągłem.
Przysiągłem wtedy w górach, że cię uszczęśliwię,
jeśli się nasz wypadek zakończy szczęśliwie...
Tobie jednej już resztę młodości poświęcę,
więcej zrobić nie mogę. I czegoż chcesz więcej?

AGNIESZKA

płacząc wciąż

Przez tysiąc dni i nocy wiecznie razem, pomyśl!
czy to nie nudny pomysł?

AGENOR

z mocą

Tak, to nudny pomysł.
Jak my się rozumiemy! Ty jesteś jedyna!
Ty wszystko wiesz najlepiej. Wielbić cię zaczynam!
Świetnie się orjentujesz w każdej sytuacji (*zastanawia się*)
Nie chcesz domu — sadzawki — łabędzia — akacji —
masz rację, co za pomysł z tym nudnym łabędziem (*drze plany*)
dom ten nigdy nie stanie, lecz — co z nami będzie?

AGNIESZKA

Niema już wyjścia dla nas! zanadto cię lubię.
Nie chcę ludzi, bez ciebie stracę się i zgubię!

AGENOR

I ja zawsze cię kocham. Niema żadnej rady.
Nie mówmy więcej o tem.

AGNIESZKA

Ach, jakiś ty blady.

Pauza. — Oboje patrzą na góry.

Pocoś ty mię ratował? jeśli się miłuje
tego, który się męczy i który się truje,
tego co tonie w morzu lub w przepaść się toczy,
nie trzeba go ratować. Trzeba za nim wskoczyć.

AGENOR

wciąż w oknie

Wiesz co? zróbmy wycieczkę
i nie wróćmy więcej.

AGNIESZKA

Pewnie. Do czegoż wracać?

AGENOR

Nacóż żyć na świecie......
Pójdziemy w dzień deszczowy, szary, rozpłakany,
ta samą skalną ścieżką, przez te same ściany —
Na urwisku, wznoszącem twardą głowę sępią,
żywoty nasze mgliste jak mgły się rozstrzępią.
Rozedrą się na sosnach i w przepaść opadną
stęsknione aby upaść jak najniżej na dno......
Albo wiesz co ci powiem? Zrobimy inaczej.
Mam myśl..... Pocóż iść w góry?

AGNIESZKA

Co zrobisz?

AGENOR

Zobaczysz.
Edward przyniósł z apteki trochę sublimatu —
wypijemy go razem.

AGNIESZKA

z przerażeniem

Co?

AGENOR

Na zdrowie światu!
Wpierw musi się rozpuścić. (*Miesza w wodzie sublimat.*)

AGNIESZKA

ze strachem

Czy ja zaraz zasnę?

AGENOR

nie słuchając jej

Tak wszystko co się stało jest proste i jasne!
sprzykrzyliśmy się sobie, kochając się dalej —
stąd te wszystkie urazy i wzajemne żale.
Rzecz tak prosta a straszne rodzi komplikacje!

AGNIESZKA

Może robimy głupstwo?

AGENOR

Sądzę, że masz rację.
Ale co czynić, powiedz?

AGNIESZKA

Tak mię nienawidzisz,
że wolisz śmierć ode mnie?

AGENOR

zaciska pięści

Znowu? Widzisz, widzisz!
choćby poto, by więcej tych rzeczy nie słyszeć.
Dość tych skarg, które szarpią — wolę ciszę —

AGNIESZKA

Ciszę...

AGENOR

Śpieszmy się, bo kto wejdzie i sen od nas spłoszy.
Podnieśmy więc ten kielich ostatniej rozkoszy!

Wchodzi Góralka.

Idą ludzie z latarką. (*Patrzy w okno.*) Już wchodzą,
widzicie?
Przez śnieg się przekopali.

AGNIESZKA

odstawia szklankę, mówi błędnie i gorąco

Wpuść! może to życie!

Góralka otwiera drzwi; wchodzi piękny Nieznajomy i piękna Nieznajoma, ubrani turystycznie, narty na plecach, upadają ze zmęczenia.

P. NIEZNAJOMY

Czy państwo nam pozwolą pozostać tu na noc,
czy mamy wracać w ciemność śniegami zawianą?
Tę panią wpół zmarzniętą spotkałem przy drodze...

P. NIEZNAJOMA

błagalnie

O pozwólcie nam zostać. Dobrze? Moi drodzy!

Agenor i Agnieszka patrzą jak urzeczeni, ona — na Pięknego Nieznajomego, on — na Piękną Nieznajomą. Agnieszka jak wąż podnosi się i patrzy — Agenor pochylony naprzód, oczy mu płoną.

P. NIEZNAJOMY

Milczycie... A więc trudno. — Idźmy. — Szkoda czasu.
Dowleczemy się jakoś do dalszych szałasów.

Chcą iść. Lecz Agenor i Agnieszka budzą się z zapatrzenia. Wybuchają krzykiem, wyciągając ręce.

AGENOR

O, nie idźcie!

AGNIESZKA

Ach nie idź. — Pozostańcie z nami!

AGENOR

nieprzytomnie

Chodź do mnie, chodź, ogrzeję cię pocałunkami!

AGNIESZKA

w szale radości

Panie, niech pan tu siada. — O, tu, przy mnie, blisko!

P. NIEZNAJOMY

patrząc na nią bez ruchu

Ach, więc i ja znalazłem nareszcie schronisko?

idzie ku niej

AGENOR

trzymając w objęciach P. Nieznajomą

Jak żyć bez twoich oczu? Ratunku, mój świecie. —

P. NIEZNAJOMA

To ty czekałeś na mnie? Nie znamy się przecie.
Ale to wszystko jedno. Nie dam się stąd ruszyć —
odpędź mnie, to odejdę w świat, ale bez duszy.

AGNIESZKA

w objęciach P. Nieznajomego

Życie moje w tej chwili cudu dokonało —
Żyć jest pięknie. Świat stał się rzeczą doskonałą.

AGENOR
do Nieznajomej

Kto pani jest właściwie?

P. NIEZNAJOMA
z uśmiechem

Jakto, kto ja jestem?
Cóż panu po nazwisku i imieniu chrzestnem?
Ja jestem ja, poprostu.

W objęciach Agenora, który ją całuje:

Boże! Co pan czyni?

AGENOR

O wreszcie żywa radość. Jak źródło w pustyni.
Wreszcie krew. Wreszcie wicher, który twarz mi pali.
Bijące serce moje wraca mi z oddali...

AGNIESZKA
całując się z Nieznajomym

Mój Boże! Mnie nie wolno, nie wolno całować!

P. NIEZNAJOMY

Nie przerywaj marzenia... pocóż puste słowa...

AGNIESZKA

Jak ja się zachowuję. (*Ciszej*:) Radości jedyna!
Nie oddam Cię już za nic. To nie moja wina...

AGENOR
tuląc Nieznajomą

Pijany jestem życiem. Pijany jak winem.
Nie oddam Cię już nigdy. — Jam temu nie winien........

AGNIESZKA

składając ręce

Czy ty się gniewasz Adziu?

AGENOR

ten sam gest

Możesz mi przebaczyć?

AGNIESZKA

O cóż mamy się gniewać? Czyż można inaczej?

Koniec fragmentu



EWA SZELBURG

BUON PASTORE

Zgubiła się nareszcie światu wielkiemu, malutkiej rodzinie, bezgranicznym troskom, ciasnym obowiązkom...

Chce być swoja i tylko dla siebie.

Jedzie dniem i nocą, nocą i dniem!

Zapomniała wszystko — nie myśli o niczem. Patrzy i uśmiecha się, patrzy i uśmiecha się.

Pociąg służący jej woli odrzucił za siebie jałowe mazowieckie piaski i wychudłe sosny, podeptał także obcą soczystą zieleń, podpełzł wreszcie pod nieznane góry, wdarł się na nie, przebił je ostrym tunelem, wyszarpał sobie drogę w ich żywym kamieniu! i znów rwie w górę, zlatuje w dół, staje tu, staje tam, by tchu złapać w stalowe, chroboczące płuca — i pędzi dalej.

Doniósł ją wreszcie do miasta pięknego, jak różowo-kremowa muszla, w której biją bezustannie zawsze świeże i czyste serca niezliczonych fontann.

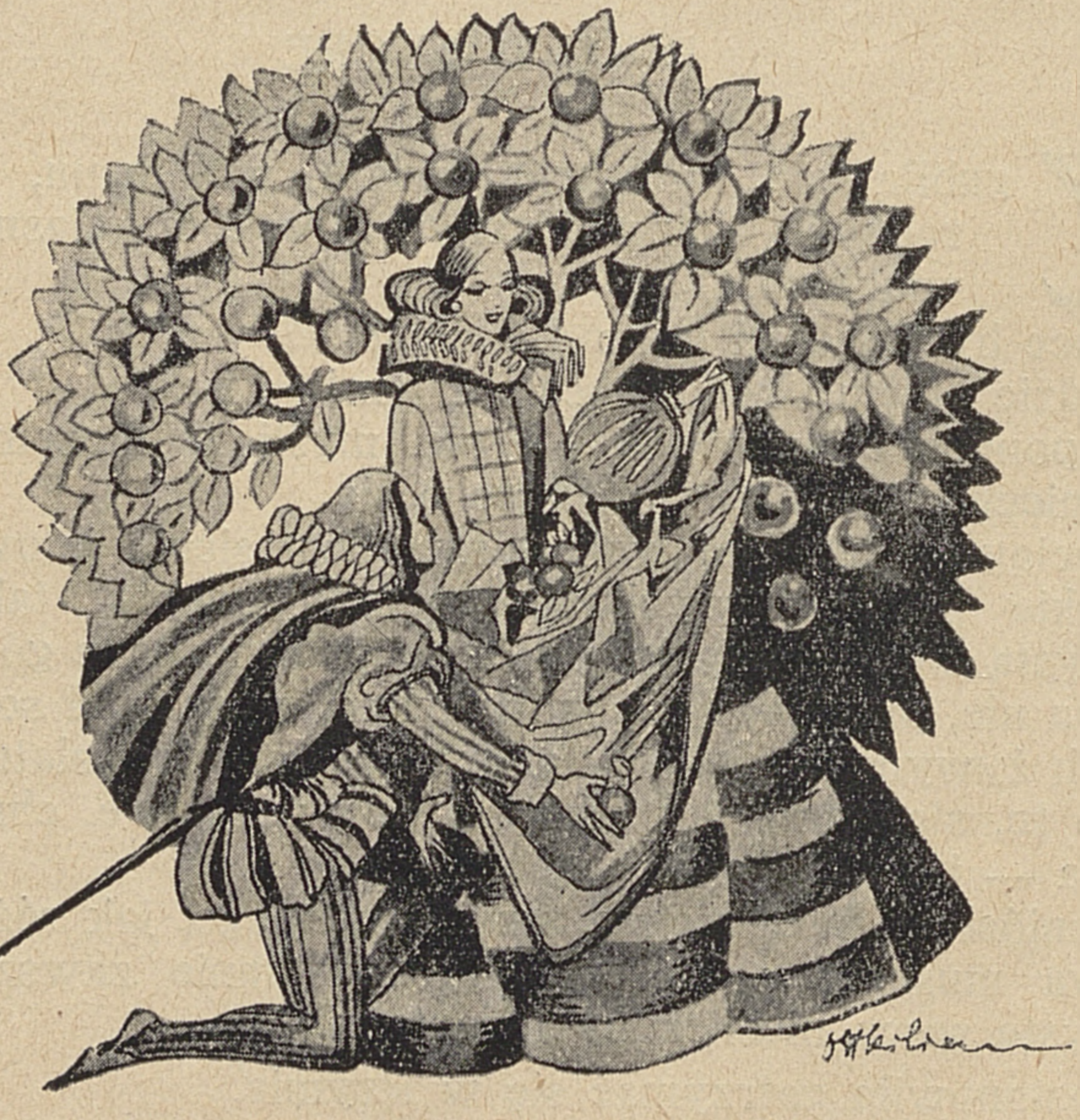
Postanowiła zatrzymać się w Rzymie.

Podobało jej się, że na ulicach złotawych i ciepłych. jakby drążonych w pachnącym miąższu brzoskwini, skromnie mruczące i gładko lśniące samochody żyją w przykładnej zgodzie z małemi, bezwstydnie ryczącemi osiołkami.

Podobało jej się, że pod dachami wielkich muzeów jest dużo prawdziwych, żywych gniazd jaskółczych, a na każdym placu w magicznym kręgu cienia można zobaczyć dziewczynę w chusteczce od nosa na głowie, gdy klęka przepięknie trwożnym ruchem Diany vedendo Endimiona pod krową, którą zręcznie wydoi wprost w butelkę...

A i to także, że kościoły są wysokie i chłodne, a stary Pan Bóg siedzi w słońcu na każdym niskim marmurowym progu i gra w morrę z każdem śmiejącem się małem „bambino".

Nadewszystko jednak cieszyło ją, że tak nagle znalazła się w samym środku bajki, o której tylekroć słyszała w dzieciństwie, do której aż do krwi tęskniła w młodości: do bajki o „złotej jabłoni ze złotemi jabłkami".



Zrywała je już różne: zielone i cierpkie, różowe i słodkie, czerwone o smaku nie do wypowiedzenia, a przecież nie nasyciły jej i wciąż łaknęła.

Aż rzuciła sad przy domu rosnący i tu przywędrowała i tutaj znalazła to miejsce, w pomarańczowym ogrodzie, pod drzewem złotemi kulami obciążonem stanęła, jak sierotka z bajki. I, jak w bajce, przyszedł królewicz i królewiczowską swoją dłonią złote owoce ssypał jej w podołek.

Królewicz był piękny, młody i bogaty, słowem taki jakim powinien być prawdziwy królewicz, to też wpatrzona w niego zapomniała o wszystkiem zapomnianem, nie myśli o niczem. Uśmiecha się i patrzy, patrzy i uśmiecha się.

Długo, czy krótko mieszkali w złotym ogrodzie!... Zasłoniły ich liljowe zasłony glicynij, zakryły ich wachlarze palm...

Któregoś dnia ukazali się idący pod rękę w alei zastygłych czarnych płomieni, które tu zwą cyprysami.

Pozdrowiły ich ciemnogłowe pinje, a biała Via Appia Antica poprowadziła ich najdalej i najgłębiej gdzie człowiek za życia dojść może: pod ziemię.

Oto Catacomba di S. Callisto, miejsce gdzie ciałom tak ciasno i zimno było po bogobojnem życiu i męczeńskiej śmierci, że o tem tylko myślały, by jak najrychlej zmartwychwstać i znów żyć w słońcu!

Zostawiła towarzysza swego na słonecznej powierzchni ziemi w małym, nienagannie białym domku, gdzie pogodni dominikanie sprzedają relikwie i mleczną czekoladę, a sama z bladą świeczką w prawej ręce wstępuje szybko we wnętrzności ziemi.

Długie, wilgotne, kręte korytarze. Droga splątana i krzywa. Droga nie prosta. Ciemna i zawikłana, jak wszystkie drogi ludzkie.

Zapaliła spiesznie cienką, migotliwą świeczkę, aby oświecić sobie swoją samotność. Nie jest jednak sama. Kroki jakieś błądzą to z prawa to z lewa. Oddalają się i przybliżają. Ktoś chodzi tu i tam. Zatrzymuje się, to przyspiesza... Jakby co zgubił... jakby szukał czego...

Na zakręcie z wilgotnych ścian podeszły w blask świeczki postacie zaróżowionych wzruszeniem apostołów. Spojrzeli także w tę stronę, w której błądzą szukające kroki.

Podniosła więc świeczkę wysoko ponad głowę by rzucić światło w boczne zakamarki. Padł blask migotliwy i drżący w lewy kurytarz i natychmiast wyszedł z jego ciemności ktoś sczerniały i chudy, w skąpej szkarłatnej sukni.

— Kto to? — spytała, jeszcze wyżej unosząc topniejącą świeczkę.

Wyblakli apostołowie cofnęli się pokornie w cień:

— Buon Pastore

odpowiedzieli z mroku jasnym chórem.

I wtedy nagle przypomniała wszystko! Ach tak! Zgubiła się przecież już tak dawno! Nie światu wielkiemu, nie rodzinie maleńkiej, nie ciasnym obowiązkom i głębokim troskom — ale sobie samej zgubiła się.

Buon Pastore! Ten, który chodzi bez spocznienia po ciemnych, splątanych ludzkich drogach i odnajduje zabłąkane owce...

Wyciągnęła doń ręce, a Dobry Pasterz uśmiechnął się do niej świętym swoim uśmiechem z odrobiną zakłopotania w sczerniałej, wąskiej twarzy.

— Tak tutaj ciemno w labiryncie życia... i tak mi trudno było szukać ciebie poomacku.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Idzie ktoś długiemi, krętemi kurytarzami Catacomba di S. Callisto.

Na odgłos radosnych kroków podnosi umęczoną głowę twarzą ku ziemi leżąca w swej krypcie marmurowa santa Cecillia, a ze ścian jeden przez drugiego nasłuchują pilnie święci Sistus, Optatus, Cornelius, Ciprianus...

— Buon Pastore! Buon Pastore! — podnosi się szept z nisz.

A On, promienny i słodki, jak w dzień Wniebowstąpienia, idzie z ostatnią odnalezioną owcą na ramionach.

W wilgotnym mroku katakumb żywym szkarłatem lśni Jego wąska, spłowiała suknia i srebrzy się runo znalezionej owcy.

KURANT

Przenadobnych orszak dam
Rój tancerzy..

. . . .

— „Czyliż oczom wierzyć mam?!“
— „Niech Aść wierzy!“
— „Tyżeś to, Ty?! Tyżeś?“
— „Ja!“
— „Żywaś?!“
— „Patrz!“
(Słyszę jeszcze tamten płacz
z serca dna..)
— „Przypominasz? Minął wiek..“
— „Żyjem znów..“
— „Przypominasz com ci rzekł?“
— „Nie mam słów...“

. . . .

Nieprzejrzany szereg sal,
Głąb lustrzana,
Menueta słodkie piana —
Jaki żal, jaki żal!



Rys. G. Pottier

AURELJA WYLEŻYŃSKA

POCHWAŁA SAMOTNOŚCI

Fragment z „Czarodziejskiego Miasta"

Ilustrowała A. Sikorska

Dwie są samotności. Jedna — pragnie jej młodość, której beztrosce wszyscy stają na zawadzie. Używa się jej nato, by móc czynić wszystko prędko, bez namysłu, kiedy się chce, bez cudzej krytyki szafować swemi skarbami. Płocha samotność. Druga — mądra, dojrzała potrzeba samotności; ona umie zatrzymać, pozwala sączyć wolno, w kontemplacji każdą zbyt szybko biegnącą chwilę, wejść w siebie, zrobić swój bilans, żyć sobą. Mocna samotność.

Radość mocnej, silnej samotności.

Gdy się Maja budzi rano — jest sama. Wszystko do niej należy. Całe jej życie. Cicho. Paryż nie istnieje, niema go, jego rożgwaru. Tylko w tem nagle zamarłem milczeniu lecą dzwony. Dzwony budzącego się miasta. Jedne wzywają kogoś do czegoś, inne głoszą jakieś prawdy.

Nie sięga ręką po zegarek — woli liczyć bijące godziny. Jakieś uderzenie zegara gubi się w nagle powstałym szumie i pozwala jej igrać sobie z czasem. Nauczyła się, jak Proust, z echa ulicy wróżyć pogodę i rozpoznawać głosy przekupniów. Lubiła górską melodję fletu, który obwieszczał, że ktoś klei starą porcelanę, różnych *marchands d'habits et chiffons*, z biegiem czasu zgłębiła nawet tajemnicę obietnic parasolnika, który umie złamanym drutom wrócić siłę i sprężystość.

A potem, dzień cały, jest jej niepodzielną, królewską własnością. Jest jego panią, od nikogo niezależną. Może robić co chce, iść gdzie chce i każdej chwili każdy plan zmienić. Wszystkim kaprysom pozwolić przyjść do głosu. Albo, jeśli się nic nie chce, nigdzie nie iść, nic nie robić, na nic nie patrzyć. Tylko zaszyć się w głąb olbrzymiego fotela, z książką, której się nie czyta, z robotą — która jest grzeczna i cierpliwa. Zdjąć maskę, pozwolić twarzy bez żadnej kontroli mówić co pragnie, co duszy dolega. Nawet łzom cicho płynąć...

A nagle, oczy i dusza, chcą zmyć ze siebie wszelki ślad łez. Jakim cudem to się dzieje, że zmyć je można, bez śladu? Włożyć na nowo maseczkę towarzyskiej obłudy, jak się wkłada kapelusz w którym dziś będzie do twarzy i iść — wśród ludzi, na ulicę. Zbierać miłe spojrzenia, uśmiechać się do nieznajomych i pozwolić im uśmiechać się do siebie.

Albo w gęsty, gęsty tłum. Tłum, który coś bawi, podnieca, przeraża. Stopić się z nim, złączyć: wziąć od niego zabawę, podniecenie, cierpienie. Nie bała się już tłumu. Bezpowrotnie minął jej — *mal de la rue*. Tłum przestał być dla niej złym, groźnym. Stał się bliskim — albo obojętnym. Była dla niego niczem, ale i on, gdy chciała, mógł być dla niej niczem. Mogła, wśród niego będąc, oddzielić się silną, własną skorupką. I zawsze i wszędzie pozostać sobą.

Szczególnie lubiła wieczory. Cieszyła się tajemnicą zamkniętych drzwi. Tem czego się też dawniej bardzo bała. Że w tem wielkiem mieście jest sama — zgubiona. Nie istnieje, niema jej dla kogoś, dla kogo nie chce być. Adres jej zamknięty na siedem pieczęci, strzegą go cerbery z *service des*

étrangers. Nikomu nie dadzą. Więc żyć — jakby się nie było.

Gość niespodziany nie wejdzie, niczego nie zażąda, nie przerwie wypoczynku, nie zmąci atmosfery jej domu. Radośna świadomość, że nikt z tego olbrzymiego miasta nie ma prawa przekroczyć jej progu, wiedzieć co robi, ile myśli mądrych, a ile naiwnych przechodzi przez jej głowę. Jak jeszcze walczy z dawnemi uczuciami, jak ją czasem — zwyciężają.

Dobrze wracać do domu, gdy deszcz pada, gdy wiatr marcowy obala ludzi na ulicy aż potworek z Nôtre Dame z nich się śmieje, do domu gdzie jest ciepło, za chwilę będzie jasno. Do domu, który jest domem, schroniskiem, osłoną, ostoją. Już dawno przestały Maję boleć czekające w cudzych oknach światła. Właśnie, to tak miło, że na nią nikt nie czeka! Że swoje światło sama zaświeci — dla siebie tylko.

Rozbłysły lampy jej ręką zapalone — jedna po drugiej. W ciemnikach, miękkie, łagodne, pieszczące światło.

Zamykała drzwi, przekręcała klucz, raz, drugi, trzeci, żeby się czuć bardzo u siebie. Widziała niedawno w teatrze jak to czyniła Safo Daudeta. Ale Safo nie była jeszcze wówczas sama. Zasłaniała grube zasłony przy oknach. Zdejmowała prędko suknię w której wróciła z ulicy, która dotykała się ulicy, prędzej, żeby nic stamtąd nie weszło do ciszy jej domu. Kładła jakąś barwną, własną modą uszytą suknię, a na nogi pantofelki haftowane, z puszkiem strusim u czubka. Takie, które błota się lękają, i stąpać lubią tylko po dywanach. Na dowód, że jest u siebie i wyjść z domu nie trzeba.

* * *

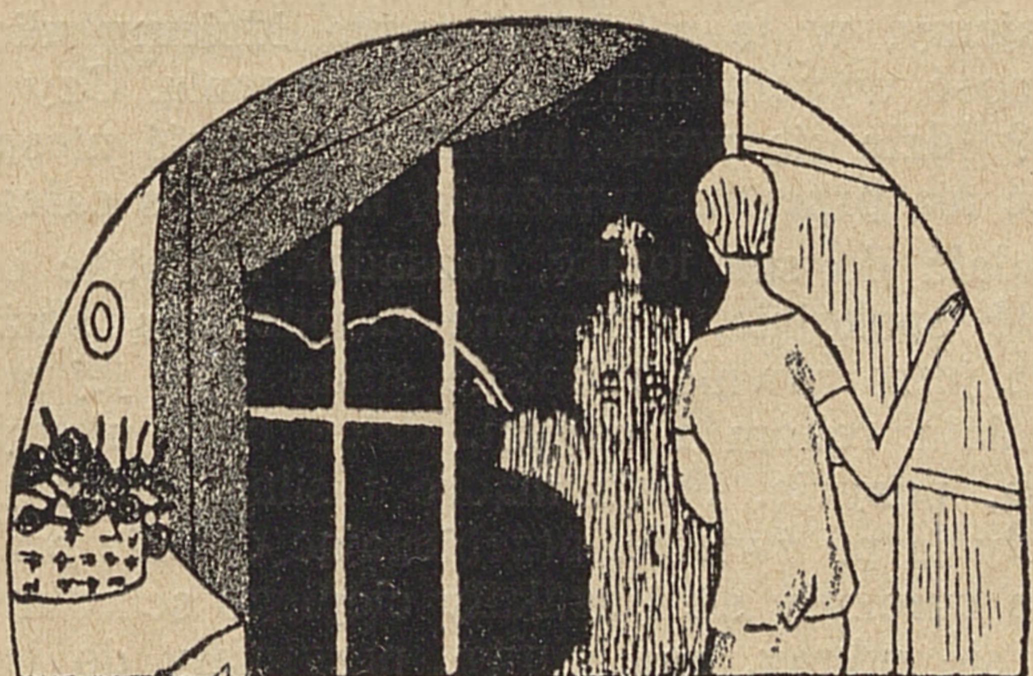
Krzątała się po pokojach, troskliwie układała drobiazgi, pieszczotliwie poprawiała kwiaty, gotowała mocną, doskonałą, aromatyczną herbatę, której listeczki przyniosły ze sobą zapach dalekich, egzotycznych krajów. Albo kawę wschodnią. Na długiej rączce mosiężną czareczkę grzała nad ogniem. Wonna, czarna, słodka kawa...

A czasem, jak mała dziewczynka, urządzała sobie „bal“. Nakrywała stolik, ustawiała lśniące talerze, przejrzyste, takie co ślicznie dzwonią. Szkła i kwiaty, dnia tego jej najmilsze. Zamówiła na oznaczoną godzinę jakiś pasztet, który, gorący jeszcze z niklowego naczynia przenosił się na półmiseczek. Mały kuchcik, niby francowski Rożenek, wydobywał go, zachwalając zalety i wygląd. A następnie zjawiał się chłopak z cukierni, cały w bieli, bardzo poważny i przejęty swą rolą. Ten znów dbał o to, by marengi, w bliskiej zażyłości z lodami żyjące, nie ucierpiały od ich zimna.

W długie wieczory czytała, szyła... I cieszyła się, że tam gdzieś jest olbrzymie, gorączką trawione miasto, a tu cisza i spokój. A czasem zdawało się jej, że niema żadnego Paryża, tylko ona jest — u siebie.

* * *

Kładła się spać. Gasiła lampę i odsłaniała ciężką firankę. Latarnia z ulicy oświetlała pokój, zacisze jej łóżka. Jej latarnia! Przecież to dla niej, za dotknięciem różdżki czaro-



dziejskiej codziennie przychodziło to światło. Ktoś, gdzieś daleko, też dla niej, grał zawsze o tej porze tę samą melodję....

Myślała wtedy; oto skończył się dzień pełen zajęć drobnych i większych, pełen ruchu, napiętej uwagi, wysiłku myśli. Już jest jedynie wspomnieniem w nocnej ciszy zamkniętego pokoju. Co był wart? Co zrobiłam? Jaka w tym dniu byłam?

Po raz drugi przeżywała szczegóły. Wracały fragmenty rozmów, wychylały się ludzkie twarze, przypominały widziane obrazy: ulice, któremi szła, wystawy, jakieś uśmiechy, raz walka dwojga oczu, wymiana słów, niby starcie szpad, cicha radość drobnej, dla własnej przyjemności oddanej komuś przysługi i przypadkiem pogłaskana jasna główka dziecka.



A co jutro będzie? Nowe niespodzianki. Może spotka kogoś... Jakiś tajemniczy instynkt kieruje ludzkiemi krokami. Dlaczego tu się zatrzymujemy, w tę a nie w tamtą idziemy ulicę? Żeby dać możność wypełnienia się przeznaczeniu. Czy też przypadkowi? Idzie się wciąż naprzeciw jakiejś niespodziance. Może być nią przelotne wrażenie, może sens całego życia...

Poukładała do snu logikę, rozsądek i drobne obowiązki. Szły spać spokojnie, zmęczone całodzienną służbą. Wiedziała, że jutro równie radośnie staną przy jej boku. A za to pozwalała rękom i nogom, dzień cały uległym, zająć jaką chcą, pozycję. Nogi, mądre i silne, które posłusznie prowadziły ją po świecie, przebiegając dalekie przestrzenie, zmęczone kurczyły się i szukały ciepłego schronienia. Ręce zawijały się wkrąg, nad głową, przytulały do jej twarzy, by wkońcu, jak małe dziecinne rączki usnąć cicho na jedwabiu kołdry.

Niech też idą spać kochane oczy i dobre uszy! Oczy, przyzwyczaiwszy się do półmroku, powoli, coraz wyraźniej, wszystko odnajdowały. Żegnały na długie niewidzenie

każdy kącik i każdy drobiazg. Uszy bawiły się dźwiękami, które teraz dolatywały, jeszcze częstsze i wyraźniejsze, niż rano. Tak jakoś bezinteresownie, jakby to czyniły nie dla niej, dla Maji, lecz dla samych siebie. Cieszyły się głosami, najbardziej nieuchwytnemi, najdrobniejszemi głosikami, turkotem ostatnich tramwajów, pogwizdem przelatującego auta, słowami czułego pożegnania w jakiejś bramie.

Długo zegary biją dwunastą. Jeden cichutko, nieśmiało jęczy, niby płacze żalem za czasem, co odszedł; inny, odważnie, jak kobieta co się swych siwych włosów nie lęka, głosi, że oto dzień już odbiegł. Ten obojętnie wydzwania



nauczoną lekcję, jakiś, w powietrzu, niby na wielkiej tablicy, pisze wielkie znaki wykrzykników. Tętnią wozy głucho, gdzieś daleko, jadą już do hal. Czasem przez lekko uchylone okno doleci zapach kwiatów, zamkniętych w wielkich trumnach. Zmartwychwstaną jutro, nasycone barwami i słońcem, żeby ozdobić miasto. A z tym zapachem zmieszamy smak owoców, ostry pomarańcz, słodko-mdły bananów i świeży, wiosenny truskawek — co jadą do Paryża z dalekich krajów.

A potem już nic nie widziała i nic nie słyszała. Jak w upojeniu miłosnem nic się nie widzi i nie słyszy. Bo nagle wszystko życie zamiera. Nawet zegarek, który przecież

jest czemś najbliższem człowieka, gdy się go nie słucha, zawiesza swe urzędowanie.

Czuła się taka szczęśliwa i taka pewna swego szczęścia, że pozwoliła sobie nawet marzyć.

Marzenie, zdrajca utajonych uczuć.

Przybliża ludzi, którzy, gdy się o nich nie myśli, są już bardzo daleko... Prowadzi do jakichś miłych drzwi, na zawsze zamkniętych... Wkłada suknie, w których się było szczęśliwą, usta ubiera w uśmiech — kochany...

Przerzuca karty życia, jak karty książki, zamkniętej krwawą lilją, pozwala przeżyć wszystko co było i co nigdy nie będzie...

A nawet cicho, bezboleśnie — własną śmierć...

CZĘŚĆ DRUGA



MIECZYSŁAW TRETER

O KOBIETACH ARTYSTKACH

Czy twórczość artystyczna kobiet — w zakresie sztuk plastycznych — zasługuje na uznanie i szacunek? Czy była kobieta, która poziomem swej artystycznej działalności wybiła się prawdziwie i zasłużyła sobie na pamięć u potomnych?

Zapewne, ani Massaccio, ani Michelangelo, Rembrandt, Rodin czy Cézanne — nie byli kobietami; to pono fakt stwierdzony... I cóż z tego wynika? Czy to, że nigdy żadna z kobiet nie może być artystką tej miary co wymienieni właśnie twórcy? Bynajmniej. Rozumowanie takie byłoby całkowicie błędne.

Do ostatnich właściwie czasów kobiety zajmowały się sztuką malarską i rzeźbiarską — niemal wyjątkowo tylko. Na dziesiątki tysięcy artystów, których nazwiska notują biograficzne leksykony, było zaledwie kilku, powiedzmy nawet kilkunastu, którzy osiągnęli najwyższe szczyty artyzmu, stanowiąc niejako punkt zwrotny w rozwoju sztuki.

Czyż dziwna, że na kilkadziesiąt nazwisk artystek-kobiet, zanotowanych przez historję sztuki na przestrzeni zgórą 25 wieków, nie było dotąd jeszcze ani jednej, któraby sztukę na nowe skierowała tory, albo której twórczość byłaby taką potężną rewelacją, jak działalność artystyczna wspomnianych mistrzów?

Stosunkowo odniedawna dopiero otworzono przed kobietami podwoje najwyższych artystycznych uczelni, akademij państwowych i prywatnych.

Legjony kobiet muszą jeszcze pokoleniami całemi pracować na niwie sztuki, zanim z szarego tłumu wyłoni się genjalna jednostka i dziełami swego pędzla czy dłuta rzeczywiście cały świat zadziwi, nowe do sztuki wniesie wartości.

Przykłady z dotychczasowej historji sztuki świadczą raczej o tem, że to jest możliwe, gdyż były i są artystki, które w dziedzinie malarstwa i rzeźby wzniosły się artyzmem swoim ponad normalny poziom ogólnej artystycznej produkcji w danej epoce.

Rola kobiety przez ciąg dziejowego rozwoju naszej kultury była tak dalece odmienna, że istotnie i dosłownie wyjątkowo tylko, dzięki osobliwemu i zazwyczaj przypadkowemu zbiegowi okoliczności, któraś z kobiet mogła poświęcić się sztuce prawdziwie i osiągnąć wskutek tego pomyślne, rzetelne wyniki.

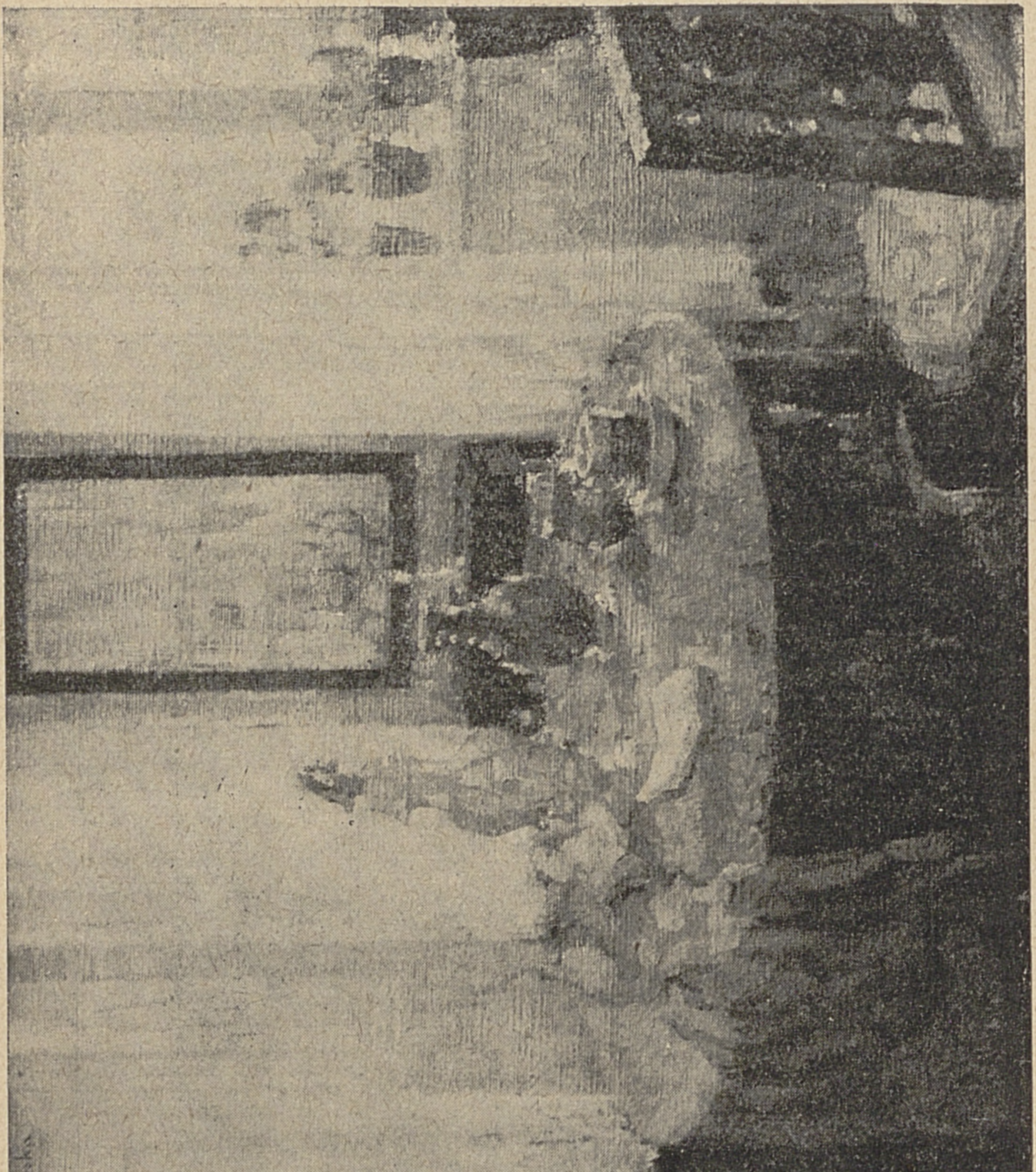
A jednak, mimo to wszystko, za najlepszych czasów rozkwitu klasycznej sztuki w dobie rzymskiej republiki (przed nar. Chr.), już była znana z swych dzieł niezwykle utalentowana artystka, nazwiskiem J a ï a z Kyzikos, której malowane portrety po dziś dzień zaliczane bywają do swojego rodzaju arcydzieł.

W dobie zaś najbujniejszego rozwoju włoskiego klasycznego malarstwa, wśród setek i tysięcy różnych portrecistów, S o p h o n i s b a A n g u i s s o l a z Cremony stanęła między najwybitniejszymi malarzami tego genre'u owych czasów, zarówno, jak nieco później, w innej dziedzinie malarstwa, J u d i t h L e y s t e r, znana w XVII wieku artystka holenderska.

Z końcem XVIII wieku, trzy zwłaszcza pierwszej wielkości gwiazdy zabłysły na rozsłonecznionym podówczas



O. Boznańska „Portret młodej dziewczyny“ (ol.)



Z. Albinowska-Minkiewiczowa „Wnętrze"



Z. Stryjeńska Z cyklu „Pascha“ (Wielkanoc) (gwasz)

Własność Zbiorów Państwowych

firmamencie portretowego malarstwa: niezrównana pastelistka Rosalba Carriera (przepyszny zbiór jej portretów znajduje się w galerji drezdeńskiej, a nie brak ich pozatem w żadnej znaczniejszej kolekcji świata), pełna niewysłowionego a charakterystycznego dla tej epoki czaru Angelica Kaufmann, wreszcie tak silnie z Polską związana przez swe liczne portrety ówczesnych naszych piękności — Elżbieta Vigée Le Brun, której świeżo poświęcili osobną wspaniałą publikację prof. dr. Jerzy hr. Mycielski i Stanisław Wasylewski.

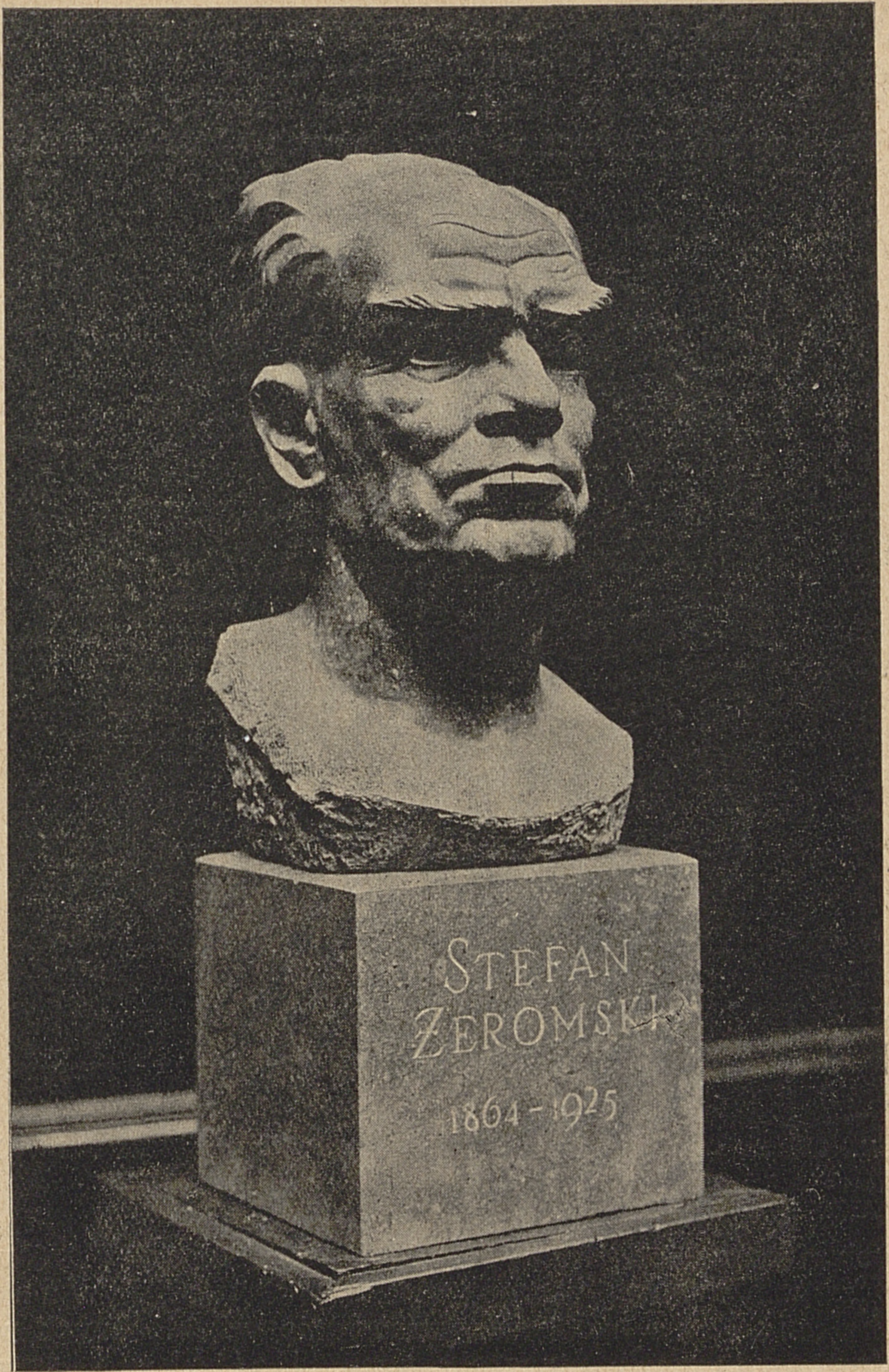
W wieku XIX analogicznych przykładów możnaby przytoczyć mnóstwo, zwłaszcza z drugiej połowy tego wieku, a nadewszystko z czasów szczytowego rozwoju impresjonizmu; wszakże w francuskiem malarstwie impresjonistycznem taka np. Berthe Morisot stanęła w rzędzie najwybitniejszych mistrzów tego kierunku.

Niedawno urządzona w Poznaniu wystawa retrospektywna dzieł Anny Bilińskiej przypomniała wszystkim rzetelne walory twórczości malarskiej tej znakomitej naszej artystki, która doprawdy zasługiwałaby na osobne monograficzne opracowanie.

W tej krótkiej almanachowej pogawędce byłoby niewątpliwie grzechem starać się o ścisłość i dokładność w wyliczaniu wszystkich naszych współczesnych artystek, malarek i rzeźbiarek, które w sztuce dzisiejszej bezsprzecznie poważną odgrywają rolę i których nazwiska znać winien pod grozą dotkliwej kompromitacji każdy bodaj trochę elegancki gentleman, mający odwagę zabierać głos w *five o clock*'owej dyskusji na poruszony tu temat. Lecz kilka nazwisk wymienić chyba wolno? Oto one:

Któż np. nie chyli dziś z szacunkiem czoła przed znakomitą artystyczną działalnością Olgi Boznańskiej?

Istniejący we Lwowie Związek Polskich Artystek organizuje od czasu do czasu wystawy, które zawsze cechuje wyższy poziom artystyczny — o ileż np. wyższy, aniżeli najrozmaitszych „męskich" wystaw chociażby w warszawskiej Zachęcie. Prace M. Wodzickiej, Z. Albinowskiej, J. Nowotnowej i w. i. bywały już niejednokrotnie ozdobą polskich wystaw. Rzeźby Janiny Reicher-



Z. Trzcińska-Kamińska Stefan Żeromski (granit)

Własność Polskiego Klubu Literackiego w Warszawie

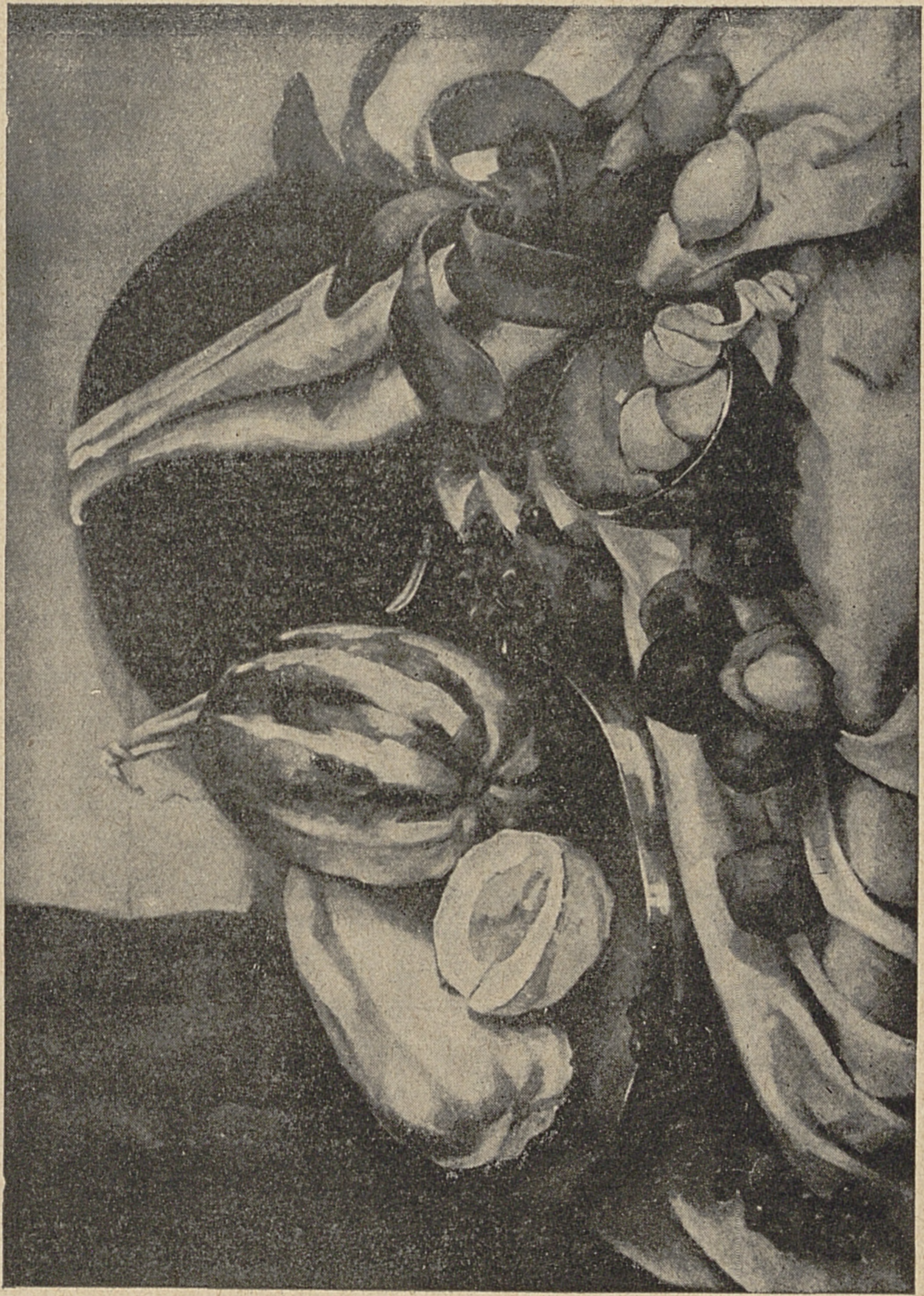
t ó w n y każą spodziewać się ogromnie wiele po tym świeżym, oryginalnym i silnym talencie.

W Paryżu obrazy M e l i M u t e r zjednały tej malarce wysoki prestige nawet w miarodajnych sferach artystycz-



M. Chybińska Portret synka (minjatura)

nych francuskich. Nina A l e k s a n d r o w i c z przejawia w swych różnych pracach mnóstwo inwencji, W a n d a C h e ł m o ń s k a budzi zainteresowanie wśród obcych polskiemi motywami etnograficznemi, H a l i c k a i szereg innych podejmuje z powodzeniem coraz to nowe zagadnienia czysto formalnej natury.



I. Łuczyńska-Szymanowska „Owoce" (ol.)

W grupie skrajnej artystycznej lewicy „Bloku“ i „Praesensu“ artystki, jak T. Żarnowerówna i Nycz-Borowiakowa, odgrywają niepośledną rolę. Zofja Stryjeńska zdobyła sobie w ciągu kilku lat odrębne zupełnie w sztuce naszej stanowisko; zdumiewa ona swemi pracami także cudzoziemców, gdyż umie jak nikt inny w zupełnie nowoczesnej formie opracowywać najbardziej charakterystyczne i tradycyjne polskie motywy.

Zofja Trzcińska-Kamińska wykonała w materjale wiele rzeźb tego rodzaju, że nikt nie śmiałby wobec nich nawet słowa bąknąć o rzekomej *improductivité féminine* w dziedzinie tej sztuki solidnej i tak pono „męskiej“ a żmudnej nawet pod względem czysto technicznym i rzemieślniczym.

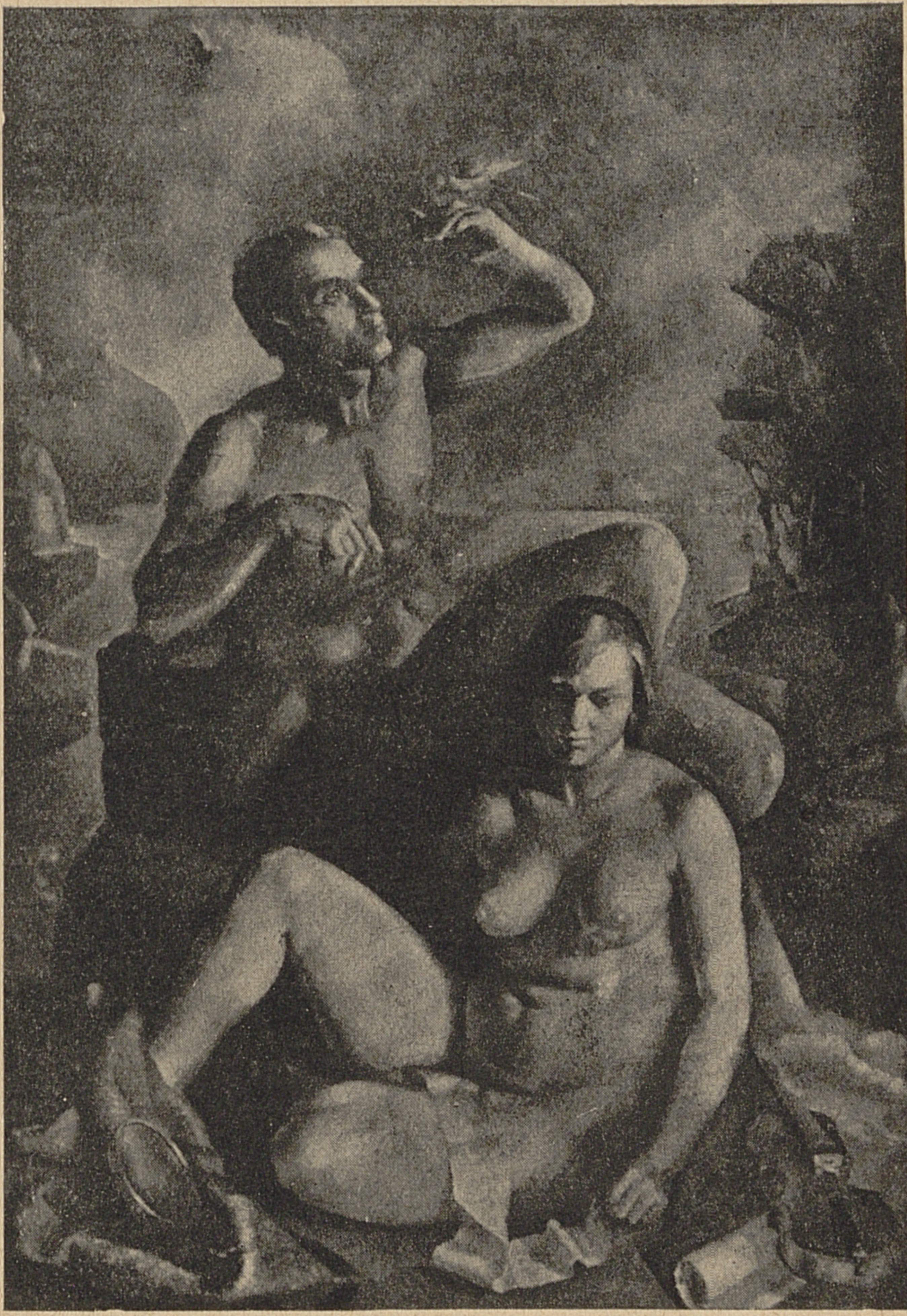
Nie wspomniałem o żadnej dawnej polskiej minjaturzystce. Ależ mamy i współczesne, od tamtych niegorsze, jak np. M. Chybińska i M. Dąbrowska, dwa talenty mogące być ozdobą każdej kultury.

Komuż obcy jest czar dawnych polskich dworków i osobliwy urok południowych pejzaży na płótnach Br. Rychter-Janowskiej? A Irena Łuczyńska-Szymanowska, wybitny talent o malarskiem nawskróś zacięciu, a J. Bobińska-Paszkowska, a Wiga Gaszczyńska, Teresa Popielska, a Irena Pokrzywnicka i Marja Berezowska, autorki wykwintnie malowanych ilustracyj o finezyjnym dowcipie, a J. Broniewska, Olga Niewska, H. Nałkowska, rzeźbiarki, a W. Szczytt-Lednicka, której rzeźby cieszą się powodzeniem we Francji i we Włoszech, a Jadwiga Umińska, młodziutka absolwentka warszawskiej Szkoły Sztuk P., której dwa obrazy (na trzy wystawione) zakupiono z polskiej wystawy w Sztokholmie — czyż to mało?

Wymieniłem zaledwie kilka nazwisk, pominąłem bardzo wiele, nawet zasłużonych, bo mam wakacje, siedzę nad polskiem morzem i patrzę na cudownie powykręcane nadbrzeżne sosny i trudno mi wobec tego myśl skupić.

W takich warunkach tak dużo wolno i wiele się przebacza — czyż nie tak?

A przecież, jak myślę, sporo dałem i tak tematu do zi-

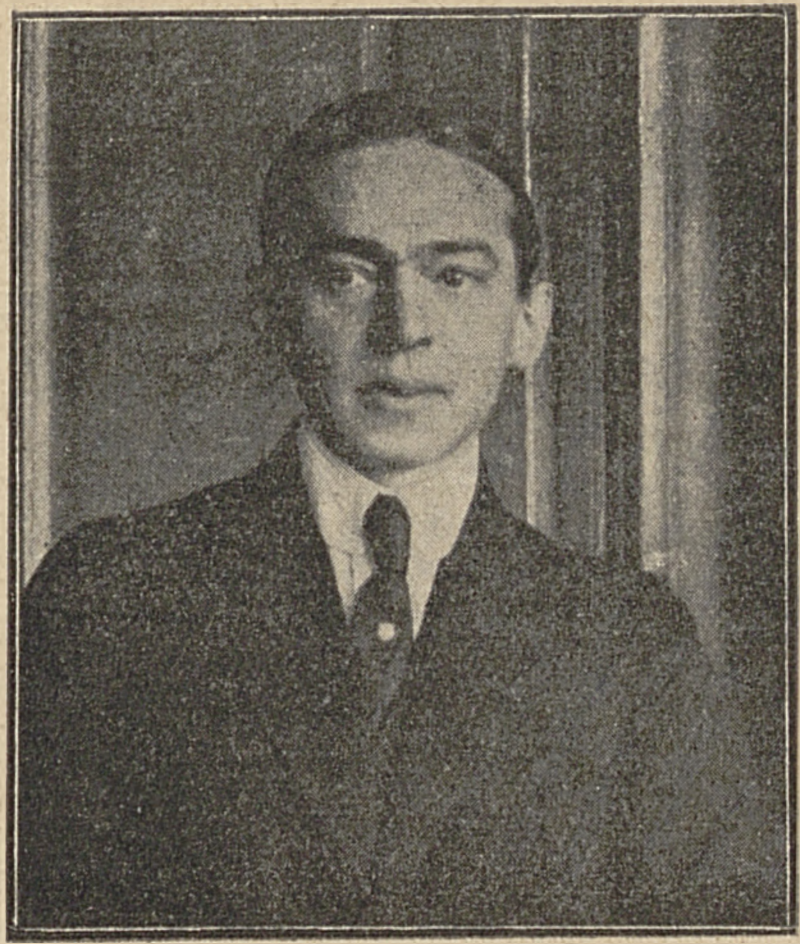


J. Umińska „Wiosna" (ol.)

mowej pogawędki, gdy... zepsuje się gramofon, gdy... radjo umilknie, gdy naderwie się wątek herbacianej konwersacji, albo gdy zgoła zaniknie.

Jeśli zaś to co napisałem którąkolwiek z uroczych czytelniczek znudzi (i co za tem idzie, do mnie zniechęci), — niechaj zagłębi się w inne karty przemiłego Almanachu, bez którego nie umiałby się już obejść cały nasz świat kobiecy!

Hel (Pomorze), w sierpniu 1927.



STANISŁAW WASYLEWSKI

ODBUDOWA GRZECZNOŚCI

Jest już pod koniec obiadu. Za chwilę wstaniemy od stołu, już nawet powinniśmy byli dawno to zrobić, lecz jeszcze trwa ożywiona dyskusja na temat, który za chwilę będzie aktualny. A mianowicie: dziękować czy nie dziękować? Wiadomo — nad tem się wiele od czasu odzyskania niepodległości debatuje. Dlaczego właśnie od tego czasu, nie pierwej? No bo, od tego czasu raczyliśmy się na szerszej powierzchni stykać w życiu towarzyskiem z ludźmi Zachodu. A ci ludzie bałuszyli wielkie oczy, widząc owe polskie poobiednie dziękowania i ukłony i całowania po rączkach: najpierw sąsiadce, potem pani domu, wkońcu kolejno wszystkim gościom.

— Za co mi pan dziękujesz? — zapytał pewien zdziwiony tem nie na żarty Francuz.

— *Pour votre société* — odrzekł Polak, a Francuz uśmiechnął się; nie mógł pojąć o jaką to „societę“ chodzi i co ona ma tu wogóle do czynienia.

Wydaje mi się, że to dyskusja dość istotna, a ten szczegół bardzo znamienny. Dotyka bowiem dwu ważnych spraw odrazu: grzeczności wogóle i naszej tradycji narodowej w tej mierze.

Świat, który schamiał tak straszliwie w ostatniem dziesięcioleciu, zaczyna teraz nagwałt opamiętywać się. Przeciera oczy i budzi się z dręczącego snu i przypomina sobie, że to przecież niezawsze tak bywało. Niezawsze ludzkość pławiła się w otchłani chamstwa. Zazwyczaj starała się nawet być grzeczną i dobrze wychowaną. I żal jej się robi, i zaczyna tęsknić, i chce wrócić do „formy". W XVIII wieku, przesycona etykietą, wołała z Russem: powróćmy do stanu natury; teraz woła wprost przeciwnie: powróćmy do stanu grzeczności! I chce wrócić. I zapowiada, że wróci. I zaczyna wracać.

Pierwsi otrząsnęli się Francuzi, których witryny księgarskie roją się od podręczników dobrego tonu. Odwieczną i już przestarzałą baronowę Staffe zastępuje popularny dziś i bardzo czytany baron Fouquier. Mam oto przed sobą dziesiąte wydanie jego „*Des Usages et de l'élégance*", dzieło w którem na 20 arkuszach druku wydobywa autor stare zapleśniałe jeszcze wczoraj zasady „dobrego tonu" i przypomina je dzisiejszym Francuzom. A zaczyna naukę od prymitywów, od abecadła, uczy co ma człowiek robić w domu i poza domem. Uczy tak pobłażliwie, popularnie i cierpliwie, jak gdyby rozpoczynał naukę na pierwszym stopniu szkoły początkowej. Inni pisarze, których nazwisk nie mam w tej chwili pod ręką, biorą motywy grzeczności za punkt wyjścia już nie fejletonów, ale powieści, nowel i dialogów. Słowem, szukają pilnie przerwanego kontaktu z tradycją.

Niemcy wprost przeciwnie. Tradycja i rasa nakazuje im niegrzeczność. Bismarck szczycił się ze swej gburowatości i zostawił ją Germanji w testamencie. A przecież nawet już i niektórzy Niemcy mają za wiele prusactwa, i boleją nad tem, i próbują nawet bronić Bismarcka. „Żelazny Kanclerz był znakomitym światowcem i światowości swej zawdzięczał niejeden sukces za swych poselskich czasów. Zgrabność i polot jego wymowy nieraz zdumiewały współczesnych". Podejmuje tę rehabilitację Bismarcka, bez wiel-

kiego przekonania zresztą, Aleksander von Gleichen-Russwurm, głośny autor popularnej przed wojną książki o „wytwornej Europie“ („*Das galante Europa*“) i szeregu innych rozważań z tej dziedziny. Jest to nawet dość żałosny widok, gdy pan Russwurm, który z niemiecką pedanterją przestudjował naukę grzeczności wszystkich ludów, od Chińczyków na Dalekim Wschodzie zacząwszy, a na Polakach w głębokiej Europie skończywszy, który ma w małym palcu etykiety wszystkich dworów i ceremonjały przeróżnych epok, który zwędrował wścibsko przeróżne źródliska dobrego tonu, bijące na przestrzeni dziejów od starożytnego Rzymu do Edwardowego Londynu — teraz załamuje ręce i rozdziera szaty nad barbarzyństwem Niemców. Czyni to coprawda pocichu, półgębkiem, w obsłonkach i niedomówieniach; przypomina, że nawet Karol Wielki uznał za konieczne po wędrówce ludów zająć się sprawą przyzwoitego zachowania się swych poddanych, że nawet Napoleon po koronacji wygrzebał stare ceremonjały dworskie i narzucił je nowemu, świeżo uszlachconemu „towarzystwu“. Książka Russwurma „*Von Art und Unart. — Ein Zeitspiegel des guten Tons*“ (Leipzig, 1927) rozchodzi się dość wolno. Zaledwie trzecie wydanie w ciągu kilku lat, niemiecki *Vaterland* ma bowiem w tej chwili pilniejsze troski, aniżeli martwić się niedostatkiem form towarzyskich i grzechami wołającemi o pomstę do baronowej Staffe.

W Anglji i Ameryce całe półki „niebieskich książek“ o etykiecie (*The book of Etiquette*), całe albumy (np. E. Post) ilustrowanych obficie wykładów dobrego tonu.

Słowem, gdzie tylko spojrzeć, wszędzie świat czując zawrotne toczenie się po równi pochyłej ku zupełnemu zdziczeniu — chwyta się kurczowo starych, ośmieszonych tak gruntownie form towarzyskich, dobywa z lamusa wspomnień najbardziej nawet zapleśniałe zabytki i usiłuje je odmłodzić i do mody przywrócić.

A cóż my mamy, my, których kultura towarzyska przypomina z wejrzenia łąkę po wylewie Czeremoszu lub Prutu, albo szmat bezkresny ugorującego przez dziesięć lat odłogu, jakie doniedawna spotykało się masami na kresach wschodnich, a jakie już teraz znikną z powierzchni, ustępując miejsca zasianej, uprawionej i pracującej roli?

Czy pomogą nam książki, choćby nawet najstaranniej opracowane.

Czy książka może tu wogóle mieć coś do powiedzenia, czy głos jej dotrze do nowych ludzi, których jaskrawy brak form towarzyskich polega przedewszystkiem na tem, że stronią od lektury jak od zarazy. Do „tej małej, która piła dziś i jest wstawiona“ — książka niestety też dostępu nie ma. Ludzie, którzy tylko tańczą i nie chcą nic wiedzieć poza tem o Bożym świecie, nie mają czasu na czytanie książek, tem mniej książek z morałami.

Trzeba rzecz skierować do właściwej, najwyższej instancji. Sprawą reformy grzeczności i form towarzyskich musi się wreszcie zająć taki wszechwładny trybunał, jakim jest dancing. Pomiędzy jedną a drugą turą „ibi-dżibi“, pomiędzy charlestonem a tańcem bananowym. Tylko jeden dancing mógłby zwycięsko stoczyć wojnę z dzikością i chamstwem, mógłby ośmieszyć niegrzeczność i młodych ludzi przekonać.

A zatem, gdy na fajfie przestanie ryczeć gramofon, albo ścichnie głośnik radjowy, albo gdy zmęczona ciocia wstanie na chwilę od pianina — bawmy się w bęcwała! Nie w kotka i myszkę i nie w czarnego luda, lecz właśnie w bęcwała. Jakaż to zabawa! Bardzo prosta i nawet nienudna. Jedna osoba wychodzi, a powróciwszy ma spełnić jakieś przedziwnie zdawałoby się łatwe, a przecież jakieś bardzo trudne zadanie. Np. przywitać się kolejno z czterema paniami w salonie, dwie z nich są starsze i siwe, dwie młode i zielone. Albo: podać w sposób uprzejmy okrycie jednej z pań. Albo: zachować się jak człowiek przy jedzeniu. Bęcwał, przychwycony na gorącym uczynku niezręczności towarzyskiej, nieumiejętności wyrażenia się — daje fant. Mogą być zresztą stopnie wyższe, po bęcwale możemy bawić się w ciapę, w drągala, bucefała i wreszcie chamusia.

Były kiedyś w Polsce *libri chamorum*, do których zapisywano nieprawych szlachciców. Zapisujmyż i dziś do takiej niepisanej księgi snobów, t. z. ludzi *sine nobilitate*, nie mających kultury towarzyskiej, a co zatem idzie i duchowej.

Grzeczność — jak mówią Anglicy — jest szlachetną sztuką samoobrony (*the noble art of selfdefence*). Grzecz-

ność ułatwia człowiekowi zwycięską postawę wobec życia i jego spraw. Grzeczność jest uśmiechem cywilizacji.

A skoro już praca nad odbudową grzeczności rozpocznie się na dobre, gdy staną mocne fundamenty, wtedy trzeba będzie pomyśleć, w jakim stylu ma się wznieść gmach kultury towarzyskiej. Czy nie byłoby dobrze, aby znakomitych i głośnych ongi po świecie „Francuzów Północy“ zastąpili dobrze wychowani Polacy, z zachowaniem i uwydatnieniem tych wszystkich znamion, które cechowały ludzi k'rzeczy, a więc grzecznych od niedorzecznych snobów. Tu sprawa trudniejsza. Na to reguł pisanych niema. Zasady dobrego wychowania w Polsce przechodziły tradycyjnie z pokolenia w pokolenie. Sędzia, prawiąc w „Panu Tadeuszu“ o grzeczności, mówił o nauce niełatwej i nienowej, ale przecież znanej wszystkim z żywej tradycji domowej. Brakło jej teraz dopiero w epoce, w której syn uważa ojca za matoła, a córuchna odnosi się do matki z wyniosłą pobłażliwością, jak do miłego lecz zbędnego wykopaliska.

Więc dziękować po obiedzie czy nie dziękować? Dziękować proszę państwa, cokolwiekby na to mówił *savoir vivre* francuski i wogóle starać się o ochronę i ożywienie w naszych formach towarzyskich tego, co było wyrazem owej radosnej uśmiechniętej polskiej grzeczności, którą słynęli we Włoszech humaniści polscy, którą błyszczał w sztabie napoleońskim Aleksander Fredro, a w pensjonatach szwajcarskich Słowacki.

Powróćmy do stanu grzeczności!



HELENA FILOCHOWSKA

WACHLARZ

Pytasz o pierwszy wachlarz, modna wytwornisio o charciej sylwetce zdobiącej okładkę „*Feminy*“, czy „*La Vogue*“?

Ach, ten pierwszy wachlarz Pierwszej Kobiety, zgubionej w czarodziejskim, stubarwnym rozkwicie pachnących ogrodów Raju, był na pewno stokroć piękniejszy, niż przez samego Fragonarda malowane cacko z jedwabiu i słoniowej kości. Był może kwiatem nieznanym, tajemniczo i dziko pięknym, czy liściem olbrzymiej palmy, który wysrebrzył blask księżyca i diamentami osypała rosa, albo gałązką rozkwitłą o pąkach ledwie rozchylonych różowem muśnięciem najwcześniejszej zorzy...

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Hindusi i Egipcjanie, Chińczycy i wszystkie ludy starożytne używały chłodzących wachlarzy najpierw z liści lotosu, lub palmy, później z piór pawia i strusia, z wonnych,

kosztownych drzew, i ze zbytkownych materyj. Podczas szaleńczych z przepychu uczt starożytnego Rzymu nad uwieńczonemi głowami biesiadników powiewały bezcenne, wielobarwne wachlarze z piór najrzadszych ptaków afrykańskich, lśniące złotem i drogiemi kamieniami.



We Francji już w średniowieczu damy szczyciły się bogactwem swych wachlarzy zwanych *d'esmoichoirs*, ale użycie ich rozpowszechniła szczególnie Katarzyna de Medicis, przywożąc tę modę ze swej słonecznej, przepięknej ojczyzny. W XVII wieku zaczyna się we Francji królestwo

wachlarza. Staje się on emblematem kokieterji i królem salonów. Na dworze Ludwika XIV wachlarz jest potężną bronią i symbolem. Jak dyplomata — ma swój własny język, własną tajną wymowę, którą — oczywiście — musiała znać każda „szanująca się“ dworska kokietka. Falowanie jego wzbudzało nadzieję, rozpacz, namiętność, darzyło szczęściem i druzgotało odmową, błagało o przebaczenie i spychało w otchłań niełaski.

Jakże mistrzowsko umiała nim władać i mówić M-me de Sevigné, księżna de Chevreuse, Ninon de Lenclos, czy zimna i ambitna Montespan... Ile uperfumowanej rozpusty taiło się w jednem nieznacznem drgnieniu tego cacka, malowanego przez Bouchera, i ile krwi splamiło śnieżne żaboty uróżowanych jak kurtyzany kawalerów, których zazdrosny rywal, podpatrzywszy obietnicę wachlarza, nadziewał bez pardonu na szpadę w romantycznym zakątku zalanego blaskiem księżyca parku...

A jednak mimo pasterskich scen rzuconych na twe tło, kunsztowny wachlarzu z XVII i XVIII wieku, mimo zdobiących cię maleńkich arcydzieł samego Watteau, Lancreta, czy Bouchera, czegoś ci brak, ty cacko prześliczne, zazdrośnie ukryte pod witryną gablotek muzeum Carnavalet.

Bawiły się tobą bezmózgie lalki w robronach, zimne i wyrafinowane intrygantki, Messalinki w białych perukach, tańczące ze sztuczną gracją marjonetek Lambertowskie menuety na lustrzanych parkietach Wersalu i królewskie płatne nałożnice w zalotnych muszkach i sadzonych diamentami ciżemkach. Bawiły się i kryły w twym cieniu dwuznaczny uśmiech, zdradziecką obietnicę, grymas zawiści, bladość upokorzenia, szatański śmiech krwawej intrygi, ale wątpię, bardzo wątpię, czy na twój delikatny jedwab i misterną koronkę z kości słoniowej spadła kiedykolwiek czysta jak perła — łza. Łza wielkiego bólu, czy wielkiej miłości...

Bo pastelowe pasterki z Trianon, tak bardzo podobne do kruchych figurynek z Sévres, miały porcelanowe serduszka i wolały swawolny śmiech, zdławiony ostatnią śmiertelną czkawką pod nożem gilotyny, niż płacz, od którego tak

brzydko puchnie natarty blanszem nos i odlepiają się czarne, pieprzne muszki.

Ale znam dwa wachlarze, na które na pewno wśród oślepiającego przepychu dworskich balów, lśnienia brylantów i namiętnych szeptów świetnych, wymuskanych kawalerów spływały gorzkie, palące łzy. Łzy zgubionej w oceanie wersalskich intryg, rozpaczliwie samotnej Marji Lesz-



czyńskiej, tej „śmiesznie cnotliwej“ i „śmiertelnie nudnej“ królowej, która nie umiała ani kłamać, ani zdradzać, ani — o zgrozo! — malować się... I łzy pięknej, jasnowłosej Austrjaczki, Marji Antoniny, która z takim nieporównanym wdziękiem pochylała w menuecie swe królewskie czoło, by jako „wdowa Capet“ pochylić na szafocie poraz ostatni przedwcześnie osiwiałą, wzgardliwie dumną głowę pod nożem, tak genjalnie skonstruowanym przez jednego z „dobroczyńców ludzkości“ — nieśmiertelnego doktora Guillotin...

Cóż mam więcej powiedzeć ci o wachlarzu, modna pani? Wszak wiesz, z jaką gracją prześliczną chłodzi się nim maleńka madame Butterfly, czy smagła Włoszka o niewinnem spojrzeniu Madonny Belliniego i ustach koloru ciemnoszkarłatnych gwoździków, albo Hiszpanka, której ciężkie, czarne włosy mienią się granatowym odblaskiem nocy andaluzyjskiej. A twój wachlarz, płaska jak deska do prasowania, ostrzyżona i wygolona elegantko XX wieku, która z jednej krynoliny prababki możesz sobie uszyć całą wyprawę?

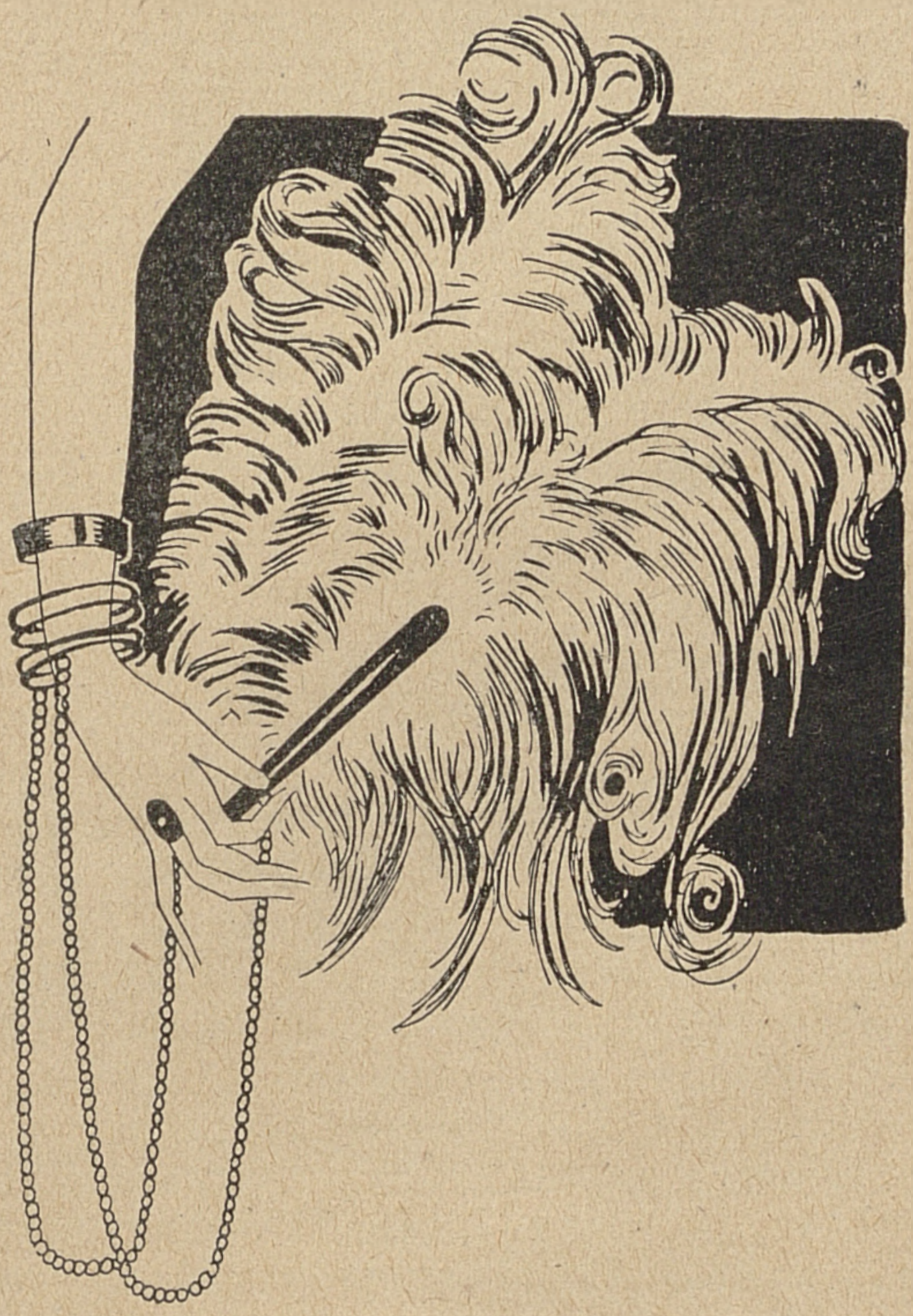
Musiałaś z niego, oczywiście, niemal zupełnie zrezygnować. W dzikiej bambouli dzisiejszego balu, w piekielnym ryku, wrzasku i pisku jazz-bandu, w polinezyjskiej nonszalancji i ekspresywności modnych epileptycznych, czy alkowianych podrygów, omdleń i dzikich skoków wachlarz stał się śmiesznym anachronizmem. Już nie ma, biedak, nic do powiedzenia, nic do ukrycia, ani do obiecania, wszystko bowiem nosisz dziś na wierzchu — najtajniejsze wdzięki torsu i pleców obnażonych aż do lędźwi i nóg aż powyżej kolan, no i całą twą duszyczkę powojennej kobiety, która ma stale czterdzieści stopni gorączki i marzy o charlestonie tańczonym z prawdziwym negrem i o londyńskich pantofelkach ze skóry autentycznego krokodyla.

A jeżeli masz zamiar jednak zjawić się na balu z wachlarzem, to pamiętaj, że moda nakazuje wyrwać poprostu kilka olbrzymich piór z ogona nieszczęsnego strusia, ubarwić je na kolor twej toalety, związać luźno wstążką i manewrować niemi tak, aby twój danser nie stracił nic z przepastnych perspektyw twego dekoltażu...

Szczególnie modny jest wachlarz gigantycznych monumentalnych wprost rozmiarów, zrobiony ze strusich piór. Powiedział już o nim niegdyś Maupassant, że przypomina raczej parawan, za którym dama na balu może swobodnie flirtować jednocześnie z całym szwadronem kawalerji. Modna jest także melancholijna pleureusea, jakby stworzona na to, aby ją piastował twój równie melancholijny, kwaśny i znudzony małżonek.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

...Gdzie jesteście prześliczne małe wachlarzyki panieńskie, białe, różowe i błękitne, nakrapiane jakby pyłem gwiazd, pyłem srebrnym i złotym, wachlarzyki z koronek, lub jedwabiu, malowane w blade gałązki kwitnących jabłoni, lub w pęki naiwnych niezapominajek?



Gdzie jesteście, wachlarzyki z pierwszego balu, gdy dziewczęce policzki płoniły się nieśmiałą zorzą rumieńca pod spojrzeniem ciemnych czy niebieskich oczu dansera, wachlarzyki, tulone do serca, jak relikwje, wachlarzyki, na które spływały o świcie pierwsze łzy rodzącej się miłości i tęsknoty?

Gdzie jesteście, wachlarzyki naiwne, utkane z jutrzenki i błękitu, na których ktoś umiłowany ukradkiem, jak zbrodniarz, skreślił ołówkiem, wyrwanym z karnetu, maleńkie, najcudniejsze, dziś już zapomniane, zohydzone i zbeszczeszczone słówko „Kocham“...



JANINA KILIAN-STANISŁAWSKA

O PRAWDZIWYM BATIKU

O batiku piszemy w ostatnich kilku latach dość często, zmuszeni do tego bądź to licznem pojawieniem się tej poniekąd nowej (w Europie) gałęzi sztuki na artystycznych rynkach zachodnich; bądź też, i to najczęściej, modą, która tak zazwyczaj kapryśna, wykazuje w tym wypadku nieprawdopodobną trwałość.

Chodzi nam też przedewszystkiem o to, ażeby wyraźnie zarysować granicę pomiędzy batikiem artystycznym, a t. zw. „batikiem" galanteryjnym, cierpliwym aż do okropności. Wiemy, że od lat mniej więcej 8, batik jest modny. Modny, oczywiście, w galanterji, gdyż w sztuce moda nie obowiązuje.

Przypisać to należy niezwykle szerokiej skali zastosowań, jaką posiada technika batikowania. Drzewo, jedwab, płótno, oto materjały, na których batik wychodzi dobrze. Cała ogromna dziedzina galanterji, tak wybujała i bogata w najdziksze pomysły, zarówno jak i zdobnictwo artystyczne, zastosowywane w architekturze wnętrz (tapety

na jedwabiu, oprawne w drzewo, tworzące ścianę w pokoju jadalnym, w pawilonie polskim, na wystawie w Paryżu), makaty, obicia, abażury i kotary, wszystko to może być wykonane techniką batikową. Stąd tak wielka jego popularność, a co za tem idzie, różna wartość artystyczna. Kto nie chce kupić prawdziwego batiku w prawdziwem źródle, ten poduczywszy się roztapiać wosk w czareczce i utrzymywać ją następnie w równowadze, ażeby się wosk nie wylał, uważa się za dość wykształconego w zawodzie batikowym, i robi sobie batik sam, wykoszlawiając często i parodjując tę przepiękną sztukę. Coraz więcej też mamy takich „dzieł" batikowych, nie mających nic wspólnego z dobrym smakiem, a już tem mniej ze sztuką. I tak potrzeba zastosowania batiku w strojach damskich i szalach balowych obniżyła tę kunsztowną i dostojną sztukę jawajską do poziomu, na którym spotykamy ją obecnie co krok, a nad którym litować się należy. Okropne pod względem stylu, wadliwe pod względem techniki, są te twory praktycznej mody istną „epidemją batikową", która słusznie przeraża znawców, zaś przeciętnej i niefachowej publiczności psuje smak, wyrażający się potem w niepewnej i niechętnej opinji o batiku w ogólności.

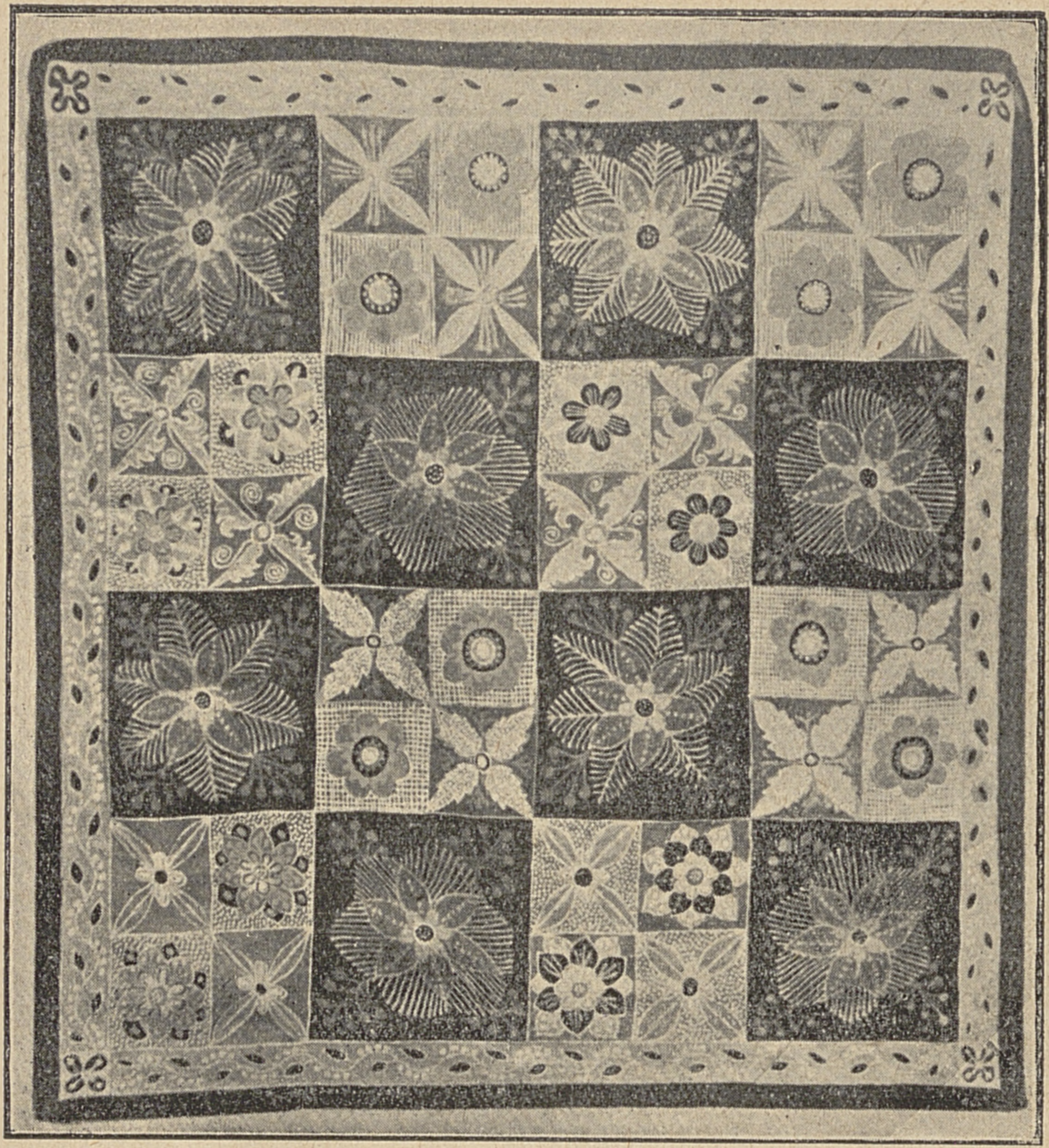
Bo „batik" — to nie jest szal, zakończony koniecznie frendzlą, a namalowany pędzlem w bezsensowne floresy, lub co gorsza miłosne sceny „japońskie", lecz jest to kompozycja celowa, zwarta, utrzymana w stylu. Piszemy go gorącym woskiem i czareczką mosiężną na jedwabiu, płótnie lub drzewie, a następnie maczamy kolejno w roślinnych barwach. O barwieniu i sposobie zaprawiania płótna lub jedwabiu przed użyciem, powiemy tylko kilka słów przy końcu, gdyż jest to proceder bardzo długi i trudny i wymaga więcej praktyki i doświadczenia, aniżeli teorji, która, znowuż, nawet gdyby była wystarczalna, nie zmieściłaby się w ciasnych ramach artykułu. Dobrze będzie tylko zaznaczyć, że nie należy używać do barwienia aniliny, gdyż niszczy ona materjał, zjada włókna, a przytem łatwo pełznie; barwy zaś roślinne, jako to: żółte drzewo, czerwone drzewo, niebieskie drzewo, indygo, koszenila, cebula (barwa szczególna, nie do naśladowania w anilinie!) — są



nietylko piękne i wykwintne, lecz dają się prać w wodzie, i nie pełzną.

Kompozycja i technika batiku są tak silnie ze sobą związane, że nie może istnieć jedno bez drugiego. Tymczasem my, mówiąc o batiku, nawet fachowo, kwestjonujemy dobór materjału, dobre zastosowanie wosku i temperatury farby, czystość otrzymanych barw po wyprasowaniu; jednem słowem dotykamy kwestji techniki naukowo, i zdaje się nam, że już temat wyczerpany. Batik został uznany za „prawdziwy.“. Byłoby to błędem. A kompozycja?

Zaledwie kilka wytwórni batików w Polsce rozumie



całą wielką odpowiedzialność, jaka ciąży na nas, bądź co bądź, z wolą czy bez woli, naśladowcach niedoścignionej sztuki zdobnictwa wschodniego. Bo źródłem i kolebką batiku, zarówno jak wszelkiej sztuki ludowej słowiańskiej, jest Wschód, skąd drogą podświadomego wpływu i odwiecznej tradycji przejął go nasz lud i zastosował w pisaniu jaj wielkanocnych. Następnie, lecz już w sferach artystycznych, przeniósł się batik, za przykładem jawajskim, na jedwab, a następnie na wyroby z drzewa. Przez tyle



ewolucyj przechodząc, zdołał się wyzbyć wpływów obcych, zakorzenić na motywie ludowym (pisanki), wyodrębnić i unarodowić, tak że możemy śmiało twierdzić wobec zagranicy, że posiadamy batik polski. Makaty nasze, pochodzące z warsztatów krakowskich i warszawskich, a robione dla czystości prymitywu rączkami dzieci, należą do najpiękniejszych arcydziełek w zakresie batiku. Wystarczy spojrzeć na ich przepiękny, niefrasobliwy i bogaty rysu-

nek, na nieomylny koloryt, obracający się w kręgu kilku, ciągle tych samych a wiecznie innych barw, ażeby raz jeszcze stwierdzić doskonałość instynktu prymitywnego, który od prawieków tworzył i tworzyć będzie wszelką sztukę ludową.

Przepych barw, tak w swojej żywości spokojnych, odwaga bogatej kompozycji, niewyczerpalność pomysłów, swobodnie komentowany motyw roślinny i zwierzęcy, prostota i powaga najnierealniejszych kształtów, podświadomie w istocie twórczości dziecinnej i ludowej tkwiące, oto są czynniki, które podnoszą batik do piedestału prawdziwej sztuki. Szkoda tylko, że tak mało znamy się na wartościach prawdziwego batiku. Mała ilość prac, traktowanych poważnie, tu lub tam, pojedyńczo, ginie i niknie w nawale tandety, jaką nas zasypuje modna galanterja.

Podajemy kilka klisz doskonałych, lecz niestety tak nielicznych batików: przeczyste w stylu i kolorze, zadziwiające pięknością rysunku, prawdziwie polskie, a przecież wytrzymujące z łatwością współzawodnictwo swoich sławnych braci z Jawy, batiki uczniów p. Zygmunta Trojanowskiego. Wręcz w innym stylu, a równej wartości są batiki p. Marji Kasprowiczowej, których reprodukcje podaliśmy w 24 nrze „Świata Kobiecego“ z 1926 roku, wytwarzane w jej pracowni na Harendzie w Zakopanem, a łączące w sobie motywy polskie ludowe, motywy napół wschodnie z pasów słuckich, z bogatem zdobnictwem ludowem rosyjskiem. Są to naprawdę owe błękitne ptaki, dostępne tylko dla wtajemniczonych, lecz niemniej ratujące dobre imię batiku prawdziwego od zagłady i zalewu taniej tandety.

Nakoniec podajemy kilka uwag o technice barwienia: Przed pisaniem woskiem należy materję (najlepiej tęgi fular) zamoczyć w ałunie rozpuszczonym w wodzie, trzymać w tym roztworze przynajmniej 12 godzin i mieszając od czasu do czasu płyn, ażeby materjał zamoczył się równomiernie, nie dopuścić do powstawania plam, które potem przy farbowaniu występują, gdyż nierówno zaprawiony materjał nierówno wchłania farbę. Można temu zaradzić, wkładając go powtórnie do ałunu, ale nie zawsze się to udaje, gdyż w miejscach tych przecież farba układa

się inaczej. Po wysuszeniu materjału, rysuje się zasadniczy wzór woskiem, zgóry obmyślając dalszy rysunek i koloryt batiku, gdyż na każdej następnej barwie zakrywamy coraz to nowe pola woskiem, uzupełniając w ten sposób poprzedni rysunek coraz inną barwą.

Wosk musi być koniecznie prawdziwy, zmieszany dla uniknięcia łamliwości z kalafonją w proporcji: $^2/_3$ wosku i $^1/_3$ kalafonji.

Mieszaninę tę rozpuszczamy w małym garnku, włożonym do większego garnka z wodą gorącą. Ogrzewamy tak, ażeby się nie zagotował, bo staje się nieużyteczny. Gdy się całkiem rozpuści, wsypujemy roztartą na proszek kalafonję, mieszając ciągle. Po wystygnięciu krajemy wosk w kostkę, przez co staje się wygodny w użyciu, i przechowujemy w pudełku.

Zasadnicze farby (można kupić w droguerjach):

kolor żółty: żółte drzewo,
kolor czerwony: czerwone drzewo,
kolor niebieski w fioletowym odcieniu: niebieskie drzewo,
niebieski: indygo,
różowy (fraise): koszenila,
żółto-morelowy: cebula (skórka zewnętrzna ugotowana w wodzie).

Oczywiście, zależnie od rozpuszczenia wodą tych farb, ton ich stanie się silniejszy lub słabszy; można także kombinować je przez zmieszanie. Materjał nawoskowany należy moczyć w letnim roztworze, gdyż w gorącym wosk się roztopi.

Powyższe farby z różnemi kwasami dają różne odmiany barw, i tak:

Czerwona z sodą lub boraksem daje więcej buraczkowy ton. (Sody lub bor. na koniec noża). Z kwasem cytrynowym daje żółtawy (cynober).

Niebieski po umoczeniu w kwasie cytrynowym daje złoty bronz.

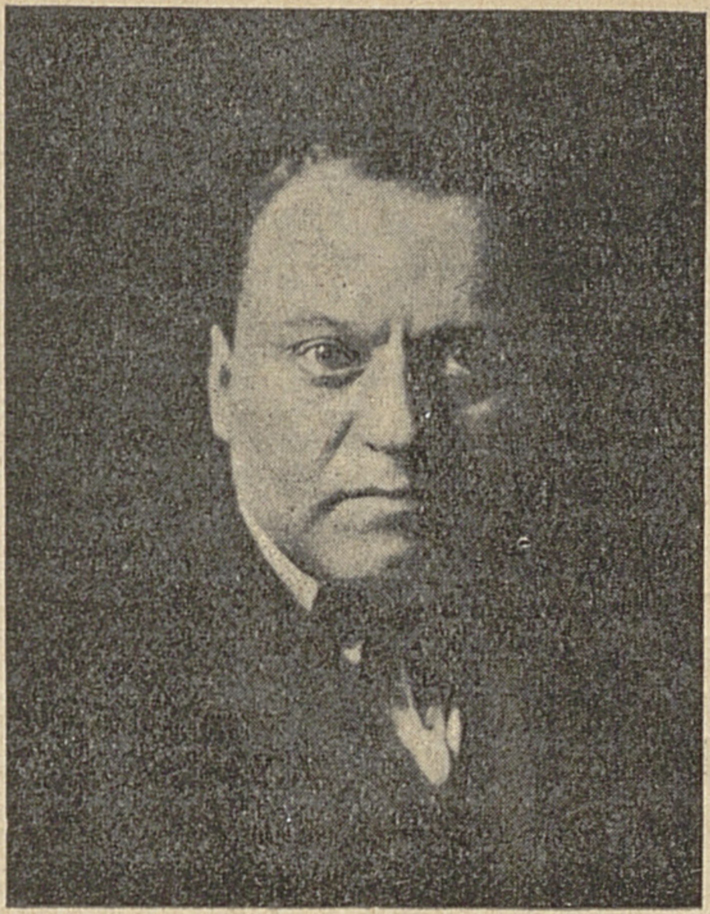
Koszenila — gotując farbę dodajemy grudkę kwasu cytrynowego: kolor różowy, z dodaniem zaś chlorku cynowego (odrobina): silnie różowy.

Czarny kolor — żółta, następnie moczy się w długo gotowanem niebieskiem drzewie, a następnie w rozczynie siarczanu żelaza.

Materjał po wyjęciu każdorazowem z farby, należy ostrożnie (ażeby nie łamać wosku) przepłókać, tak długo płócząc, jak długo jeszcze schodzi farba. Jeżeli kolor za jasny, trzeba włożyć raz jeszcze do tej samej, lub świeżo zgotowanej farby.

Oczywiście, jest to tylko pobieżny przebieg barwienia, w którym na pewno niewprawny śmiałek znajdzie dużo miłych lub niemiłych niespodzianek. Po wyschnięciu batiku, prasuje się go pomiędzy bibułami, ażeby wosk się stopił, następnie pierze się w benzynie, potem długo wystawia (24 godziny) na działanie powietrza (benzyna musi się ulotnić), a wkońcu prasuje się zwyczajnie.

Batiki barwione powyższemi farbami można prać w wodzie bez obawy.



STANISŁAW JACEK MACHNIEWICZ

WAŻNE DROBIAZGI W MIESZKANIU

O estetycznym wyglądzie mieszkania, poza ukształtowaniem i rozmieszczeniem pokoi, poza jakością mebli, decyduje w bardzo poważnej mierze cały szereg przedmiotów, pozornie podrzędniejszego znaczenia, a jednak bardzo dla piękna lub brzydoty mieszkania ważnych. — Dobór ich jednolity i odpowiedni jest tem trudniejszy, iż zazwyczaj krewni, przyjaciele lub znajomi młodych, urządzających się ludzi poczytują sobie za swój obowiązek jakimkolwiek podarkiem przyczynić się do urządzenia mieszkania młodej pary. Ponieważ pomiędzy ludźmi panują dość różnorodne upodobania estetyczne, więc nie dziw, że pod wpływem takich mniemań dokonywany wybór — musi posiadać wielką rozmaitość i niejednolitość, zazwyczaj jednak ujemną tylko. Z tej przyczyny należy rozpatrzyć i omówić poszczególne rodzaje tych ważnych, a tak bardzo zaniedbanych i przypadkowo gromadzonych po domach drobnostek.

Zacznijmy od portjer i firanek.

Zazwyczaj używamy w naszych mieszkaniach dwóch rodzajów firanek: lekkich, przejrzystych na okna i ciężkich sukiennych lub aksamitnych na drzwi. Używając jednych i drugich — pamiętajmy o jednem przykazaniu estetycznem. Nie pozwólmy przemyślnym tapicerom układać z portjer żadnych fantastycznych draperyj, festonów lub zasłon. Nie usiłujmy z firanki lub portjery czynić czegoś innego, czem ona nie jest i być nie powinna. Pamiętajmy o celu do jakiego służy — a niewątpliwie znajdziemy dla niej właściwą i celową formę. Firanka ma zasłaniać okno przed zbytnią ciekawością sąsiadów albo osłabiać zbyt wielką ilość światła dziennego lub słońca, wdzierającego się do pokoju. Z tego powodu winna być łatwo rozsuwalna, z materjału lekkiego, łatwo dającego się wyprać, o ile możności pozbawiona barw łatwo płowiejących. Dlatego przedewszystkiem polecenia godne są materjały białe. Jeżeli zdobią je koronki, wówczas zważać należy, by linje wstawionych koronek zgadzały się z charakterem lekkiej firanki, oraz by nie psuły organicznego jej charakteru. Jako dodatek, nie tyle dla ozdoby, ile raczej dla pohamowania ludzkiej ciekawości, są bardzo praktyczne zasłony okien, przytwierdzone wprost do ram okiennych, które w formie koronkowych witrażyków, często przewiązywanych pośrodku wstążką — zakrywają zbyt wielkie szyby.

Portjera umieszczona na drzwiach ma przedewszystkiem tłumić głos w pokoju, niekiedy zastępować drzwi. W tym celu należy je czynić z ciężkich materjałów sukiennych lub aksamitów osadzonych na podszewce. Typ dwojaki — z dwóch oddzielnych części złożone lub jeden wielki bryt sukna. W tym wypadku najładniej byłoby osadzić je na kółkach mosiężnych nanizanych na drążek mosiężny, osadzony bądź w futrynie drzwi, bądź bezpośrednio nad futryna. Portjera powinna być fałdzista, zatem odpowiednio obfita. Barw dobierać należy neutralnych, łatwo harmonizujących z innemi barwami. A więc ciemno-zielona, czerwona bordo, złamana niebieska itp. Jako motyw zdobniczy nadaje się aplikacja o dużych, żywych plamach.

DYWANY

Niema mieszkania bez dywanów — każdy, stosownie do swej zamożności, nabywa jakieś dywany. Najbezpieczniej jest nabywać autentyczne dywany wschodnie. Te bowiem są zawsze prawie piękne, zarówno w rysunku jak i barwie; ponadto tem się korzystnie wyróżniają od wszystkich dywanów europejskich, że harmonizują z każdą barwą. Zwłaszcza stare dywany wschodnie, do barwienia których używano wyłącznie barwików roślinnych. Znacznie gorzej i trudniej ma się sprawa z dywanem fabrycznym europejskim. W ogromnej swej większości jest on brzydki w rysunku i ordynarny w barwie. W tej mierze wskazana ogromna ostrożność. Stanowczo unikać natomiast należy fabrycznych, strzyżonych dywanów figuralnych (polowania, lwy, tygrysy, konie itp.), bo to ostatnia ohyda. To samo powiedziećby należało o t. zw. fabrycznych gobelinach.

Zamiast takiego dywanu lepiej na podłodze położyć kawał sukna jednobarwnego, albo jakiś uczciwy w barwie i rysunku kilim. Dywanów używa się ponadto jako przykryć stołów, makat na ściany, narzut na otomany itp. Najlepiej nadają się do tego celu różne szlachetne odmiany dywanów wschodnich, rzadziej kilimów. Przyjęty zwyczaj używania, zamiast dywanów, skór dzikich zwierząt posiada coś z egzotyzmu i pierwotności, mało natomiast wytworności. Może to dobre do zameczku myśliwskiego, ale nie do mieszkania mieszczucha. Jeszcze właściwsze wydaje mi się używanie skór zwierzęcych jako narzut na otomany lub okryć na fotele.

A już stanowczo niewłaściwością jest wypychanie plastyczne głów dzikich zwierząt i używanie takich półplastycznych tworów do ozdoby ścian, podłóg lub mebli.

Doskonale natomiast nadają się do dekoracji mieszkań barwne wełniaki łowickie. Ich żywa i soczysta barwność występuje najdobitniej w zestawieniu z jasnemi meblami.

OŚWIETLENIE

Sprawa znowu pozornie bardzo prosta i łatwa, a w rzeczywistości skomplikowana i trudna. Bardzo trudna nawet,

bo lampa elektryczna nie posiada jeszcze swego właściwego, artystycznie doskonałego typu. Żyje ona jeszcze tradycją lampy naftowej albo świecy i upodabnia się jeszcze bardzo często do pierwszej albo drugiej. Zupełnie niepotrzebnie naturalnie.

Pod względem artystycznym nienaganną będzie ta lampa elektryczna, która jak najdobitniej zaznaczy swój, że tak powiem, indywidualny charakter. Jako lampa stołowa, winna ona być odpowiednio ustabilizowana, a więc nie wywrotna, a nadto winna posiadać odpowiednio ukryte światło tak, aby nie raziło oka. W tym celu pokrywa się je stosownemi kloszami, albo abażurami. Lampa stołowa ma światło skupiać na stole, a nie rozpraszać je po pokoju, dlatego jej klosz lub abażur winien być odpowiednio na zewnątrz ciemny, najlepiej zielony lub fioletowy. O ile chodzi np. w salonie o miłe, stonowane światło, wówczas można użyć abażuru koloru złocistego lub żółtego. Ten charakter lampy stwarza dla niej odpowiednie kształty, które powinny być jak najbardziej konstruktywne, czyli pozbawione niepotrzebnych ozdób, ornamentów i rzeźb. Lampa nie stanie się ładną przez to, że na jej podstawie będzie umieszczona postać kobieca, zwierzęca lub jakiś kwiat! Takich ozdób unikać należy!

To samo odnosi się do lamp jadalnianych wiszących, lub do lamp stojących na ziemi, na wysokich stelażach.

Inny charakter musi posiadać lampa mająca oświetlać cały pokój. W tym wypadku winna posiadać wielką intensywność światła. Już nie ukrytego przed okiem, ale zupełnie śmiało i jasno rozpraszającego się w przestrzeni pokoju. Najpiękniejszą formą w tej mierze są dawne świeczniki bądź o charakterze rokokowym, bądź empirowym. Nie znaczy to, że mają one niewolniczo powtarzać formy dawne — chodzi tylko o ich charakter, zasadniczą konstrukcję. Rokokowy świecznik kryształowy, wieloramienny, posiada piramidalnie ustawione ramiona — świecznik empirowy grupuje je znowu w jednej płaszczyźnie, dookoła zdobniczo traktowanej ampli. Materjał różnoraki, drzewo złocone, bronz, mosiądz. Charakter bardzo zdobniczy i poniekąd monumentalny posiadają wieloramienne świeczniki

mosiężne holenderskie albo staro-żydowskie. Ten ostatni typ, u nas doniedawna częsty i pospolity, jest pod względem artystycznym bardzo piękny zazwyczaj.

Na ramionach świeczników osadza się bądź t. zw. świece elektryczne (fałszerstwo estetyczne!), bądź matowe kuliste lampki. Wszystkie nowoczesne świeczniki elektryczne upodabniają się mniej lub więcej do wymienionych typów. Lampy elektryczne wiszące, odbiegające od tych szlachetnych i wyrobionych form tradycjonalnych, są bardzo rzadko piękne. Dlatego wybór w tej dziedzinie bardzo trudny i ostrożność jak największa wskazana.

Sypialnie oświetla się zazwyczaj dyskretną amplą — niechaj sama jej forma działa swą szlachetną i celową linją.

PODUSZKI I ROBOTY RĘCZNE

Dziedzina tych drobnych przedmiotów jest ulubionym rajem wszelakiej brzydoty. Nie musi nią być — ale zazwyczaj bywa! Brzydota wciska się podstępnie zarówno do robót ręcznych, haftów, poduszek, aplikacyj, jak i do różnorodnych przedmiotów „zdobniczych" — domowym zmysłem artystycznym z rozmaitych odpadków wytwarzanych. Do tej ostatniej kategorji zaliczyć należy różnorakie domowe wyroby „artystyczne", jak podstawki ze znaczków pocztowych lub opasek cygarowych, jak flakony z łusek pocisków armatnich, kwiaty z piór i bibułek kolorowych, ramki do fotografij z gałązek świerkowych i całe mnóstwo najrozmaitszych pamiątek przywożonych z miejsc kąpielowych. To jest dziedzina potwornej i nieuleczalnej brzydoty.

Roboty ręczne — a więc hafty, koronki, aplikacje, poduszki i tym podobne makaty są zazwyczaj brzydkie bądź to z powodu nieodpowiednich motywów zdobniczych, bądź to z powodu źle dobranych barw, bądź to z powodu nieodpowiedniego użytkowania danego przedmiotu w praktyce.

Dobór odpowiedniego motywu zdobniczego, czy to do haftu, czy do makaty, poduszki, aplikacji lub koronki — nie jest rzeczą tak łatwą, jakby pozornie zdawać się mogło. Najczęściej czerpie się je z gotowych wzorników, które, jak wiadomo, rzadko kiedy posiadają odpowiednią wartość estetyczną. Jako wytyczną, może najlepiej byłoby stosować

tę zasadę, że unikać należy wszelkich wzorów realistycznych — a więc starających się jak najwierniej odtworzyć jakikolwiek motyw zwierzęcy lub roślinny. Z tego wynika odrazu pewien nakaz pozytywny, że wszystkie motywy stylizowane, czyli takie, które odpowiednio do charakteru danej roboty technicznej lub kompozycyjnej — odbiegają od swych form macierzystych, zaczerpniętych bądź z tworów organicznych bądź nieorganicznych, będą posiadały pewną wartość estetyczną. A zatem każdy kwiat, jak najwierniej przekomponowany z natury, czy to jako motyw do haftu, czy aplikacji, czy koronki — będzie estetycznie mniej wartościowy od tego samego motywu, ale odpowiednio przetworzonego, czyli przestylizowanego.

W doborze motywów do robót ręcznych unikać się winno secesji. Im dany motyw prostszy, im bardziej zwarty, im doskonalej kompozycyjnie uorganizowany — tem bardziej pod względem estetycznym polecenia godzien.

SREBRO, PORCELANA, DROBNOSTKI ZDOBNICZE

Srebro nowoczesne zdobyło sobie niezaprzeczenie swój własny wyraz przejawiający się zarówno we formie, jak i w motywach zdobniczych. Dlatego mniej w tej dziedzinie możliwości usidlenia się w brzydocie. Srebrne kosze, tace, talerze, półmiski, żardyniery, kandelabry, noże, łyżki, widelce posiadają dzisiaj celowe i szlachetne formy. Coraz rzadziej spotyka się w wyrobach ze srebra lanych i kiepsko cyzelowanych figur ludzkich i zwierzęcych, coraz mniej surowych, naturalistycznych motywów roślinnych. Natomiast coraz częściej można spostrzec doskonałe formy konstruktywne, szlachetne w łamiących i gnących się płaszczyznach i linjach, oraz doskonale dostosowany do nich ornament płaski.

To samo mniej więcej można odnieść do współczesnej porcelany. Gorzej natomiast w dziedzinie drobnych przedmiotów, jak flakony, bibeloty, nipy, kryształy, i tych tysiącznych drobiazgów, które spotyka się już to po serwantkach, już to po toaletach lub buduarach, nie mówiąc o salonach. Zasadą powinno być nabywanie przedmiotów autentycznych, nie udających ani kształtem ani materjałem czegoś,

czem nie są i być nie mogą. A więc gips niechaj nie udaje marmuru lub bronzu, cyna srebra, odlew rzeźby, szkło metalu a malatura mozaiki. Każdy materjał niechaj będzie sobą — a kształt każdy niechaj dobitnie służy celowości danego przedmiotu. Niechaj zatem kałamarz będzie tylko kałamarzem, a nie trupią czaszką, globusem lub butem, pudełko na cygara niechaj nie udaje karety, automobilu lub aeroplanu, a flakon na kwiaty niechaj nie naśladuje niedźwiedzia lub węża oplatającego nagą kobietę...

Czyste szkło, barwne lub bezbarwne, kryształ, bronz, porcelana — to są cudowne materjały, w których można tworzyć przepiękne formy, nie upiększając ich niepotrzebnemi dodatkami. I wówczas każdy drobiazg będzie prawdziwie piękny, jeśli będzie działał głównie swoją celową formą.

ZEGARY

Zegar, poza swoją użytkową wartością, posiada liczne elementy zdobnicze. Każdy zegar posiada swoją odrębną fizjognomję, czy ten szafkowy, stojący w jadalni lub gabinecie, poważnie wydzwaniający godziny i kwadranse, czy ten mały bronzowy stawiany na biurkach, konsolach, sekretarzykach lub kominkach. Zegary starodawne posiadały bardzo wyraźny charakter indywidualny, zależny od przeznaczenia, nowoczesne straciły tę tak pożądaną różnorodność, zamieniając się w przedmiot prawie że wyłącznie użytkowy. Dlatego każdemu, kto lubi zegary, przedewszystkiem polecić należy zegary antyczne. Panuje wśród nich ogromna rozmaitość, bogaty artyzm pod każdym względem i niezwykła wprost wymyślność w drobnych szczegółach, np. w doborze dzwonków, w rozmaitych grających przyrządach — i innych dodatkach, których nowoczesny zegar nie posiada.

Podobne bogactwo istnieje w ukształtowaniu i zdobieniu dawnych zegarów. Rokoko, epoka Ludwika XVI, empire i biedermeier stworzyły w tej dziedzinie istne cuda. Nowoczesność obrała zegar z tych wszystkich miłych a pięknych dodatków, czyniąc zeń tylko misterną użytkową maszynę. Dlatego zwolennikom współczesnej stylowości — najlepiej

będzie odpowiadał zegar jak najprostszy, pozbawiony wszystkich elementów dekoratywnych.

Stanowczo potępienia godne będą wszystkie zegary, fałszujące zarówno w materjale jak i stylowości epoki minione — nie mówiąc o zegarach widywanych po bazarach, czy to w kształcie kwiatów, muszli lub nieudolnie odlewanych postaci ludzkiej.

Stylowość leży w prostocie i celowości form a nie w chaosie nonsensowego zdobnictwa.

LALKI

Odniedawna modną ozdobą salonów i buduarów stały się lalki. Nie te fabryczne lalki dziecięce — ale lalki komponowane przez artystów. Lalki fantazyjne, stylizowane, z piętnem melancholji w przepastnych oczach i nieokreślonego czaru w miękkich gestach.

Reguły żadnej w doborze postawić się nie da. Wszystko zależy od upodobania i kultury jednostki. Pamiętać należy, że u nas wytwórczość lalek stoi na bardzo prymitywnym stopniu rozwoju. Dlatego zdwojona czujność i ostrożność wskazana.

Niechaj te drobne uwagi spowodują krytyczny przegląd naszych mieszkań — a wówczas może niejeden drobiazg dotychczas szacunkiem i przyzwyczajeniem otoczony usunie się do składu rupieci — a przy nabywaniu nowych zapanuje może nieco wybredności i ostrożności.



IRENA JABŁOWSKA

NASZE LAUREATKI SPORTOWE

Nie ulega już chyba wątpliwości, iż największą popularnością na całym świecie cieszą się sławy sportowe. I chyba nie mają racji ci, którzy w tym fakcie widzą jakąś niemądrą, bałwochwalczą cześć dla siły i sprawności mięśni i którzy z tego powodu gorszą się niskim jakoby poziomem mas, ubóstwiających swych ulubieńców.

Tylko laik kompletny, człowiek zupełnie daleko od sportu stojący może powiedzieć, że sport kształci jedynie ciało. Doświadczenie życiowe wykazało już bowiem dostatecznie, iż dobroczynne działanie sportów rozciąga swój wpływ także na psychikę człowieka, gdyż ćwiczy wolę i samoopanowanie, wyrabia ambicję przez nakaz ciągłego doskonalenia się, a przedewszystkiem — wypędza bezpowrotnie znużenie życiem i nudę. Z boiska sportowego wynosi prawdziwy sportowiec nietylko chęć życia, ale i zasady szlachetnej i rycerskiej walki, oraz dążenie wybicia własnej

osobowości nie kosztem poniżenia innych, ale drogą zdobycia rekordu.

Rekordzistom i laureatom sportowym, t. zn. tym którzy przez długie i wytrwałe ćwiczenia, przez pogardę bólu i niebezpieczeństwa wytykają granice sprawności ludzkiej, słusznie przeto należy się sympatja mas. Na sympatję tę i popularność zasługują oni również i dlatego, że swemi czynami sportowemi roznoszą po świecie sławę narodu, którego są przedstawicielami. Wagę tego ostatniego czynnika doceniają już niemal wszyscy, choć czasem w stopniu niedostatecznym. Czy da się ująć w jakąś miarę pożytek, jaki przyniosła Polsce Konopacka swoim rekordem światowym w Göteborgu, każąc powiewać zwycięsko barwom Polski, której imię dla wielu w kraju tym było dotąd jedynie pustym dźwiękiem? A ile sławy przyniosły nam występy i zwycięstwa naszej ekipy konnej? Ileż przyczyniła się do dobrego o polskim sporcie mniemania za granicą swemi wielkiemi sukcesami p. Loteczkowa? Sport jest obecnie hasłem dnia na całym świecie, to też kto w jego szrankach zbiera laury, wszędzie jest znany i popularny.

Niedocenianie ważności tej sprawy, a przedewszystkiem wielkie zaniedbanie rozwoju fizycznego wśród ogółu kobiet polskich złożyły się na to, że stan sportów kobiecych przedstawiał się u nas dotąd liczebnie bardzo słabo; obecnie jednak stan ten poprawia się z roku na rok. A chociaż porządna i systematyczna praca sportowa kobiet tak krótką ma tradycję, to przecież jakże miło jest nam uprzytomnić sobie, że jednak posiadamy laureatki znane, popularne, ba, — czasem nawet sławne. Prawie każda gałąź sportu pochwalić się niemi może.

Królową wszystkich sportów zwana — lekko-atletyka — szczyci się przedewszystkiem posiadaniem zawodniczki o światowej sławie, Haliny Konopackiej. Chociaż uprawia ona z zapałem wszystkie działy lekko-atletyki, najlepsze wyniki osiągnęła w rzutach (dyskiem — 37,71 m, oszczepem — 27,81 m, kulą 5 kg — 8,59 m, kulą oburącz — 18,44 m, co jest ostatnim rekordem światowym). Pozatem uprawia p. Konopacka jazdę na nartach, narazie jeszcze bez wybitniejszych wyników. Ponieważ p. Konopacka jest obecnie

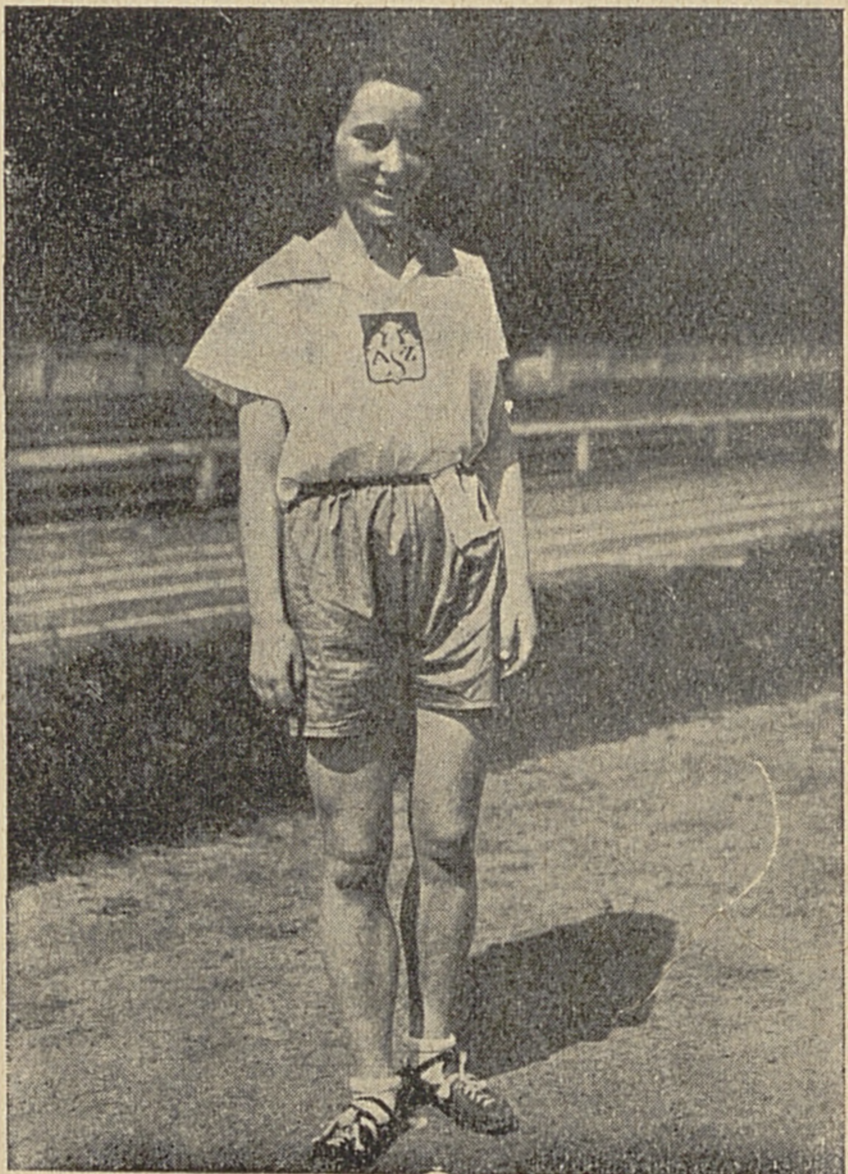
w doskonałej formie i bardzo nad sobą pracuje, przeto miłośnicy sportów spodziewają się, iż na Igrzyskach Olimpijskich w Amsterdamie godnie Polskę zareprezentuje. Popularna ta rekordzistka należy do A. Z. S. (Akademickiego



HALINA KONOPACKA

Związku Sportowego), którego członkinią jest także p. Helena Woynarowska, następna z czołowych, a jedna z pierwszych wogóle lekko-atletek w Polsce. Specjalnością jej są t. zw. sprinty czyli biegi krótkie, w których osiągnęła świetne wyniki, w biegu zaś na 100 m i 200 m — rekord polski.

P. Woynarowska posiada także doskonałe rezultaty w rzutach, skokach i biegach przez płotki. Co jest ogromnie ujmujące w działalności sportowej p. Woynarowskiej, to fakt, że do tych imponujących wyników doszła ona mimo rozlicznych zajęć innych: jest mianowicie ta sportswoman



HELENA WOYNAROWSKA

studentką chemji na politechnice warszawskiej i pracującą zarobkowo urzędniczką w jednem z biur.

Wybitną lekko-atletką jest także członkini A. Z. S. p. Hanna Jabłczyńska, rekordzistka w biegu na 65 m przez płotki, która ostatnio (5 i 6 czerwca r. ub. na zawodach jubileuszowych „Warty" w Poznaniu) osiągnęła również rekord polski w skoku wdal (4,82 m).

W świetnie rozwijającem się gnieździe sokolem „Grażyna“ na czoło zawodniczek wysunęła się p. Wiera Czajkowska, która osiągnęła rekord światowy w biegu na 500 m. Pierwszorzędnemi lekko-atletkami są dawne członkinie „Grażyny“, obecnie zaś należące do „Legji“ panie:



Stoją od lewej: SWOBODÓWNA, FREIWALDÓWNA I LONKA
Siedzą: WIŚKA i JASNA

Schabińska, Grabicka i Złotnicka; pierwsza z nich jest mistrzynią Warszawy w pięcioboju.

W klubie „Warszawianka“ na pierwszy plan wysuwają się panie: Rokoszanka (pseudonim „Warecka“) i Pichelówna, rekordzistka w biegu na 1.000 m w 1926 r.

W roku ubiegłym sensację w świecie sportowym wywołały wystąpienia młodziutkich zawodniczek podwawelskiej „Cracovii“. Pierwszą należy tu wymienić p. Lonkę, która pobiła dwa rekordy świata w rzucie oszczepem jedną

ręką i oburącz; oba te rekordy należały dotychczas do Czeszki, Janderowej. Oprócz tej, zaledwie 17-letniej laureatki, „Cracovia“ posiada jeszcze p. Jasną, rekordzistkę w rzucie kulą, oraz p. Swobodównę, która zdobyła rekord



APOLONJA TRATOWA

polski w biegu na 80 m. Ten ostatni rekord pobiła zresztą niedawno nowa świetna siła w lekko-atletyce, p. Gędziorowska z Torunia, do której należy także ostatni rekord polski na 100 m. Z pośród lwowskich lekko-atletek najbardziej znana jest p. Gwizdałówna. Na poznańskich zeszłorocznych zawodach o kobiece mistrzostwa lekko-atletyczne

wystąpiła ślązaczka p. Kilosówna, która pobiła rekord polski w biegu na 1.000 m.

Jednak nietylko lekko-atletyka dostarcza nam laureatek. „Gwiazdą“ pierwszorzędnej wielkości na sportowem niebie jest p. Janina Loteczkowa ze Lwowa, słynna narciarka, najlepsza obecnie w Europie. W r. ub. zdobyła ona tytuły mistrzyni Polski, Francji i Austrji obok całego szeregu mniejszych triumfów. P. Loteczkowa jest pozatem najlepszą polską motocyklistką, z zapałem uprawia tennis i kolarstwo, a nawet stawała do biegu naprzełaj i uzyskała doskonały wynik. Jak na kobietę, która uprawia sporty wogóle dopiero od roku 1922 — to chyba dostatecznie?

Narciarką europejskiej sławy i miary jest również p. Ela Ziętkiewiczowa. Była ona mistrzynią Polski w roku 1922 i 1925, a w 1924 — mistrzynią Francji. P. Ziętkiewiczową znają także sportowcy europejscy z całego szeregu zawodów, gdzie zawsze godnie się wyróżniała i godnie reprezentowała narciarstwo polskie.

Mistrzynią Polski w narciarstwie w roku 1924 była p. Dubieńska, jedna z najwszechstronniejszych i najbardziej znanych naszych sportswoman.

Czego dokonać może energja i wytrwałość nawet w stosunkowo krótkim czasie, tego dowodem jest także działalność innej naszej laureatki, najlepszej polskiej pływaczki, p. Apolonji Tratowej. Zaczęła ona uczyć się pływania w roku 1923, w roku następnym stawała już do zawodów z doskonałym rezultatem, a w 1925 r. zdobyła mistrzostwo Polski na dystansach 100, 400 i 1.500 m. W roku 1926 mistrzostwo na dystansie 100 m zdobyła p. Kaiserówna ze Śląska, mistrzostwo na 400 m — p. Aufrichtówna z Bielska, zaś mistrzostwo na długie dystanse zostało przy p. Tratowej. P. Tratowa jest ogromną entuzjastką sportu pływackiego, trenuje stale przez cały rok i z zapałem szykuje się do nowych rekordów, nawet na dystansie... Gdynia-Hel.

Sportem, który najwięcej chyba liczy zwolenniczek wśród pań, jest tennis, pewno z tej racji, iż jest to podobno sport specjalnie „elegancki“. Mimo to jednak nie mamy wśród naszych tennisistek takich, któreby mogły dorównać sła-

wom zagranicznym. Mistrzostwo Polski piastuje ostatnio łodzianka, p. Richterówna.

Wypada tu jeszcze wspomnieć o hippice, która posiada u nas godne przedstawicielki, nie pretendujące jednak jeszcze do miana laureatek, oraz o wioślarstwie, które ich także nie dostarcza jako sport, wysuwający głównie wyniki pracy zespołu, a nie jednostek.

O kolarstwie kobiecem dotąd niestety — głucho.

PIELĘGNOWANIE URODY

Część III *

BIUST

Idealnie piękny kształt piersi kobiecej spotykamy w obecnych czasach znacznie rzadziej, aniżeli w starożytności. Mści się tu widocznie długi okres zaniechania kultury fizycznej, a pozatem wpływ różnych niedorzecznych i niehigjenicznych wybryków mody w szeregu wieków



następujących po sobie. To też stosunkowo dosyć często widuje się u zupełnie młodziutkich dziewcząt źle rozwinięte lub lekko obwisłe, zwiotczałe piersi, nie mówiąc już o tem,

*) Część I. w Pierwszym Almanachu „Świata Kobiecego" zawiera: drobiazgowe pielęgnowanie skóry wraz z umiejętnem myciem, parówkami itp., zapobieganie i leczenie rozmaitych wad kosmetycznych, jak sucha i tłusta skóra, wągry, wypryski, piegi, opalenizna, czerwoność i odmrożenie nosa, pielęgnowanie rąk, włosów, wskazówki na temat zapobiegania starzeniu się i rozmaite recepty.

Część II. w drugim Almanachu „Świata Kobiecego" zawiera: artykuł „Smukła sylwetka", ilustrowany zdjęciami fotograficznemi ćwiczeń fizycznych. Następnie w artykule „Pielęgnowanie urody" uwzględniono: oczy, brwi, rzęsy, t. zw. „kurze łapki", uszy, usta, szyję, kark, nadmierne pocenie się rąk, nóg i pod pachami, chorobliwe rumienienie się itd. Pozatem bogaty zbiór recept słynnych dermatologów.

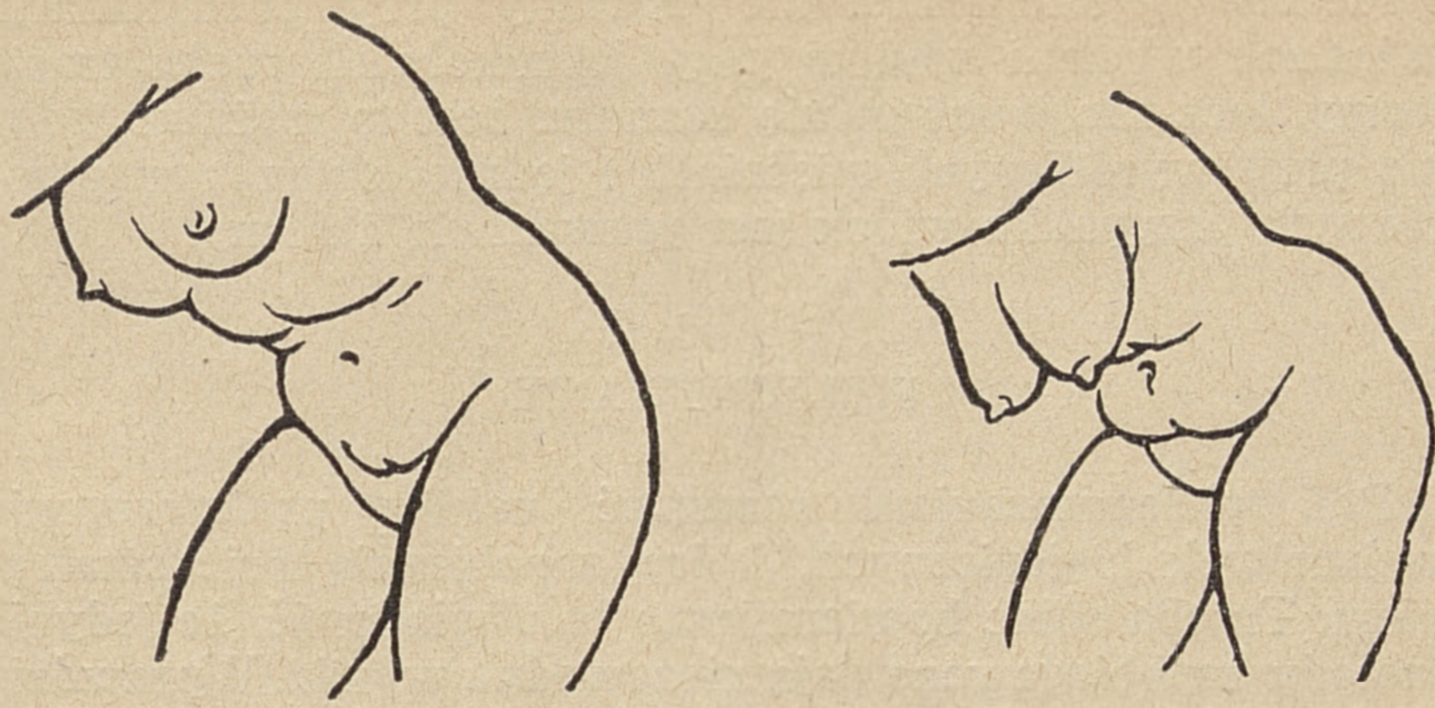


jak nieodporne bywają na trudy macierzyństwa, chorób i wieku nawet te kształty, które w zaraniu młodości były nieskazitelnie zbudowane.

Na szczęście rozmiłowanie się w sportach w ostatnich latach i wprowadzenie wychowania fizycznego do szkół, jako przedmiotu obowiązkowego, przyniosło renesans kultury ciała, a wraz z nim pełne zrozumienie wartości ruchu, powietrza i słońca dla organizmu ludzkiego.

Wślad za tem możemy żywić uzasadnioną nadzieję, że najmłodsze pokolenie kobiece nie będzie znało trosk o poprawę brzydkich lub niedorozwiniętych kształtów, gdyż rozsądnie uprawiane ćwiczenia gimnastyczne i sportowe wyrabiają piękne mięśnie klatki piersiowej a skórze zapewniają jędrność i sprężystość.

Z rynku kosmetycznego znikną w następstwie najpopłatniejsze i najczęściej reklamowane produkty, służące rzekomo do rozwinięcia piersi. Rzekomo — bo w rzeczywistości wszystkie te środki, pigułki, kremy, emulsje i aparaciki są zupełnie bezskuteczne a przez producentów obliczone jedynie na wyzysk łatwowiernych klientek a może i na ich — lenistwo. O ileż bo łatwiej połknąć, dla dobra sprawy, pigułeczkę lub wetrzeć krem, aniżeli poświęcać codzień pewną określoną ilość czasu na systematyczne ćwiczenia. Reklamowane w ogłoszeniach środki nie wywierają żadnego wpływu na mięśnie, ani na zwiększenie objętości i po-



prawę kształtów, czy też chociażby na jędrność skóry. Natomiast niejednokrotnie zawierają szkodliwe składniki, jak to stale wykazują rozbiory chemiczne słynnych preparatów.

Jakkolwiek pojęcia o piękności piersi zależne są w dużej mierze od rasy, lub nawet współczesnej mody — pomijając już indywidualny gust jednostek — mimo to jednak estetyka i anatomja dyktują pewne warunki, którym zaprzeczyć niepodobna. I tak, idealnie piękne, prawidłowo zbudowane piersi powinny mieć kształt półkolisty, a skórę i mięśnie tak prężne i elastyczne, by bez pomocy napierśnika mogły stać prosto o własnej sile. Te, które wymagają podpory, nie są już bezwzględnie piękne. Wielkość ich musi być proporcjonalna w stosunku do rozmiarów tak klatki piersiowej jak postaci i wiązać się z wszystkiemi członkami w harmonijną całość.

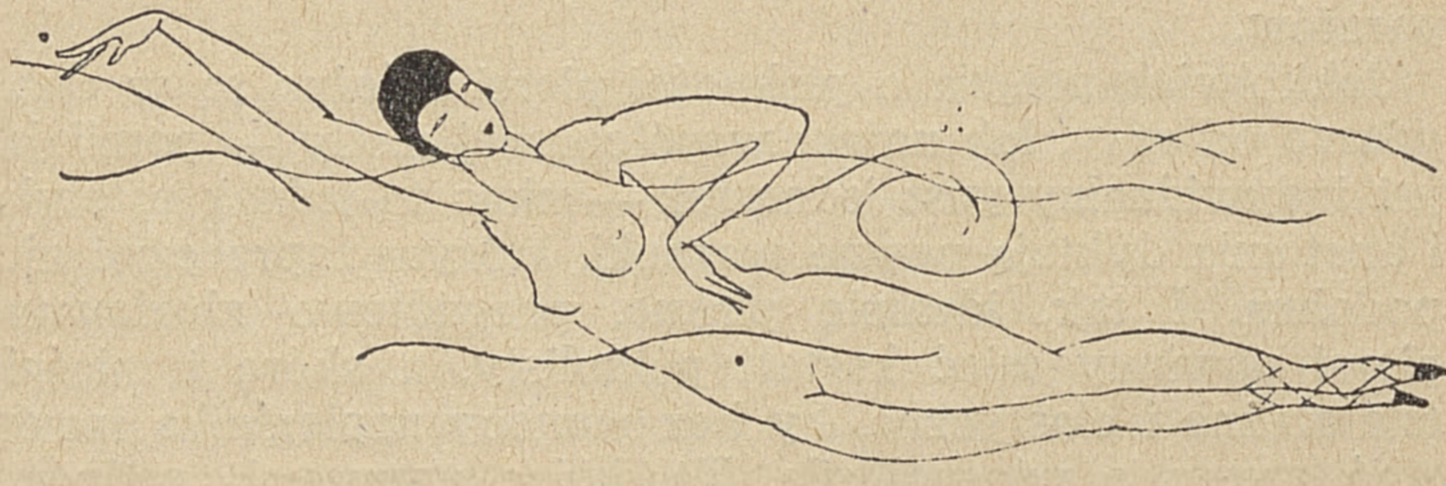
Piersi powinny być osadzone wysoko, między 3 a 6 żebrem, gdyż niżej umieszczone wykazują skłonność do łatwego obwisania.

Nienmniej ważnym warunkiem jest oddalenie obu półkul od siebie, które wedle klasycznych obliczeń powinno wynosić przeciętnie około 21 cm, od koniuszka do koniuszka licząc. Wedle drugiej normy, przestrzeń dzieląca je ma być tak wielka jak oddalenie od nasady szyi do koniuszków piersi.

Idealnie piękne piersi nie powinny przy pochyleniach, zgięciach wbok, i wogóle przy jakimkolwiek ruchu tracić formy, lecz zachować pełnię kształtu. Jest to możliwe jedynie przy wyrobionych mięśniach i jędrnej skórze; w przeciwnym przypadku widok jest prawdziwie żałosny.

PIELĘGNOWANIE

Pod pielęgnowaniem rozumieć należy przestrzeganie wskazówek higjenicznych, które zapobiegają zniekształceniom. Trzeba sobie bowiem jasno to uświadomić, że jedynie metody zapobiegawcze dają niezawodne wyniki. Wprawdzie drobne niekorzystne zmiany można usunąć przy wielkim nakładzie pracy i czasu, ale i to jedynie wtedy, o ile są w najpierwszem stadjum powstawania. Dużo gorzej jest



jednak z błędami poważniejszemi i już zadawnionemi; w tych przypadkach należy usilnie starać się o utrzymanie przynajmniej obecnego stanu. Bierność i rezygnacja doprowadzają nieraz piersi do karykaturalnych zniekształceń.

NAJLEPSZE KOSMETYKI

W zakresie pielęgnowania piersi najlepszemi kosmetykami są:

Proste trzymanie się, ćwiczenia gimnastyczne i oddechowe, sporty, wśród których do najważniejszych należy pływanie, skrupulatna czystość, chłodne zmywania i natryski, kąpiele powietrzne, prawidłowe odżywianie, wkońcu masaż.





One to właśnie w pierwszych stadjach zniekształcenia mogą przynieść pożądane skutki. Zwłaszcza główny nacisk należy położyć na proste trzymanie się, którego wartość jest niedoceniana. Najbardziej przekonywającym argumentem będzie próba przed lustrem. Zająć pozycję pochyloną, załamaną w stanie — następnie wyprostować się; przy obu kontrolować uważnie zmieniający się kształt piersi.

MASAŻ I NATRYSKI

Twierdzenie, często powtarzane w popularnych odpowiedziach redakcyjnych, jakoby jedynie masaż i natryski z dodatkiem pewnych soli aromatycznych czy też perełek alkalicznych poprawiały błędy i utrzymywały piersi w prawidłowym stanie — nie wytrzymuje krytyki. Nikt logicznie myślący nie zaryzykuje zdania, ani też uwierzy, że wymienione zabiegi zdołają zastąpić ćwiczenia mięśni i powietrzne kąpiele, lub dorównać ich skutkom.

Z masażem, natryskami lub zmywaniami chłodnemi trzeba postępować bardzo ostrożnie. Masaż nieumiejętnie wykonywany sprowadza fatalne pogorszenie stanu. Po objaśnienia zwrócić się należy do lekarza, który dopiero po naocznem zbadaniu błędów może udzielić indywidualnych wskazówek. Masażu uczyć się trzeba praktycznie. Wiadomości

teoretyczne, nawet najdokładniej ilustrowane*, nie wystarczą do własnoręcznego wykonywania; a nawet i sam pokaz praktyczny, chociażby wielokrotny, nie da należytego pojęcia. Chodzi tu bowiem nie tylko o sam rodzaj ruchu lub jego kierunek, lecz i o siłę, czy lekkość ruchu, o całą gamę ich odcieni. O to, jak je rozpocząć, przeprowadzić i zakończyć — jakich dotknięć wymaga dany rodzaj skóry i t. p. Są to wszystko nader ważne subtelności i tajniki sztuki masowania, których nie można nabyć przez samo czytanie i przypatrywanie się jej.

Wiadomości teoretyczne są jednak dlatego niezbędne, gdyż objaśniają i pomagają do zorjentowania się w wykonywanym przez drugich masażu.

Natryski i zmywania chłodną wodą o ciepłocie pokojowej są doskonałem uzupełnieniem ćwiczeń fizycznych. Osoby nieprzyzwyczajone do tego rodzaju zabiegów, a wogóle wrażliwe na zimną wodę, muszą stopniować jej ciepłotę, od letniej począwszy. Specjalne przyrządy do natryskiwania piersi, aczkolwiek bardzo wygodne w użyciu, nie są konieczne, tem bardziej zaś, że ich jeszcze nie mamy w kraju. Można je zastąpić delikatnym tuszem kroplistym, znajdującym się w każdej łazience. W ostateczności służyć może nawet rozpylacz do perfum.

Po zmywaniach i natryskach niezbędne jest dokładne osuszenie i wytarcie skóry, tak, by natychmiast wystąpiło uczucie ciepła, będące objawem wzmożonego obiegu krwi. Dopiero wówczas możemy mieć pewność, że czynność została należycie wykonana. Przy osuszaniu, dobrze jest wcierać lekko, w napoły wilgotną jeszcze skórę, jakiś obojętny tłuszcz, a dopiero następnie wytrzeć do sucha. Wcieranie tłuszczu jest korzystne z dwóch względów: wraca skórze, zabrany jej przez mydło, naturalny tłuszcz, chroniący ją przed łatwem zaziębieniem — i nadaje jej aksamitną miękkość.

W OKRESIE MACIERZYŃSTWA

Niedoświadczone młode kobiety sądzą, że w okresie ciąży należy pozostawić piersi ich nieuniknionym zmianom fizjo-

*) Zob. Dr Władysław Hojnacki: Higjena kobiety i kosmetyka.

logicznym i zaniechać wszelkiej pielęgnacji. Tymczasem, wręcz przeciwnie, wymagają one właśnie wówczas zdwojonej uwagi, jeśli mają powrócić do pierwotnego stanu po trudach związanych z ciążą i karmieniem.

Wraz z przypływem mleka zwiększa się objętość i ciężar piersi, a cała czynność dźwigania przypada w udziale skórze. Zachodzi więc obawa, ażeby tak długotrwałe napięcie skóry nie spowodowało zbytniego rozszerzenia i zwiotczenia jej elastycznych tkanek, a w następstwie i obwiśnięcia piersi. Nie można zatem dopuścić do tego, by cały trud dźwigania ponosiła wyłącznie skóra, i w tym też celu zawczasu już podeprzeć piersi napierśnikiem. Dobrać go trzeba starannie, tak, ażeby nie uciskał, ale i nie był luźny. Na wypadek, gdyby zbyt silne napięcie skóry sprawiało dolegliwości, należy je delikatnie natłuszczać rano i wieczór, co sprawia natychmiastową ulgę. Pozatem zmywać codziennie chłodną wodą i utrzymywać je w idealnej czystości.

Zaniedbanie tych drobnych starań może się przykro zemścić, gdyż raz już nadmiernie rozciągnięta skóra nie powróci nigdy do pierwotnej jędrności. Utrata zaś tej ostatniej równa się obwisłym kształtom.

NAPIERŚNIKI

Każda pierś musi ulec zwiotczeniu, jeśli się ją systematycznie podpiera napierśnikiem, gdyż wówczas mięśnie, mające spełniać czynność podtrzymującą, próżnują, a w następstwie zanikają.

Napierśników nie powinno się więc nosić stale, lecz okresowo, zależnie od potrzeb chwili. Należy je dokładnie dostosowywać do kształtów, uważać na porowatość materjału i na krój. Najhigjeniczniejsze materjały, to opal, batyst i cieniutka perkalina a z jedwabnych cienki fular; wbrew ogólnie przyjętym pojęciom, ani siatka, ani trykotowe tkaniny. Zaznaczyć też należy, że materjały za gęste szkodzą delikatnej skórze. Napierśniki luksusowe do toalet wieczorowych i balowych, jako sporadycznie używane, nie wchodzą tu w rachubę. Napierśnik powinien przylegać do kształtów, ale nie uciskać, i mieć głębokie wszytki pod pier-

siami. W obwodzie nie może być za ciasny, ani za luźny, gdyż w obu przypadkach mijałby się z celem; ściąganie na gumkę jest bardzo szkodliwe.

Natomiast osoby tęgie, skłonne do tycia, muszą nosić napierśniki od najwcześniejszej młodości. Ujemny wpływ stałego ich używania należy wyrównywać systematycznie wykonywanemi zabiegami hydropatycznemi, gimnastyką i masażem.

NAJCZĘSTSZE WADY

Kobiety najczęściej szukają pomocy w następujących przypadkach:

1. Nierozwinięte piersi.
2. Za duże.
3. Obwisłe.
4. Asymetrja piersi.

Przy nierozwiniętych piersiach działa najlepiej gimnastyka mięśni i oddechowa, która sprowadza energiczny przypływ krwi; pozatem masaż całej klatki piersiowej i szyi. Gimnastyka w dodatku wzmacniając i rozwijając mięśnie, zwiększa tem samem kształty.

Za duże piersi wymagają również masażu, oczywiście. zupełnie odmiennego od stosowanego przy nierozwiniętych. Zaleca się okresowe noszenie obcisłych, gumowych napierśników, które stosunkowo dosyć szybko sprowadzają zeszczuplenie. Ażeby jednak zapobiec ujemnemu działaniu gumy na skórę, stosować trzeba prócz masażu codzienne, dwukrotne zmywania chłodną wodą i natryski. W przeciwnym razie skóra zwiotczeje i obwiśnie.

Obwisłość, w początkach powstawania, da się usunąć przy pomocy ćwiczeń fizycznych i oddechowych, oraz masażu i hydropatji. Leczenie rozciąga się na miesiące. W późniejszym okresie sprawa jest dużo trudniejsza, jakkolwiek nie beznadziejna. W najgorszych przypadkach można już tylko zapobiegać pogorszeniu się stanu, co i tak byłoby niezmiernie cennym wynikiem. Napierśnik wskazany.

W przypadkach wyjątkowej obwisłości stosują lekarze operację z bardzo dodatniemi wynikami. Sama operacja jest lekka, wymaga jednak doświadczenia i zręczności ope-

ratora. Są to dwa cięcia nad i pod piersią pozwalające na usunięcie zbytecznej ilości skóry. Wykonana precyzyjnie i czysto, zapewnia szybkie zagojenie ran i zaledwie widoczne, cieniutkie jak nitka, białe blizny. Nie grozi żadnemi komplikacjami, a przywraca prawidłowy kształt. Nic więc dziwnego, że kobiety wolą znieść taką radykalną kurację, aniżeli przykre zniekształcenie.

Asymetrja, tj. nierównej wielkości piersi, zdarza się dosyć często. Zwykle bywa prawa pierś nieco mniejsza od lewej. Przyczyną ma być praca ręczna, albo sypianie na prawym boku i systematyczne przygniatanie piersi. Masaż i gimnastyka mogą trochę wyrównać, ale rzadko zupełnie.

Drugą odmianą asymetrji jest różny kształt piersi, np. jedna zupełnie prawidłowa, pełna, druga jakby załamana, obwisła, woreczkowata. W tym przypadku jedynym ratunkiem jest operacja.

ĆWICZENIA ODDECHOWE

Główną zasadą ćwiczeń oddechowych jest unikanie przesady i przemęczenia. Raczej zbyt ostrożnie, aniżeli zbyt energicznie.

Rozpoczynać od płytkich, nie natężających, i w powolnem stopniowaniu dochodzić do głębszych oddechów. Pomiędzy jednym a drugim aktem oddechowym musi być krótka pauza.

Starać się oddychać całą klatką piersiową od obojczyków do przepony włącznie. Pomocne są przytem ćwiczenia jedną stroną klatki piersiowej.

Dla unormowania rytmu oddechu i kontroli nad nim dobrze jest liczyć w myśli (odstępy sekundowe) i stopniowo dochodzić od 1 sekundy do 6 sekund na wdech i tak samo na wydech.

W kwestji zatrzymywania oddechu pomiędzy wdechem a wydechem są wśród lekarzy podzielone zdania. Jedni są za — drudzy przeciw zatrzymywaniu; w jednem są tylko zgodni. a mianowicie, że jedynie wyszkolone w oddychaniu jednostki mogą ryzykować ćwiczenia z zatrzymywaniem oddechu.

Wznoszenie ramion wgórę wraz z wdechem jest wadliwe; prawidłowo ćwiczyć należy przy opuszczonych wdół ramionach.

Ćwiczenia oddechowe nie powinny być przeprowadzane bezpośrednio po cięższych wysiłkach fizycznych, ćwiczeniach gimnastycznych lub sportowych, lecz dopiero po odpowiednim odpoczynku. Natomiast po lżejszych ćwiczeniach fizycznych można oddechowe wykonywać odrazu.

Ćwiczyć nie dłużej ponad 2—5 minut, ale za to systematycznie, codziennie. Wszelkie przerwy w ćwiczeniach zatrzymują postęp i są prawie bez znaczenia.

Podane w załączeniu ćwiczenia rozpoczynać należy od postawy zasadniczej, jak wogóle wszystkie zresztą ćwiczenia fizyczne.

WONNOŚCI W NOWOCZESNEM WYRAFINOWANIU

Już w samem słowie w o n n o ś c i brzmi coś, co nas na miłe skojarzenia myślowe naprowadza i przyrzeka jakieś niecodzienne, nieuchwytne wzruszenia. Coś, co zapowiada chwile pełne czaru, lub budzi wspomnienia dawno przeżytych, na które serce odpowiada niespokojnem biciem.

Wystarczy wetchnąć znaną przed laty woń towarzyszącą uczuciowym momentom w naszem życiu, by nagle ożyły i obudziły tęsknotę nie do wysłowienia.

W zaczarowanej sferze woni, równie jak w sferze dźwięków, rozkwitają niespodzianie skrywane zazdrośnie uczucia i pragnienia, nawiązują się subtelne przędziwa sentymentów o przeróżnej skali. Niejedno nieśmiałe lub wahające się wyznanie miłosne, uwikłane w wonną sieć, padło bezbronne u stóp niebezpiecznej kusicielki.

Rola wonności nie jest więc wcale tak błaha, jakby się pozornie zdawało, skoro ludzkość od tysięcy lat trwa pod ich urokiem, i skoro dziś tak samo jak przed odległemi wiekami pociągają naszą wyobraźnię i zmysły, stwarzają nastroje, drażnią lub uciszają niepokoje.

Ale i w życiu codziennem, praktycznem są również niezbędne, jako wyroby toaletowe: mydła, proszki, wody, octy, kremy, pudry i t. p.

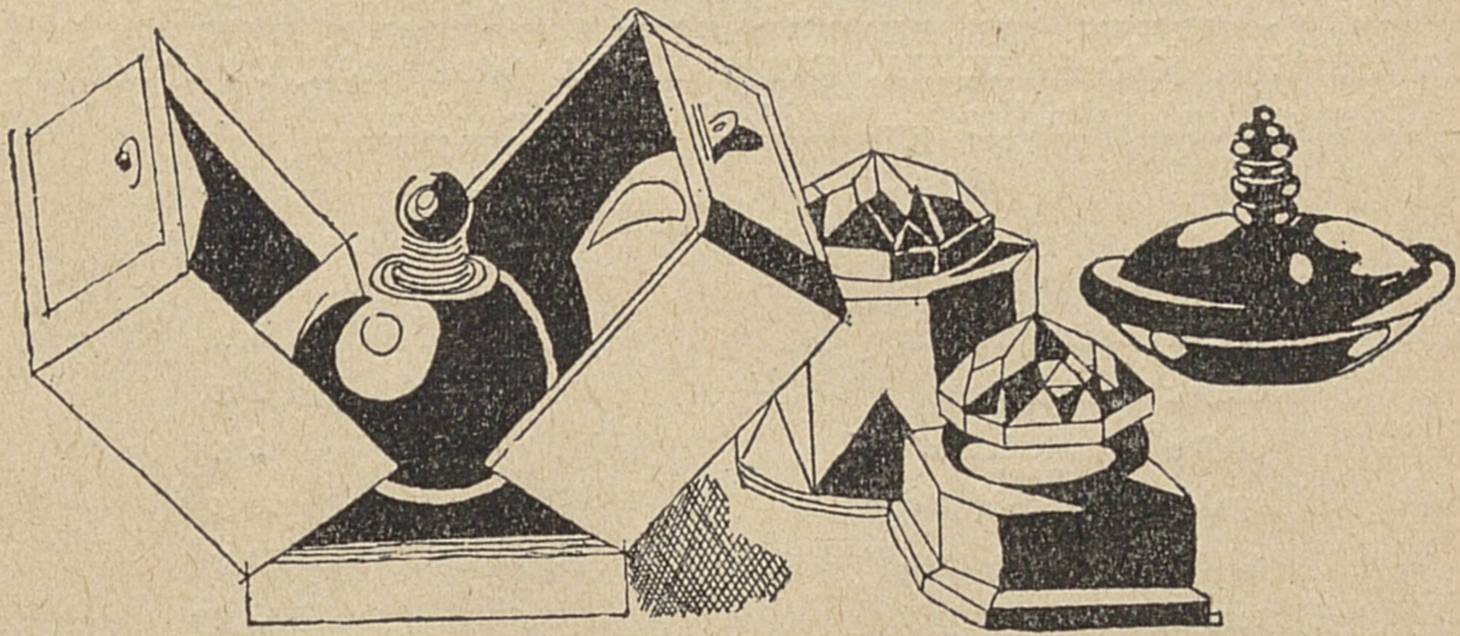
Dobór perfumy odpowiedniej dla typu urody, a zgodnej z właściwościami psychicznemi jednostki, nie jest rzeczą łatwą. Zwłaszcza zaś, że nie do wszystkich toalet, części garderoby, czy przedmiotów nadaje się jeden i ten sam rodzaj woni. I nie o każdej porze dnia, nie w każdym nastroju. Trudno dawać w tym względzie jakieś wskazówki; tu samej dochodzić trzeba, próbować, porównywać,



kierować się intuicją i wyrobić w sobie nieuchwytny zmysł orjentacyjny, owego tajnego, niezawodnego doradcę.

Kogo te subtelne zagłębiania w tajniki woni zniechęcają — lepiej niech zarzuci perfumowanie. Bo proszę sobie wyobrazić dzisiejszą śmiałą sportsmankę w nienagannym dress'ie, woniejącą idylicznie fiołkami lub konwalją. Albo strojną, krótkowłosą piękność lśniącą od lam, pailletek, strassów i bogatej biżuterji, uperfumowaną sielsko i anielsko powojem.

Wybór perfumy wymaga namysłu i nie powinien być rzeczą przypadku. Dobrać ją trzeba umiejętnie, z uwzględnieniem nietylko koloru włosów lub karnacji ciała, ale i właściwości psychicznych, temperamentu, usposobienia. Z tem wszystkiem musi perfuma harmonizować i być poniekąd doskonałem uzupełnieniem wartości zewnętrznych i osobistego wdzięku kobiety.



Nie każda perfuma — jak to już zostało zaznaczone — nadaje się do wszystkich rodzajów toalet; suknie sportowe np. wymagają innego rodzaju zapachu, aniżeli balowe. Również i pory dnia mają swoje wymagania; perfuma, która nas rano zachwycała, wydać się może mdłą wieczorem. Toalety wieczorowe lub balowe nie znoszą zbyt ostrych lub zbyt słodkich zapachów, któreby wśród liczniejszego zebrania wybijały się natrętnie na pierwszy plan.

W tym wonnym labiryncie trzeba umieć zgrabnie lawirować, krytycznie oceniać, próbować, kombinować, by nie potknąć się o to, co nieodpowiednie, co za jednym zamachem zniweczyć może doskonałą całość. I nigdy, ale to przenigdy nie kierować się tem, co modne. Nie wybierać tej najostatniejszej kreacji, głośno rozreklamowanej. Modna perfuma zabija indywidualny czar jednostki, przekreśla jej osobiste upodobania i umieszcza ją — w szeregu upodo-

bnionych do siebie postaci. A zatem coś w rodzaju umundurowania.

Panie, chcące mieć oryginalne perfumy, kombinują kilka pokrewnych zapachów, bądź to kupnych, bądź sporządzonych własnoręcznie. I na tem właśnie polega tajemniczy ich urok, że nie możemy odgadnąć rodzaju zapachu. Nieodgadnione wszak dziwnie nęci ciekawość...

Pozatem — o ile nic rozkoszniejszego ponad subtelny zapach, w obłoku którego zjawia się kobieta, o tyle trudno sobie wyobrazić coś bardziej odpychającego i działającego na nerwy, jak natrętna, przenikliwa woń lichych perfum.

Zatem lepiej żadne — aniżeli tanie perfumy.

Parfum „Automobile"

olejku różanego	1 g
olejku bodziszkowego	5 g
olejku sandałowego	2 g
olejku pomarańczowego	2 g
tynktury wanilinowej	16 g
odwaru jaśminowego	83 g
terpineolu	5 g
esencji heljotropowej	1 g
2 krople amonjaku płynnego 0,9%	
alkoholu absolutnego	300 g

Clematis du Japon

odwaru jaśminowego	100 g
olejku goździkowego	0,5 g
esencji heljotropowej	2 g
waniliny	0,5 g
tynktury ambry	2 g
rozczynu olejku różanego	1 g

Sweet lavender

tynktury jaśminowej	150 g
alkoholu absolutnego	150 g
olejku lawendowego	4,5 g
olejku rozmarynowego	1 g
olejku bodziszkowego syntetycznego	0,5 g
balsamu tolutańskiego	1 g
tynktury ambry	1 g

Gardenia

gardenji	100 g
olejku różanego	5 g
terpineolu	30 g

Rose idéale

olejku różanego	100 g
olejku bodziszkowego	30 g
piżma syntetycznego	3 g

Cyklamen

cyklamenu N. et C.	100 g
terpineolu	50 g
olejku różanego	3 g

SOLE I ESENCJE ORZEŹWIAJĄCE

Cieszyły się w dawnych czasach wielkiem powodzeniem, a żadna z wykwintnych dam nie wyruszała z domu bez ozdobnego flakonika z solami orzeźwiającemi. Służyły przeciwko bolom głowy i w przypadkach omdleń, które były w dobrym tonie u dam z towarzystwa. Akcentowały w ten sposób „słabą płeć" — a jeszcze częściej posługiwały się omdleniami w krytycznych momentach, z których inaczej wybrnąć nie umiały, czy też nie chciały. Był to bardzo wygodny fortel dla delikatnych duszyczek, które nie dorosły do znoszenia logicznych konsekwencyj swych postępków.

Dzisiejsze kobiety nie używają takich naiwnych sposobików dla uchylenia odpowiedzialności za igranie z ogniem. Potrafią bowiem wybrnąć z zadziwiającym sprytem z najbardziej skomplikowanych powikłań — zwycięskie i, rzecz jasna, niewinne... Zwycięstwo swoje zawdzięczają innym talentom, aniżeli pełne wdzięku omdlenie: posiadły kunszt szermierki słów, spojrzeń, uśmiechów, a czasem — czasem nawet argumentów logicznych.

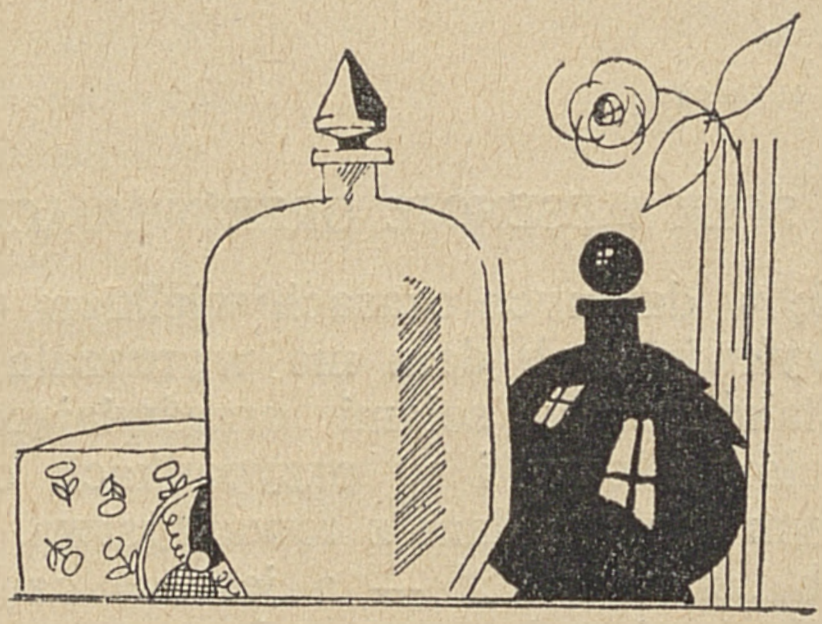
Więc jakkolwiek tkliwe sytuacje obywają się dziś doskonale bez esencyj orzeźwiających, mimo to podam prze-

pis sporządzania choćby dla — sentymentalnej tradycji. Również w przypadkach prawdziwych omdleń dobrze jest mieć pod ręką środek trzeźwiący:

amonjaku	90 g
olejku lawendowego	10 g
citralu	0,5 g

WODA KOLOŃSKA

Wśród różnych odmian perfum i wód toaletowych jest woda kolońska najpopularniejszem i najbardziej rozpowszechnionem zjawiskiem. Niezbędna przy toalecie kobiecej i męskiej, w podróży, w chorobie, oczyszcza znakomicie skórę, odświeża powietrze w pokoju.



Za najlepszą uważana bywa marka „Johann Maria Farina". Nazwa pochodzi od jej wynalazcy, Włocha, który zawędrował do Kolonji, jako handlarz perfum. Tam też w 1709 r. wynalazł przepis sporządzania wody kolońskiej, której tajemnicę odziedziczyli jego następcy.

Wedle innych źródeł wynalazł ją Paul de Feminis z Medjolanu i powierzył sposób przyrządzania swemu siostrzeńcowi, Farina.

Z biegiem czasu tajemnica składników przedostała się w obce ręce i rozpowszechniła wśród fabrykantów perfum. Pominąwszy nieznaczne zmiany w poszczególnych receptach, zasada jest ta sama i inne marki wody kolońskiej nie ustępują dziś w niczem zaletom fabrykatu Johann Maria Farina.

Najważniejszym warunkiem dobroci wody kolońskiej jest gatunek spirytusu. Musi to być 95% absolutny alkohol. Dawne trudności w otrzymaniu niektórych rzadkich olejków upadły wobec wyrobu syntetycznych, które z zupełnem powodzeniem zastępują naturalne.

Oto kilka recept do wyboru.

Eau de Cologne double

95% spirytusu	1000 g
olejku pomarańczowego syntetycznego	7 g
olejku bergamotowego	6 g
olejku portugalskiego	6 g
olejku rozmarynowego	6 g
olejku lawendowego	6 g
wody różanej	12 g
wody z kwiatów pomarańczowych	32 g
cytrynianu	2 g

Woda kolońska chłodząca

jako środek przeciwko bólom głowy, na okłady, do nacierań itp.

wody kolońskiej (kompozycja zasadnicza jak powyżej)	1000 g
alkoholu mentolowego	20 g

Woda kolońska kamforowa

95% alkoholu absolutnego	1000 g
olejku pomarańczowego (syntetycznego)	14 g
olejku rozmarynowego	7 g
olejku bergamotowego syntetycznego	7 g
olejku portugalskiego	4 g
cytrynianu	1 g
kamfory	24 g

Woda kolońska kamforowa działa niezwykle odświeżająco; nadaje się specjalnie do podróży, na wycieczki i tp.

Woda kolońska antyseptyczna

olejku bergamotowego (syntetycznego)	25 g
olejku ze skórek pomarańczowych	5 g
olejku rozmarynowego	5 g
eukalyptolu	8,5 g
tynktury benzoesowej	75 g
95% alkoholu absolutnego	1000 g
wody	300 g

Przypomina zapach drzew szpilkowych i przez tę właściwość nadaje się do rozpylania w pokoju, a także jako dodatek do kąpieli.

Wody kolońskie kwiatowe sporządza się w ten sposób, że do kompozycji zasadniczej dodaje się pożądane zapachy. Więc np.:

Woda kolońska rezedowa

wody kolońskiej	1000 g
olejku rezedowego	2 g

Woda kolońska różana

wody kolońskiej	1000 g
olejku z drzewa różanego	10 g
olejku różanego (syntetycznego)	2 g

Zaznaczyć należy, że podane tu wody kolońskie są gotowe do użytku najwcześniej dopiero w miesiąc od sporządzenia. Fabrykaty Fariny np. stoją rok albo i dłużej zanim pójdą na eksport. Zupełnie jak szlachetne wina.

SASZETY

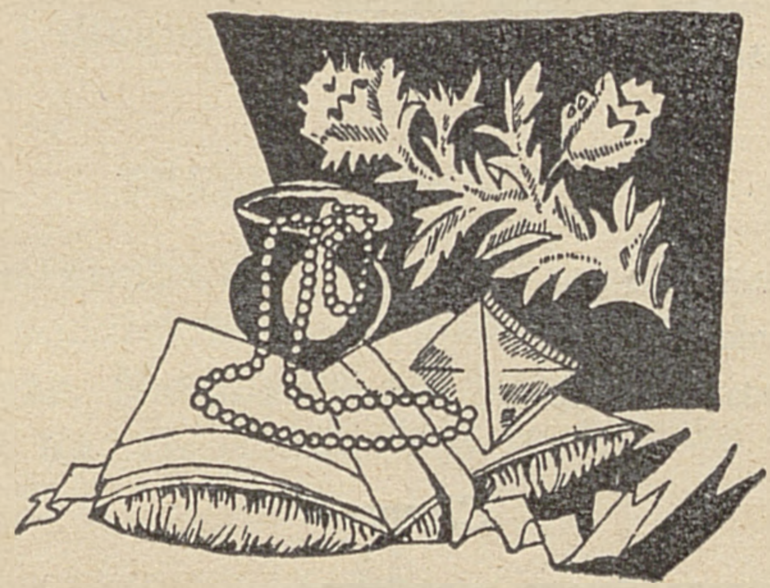
Saszety służą do perfumowania bielizny, sukien, rękawiczek, papieru listowego, szuflad, szkatułek i różnych drobiazgów.

Znamy je pod postacią skromnych papierowych woreczków wypełnionych wonnym proszkiem, malutkich kopert, tabletek, albo też wytwornych jedwabnych lub aksamitnych poduszeczek o fantazyjnych kształtach i luksusowem wykończeniu.

Skromne saszety papierowe sporządza się w następujący sposób. Cienką warstewkę waty wielkości kopertki, którą mamy wypełnić, posypujemy grubo wonnym proszkiem i przykrywamy taką samą warstwą waty. Złożone razem obie warstwy waty owijamy w jedwabny papier, którego brzegi zakładamy i zaklejamy; następnie wkładamy do przeznaczonej kopertki, którą również jak najszczelniej zalepiamy.

Przy sporządzaniu wytworniejszych kopertek skrapiamy watę wprzód perfumą, potem dopiero przychodzi proszek

o takim samym zapachu. Skrapiamy perfumą również wewnętrzną stronę koperty. W ten sposób wydziela kopertka silniejszy i trwalszy zapach. Do perfumowania waty i wewnętrznej strony koperty należy używać rozpylacza i postępować tak ostrożnie, by na zewnętrznej stronie nie ukazały się plamy.



Przy saszetach jedwabnych i aksamitnych postępuje się mniej więcej podobnie, z tą różnicą, że papier jedwabny jest zbędny. Natomiast nieco grubsze warstewki waty pociąga się cienko klejem z jednej strony i na nią kładzie się części jedwabiu lub aksamitu, wygładzając je starannie. Brzegów nie skleja się, lecz zszywa. Szwy wykańcza się jedwabnemi sznureczkami, bortami, albo też jakimś ozdobnym ściegiem dzierganym.

Najważniejszą częścią składową saszet jest oczywiście proszek; nienmiej jednak zaprzeczyć niepodobna, że estetyczna strona zewnętrzna działa pociągająco, zwłaszcza o ile chodzi o podarki

PROSZKI DO SASZET

Lawendowy

suszonych liści lawendowych	500 g
korzenia kosaćca sproszkowanego	250 g
drzewa sandałowego sproszkowanego	125 g
benzoe w proszku	50 g
piżma	25 g

olejku lawendowego	25 g
olejku rozmarynowego	5 g
olejku różanego	2 g
olejku bergamotowego	5 g

Różany: Maréchal Niel

sproszkowanych liści różanych	250 g
sproszkowanego korzenia kosaćca	75 g
olejku różanego	2.5 g
piżma	12.5 g
waniliny	1.5 g
kumaryny	0.5 g
balsamu tolutańskiego	25 g
olejku pomarańczowego	1.5 g
olejku bodziszkowego	5 g

Chypre

sproszkowanego drzewa sandałowego	250 g
sproszkowanego drzewa cedrowego	250 g
sproszkowanych liści różanych	250 g
sproszkowanych liści lawendowych	75 g
piżma	1 g
olejku z drzewa różanego	7.5 g
olejku pomarańczowego	1.5 g
turanolu	1 g

SASZETKI ZE SKÓRY

Kwadratowe kawałeczki skóry zamszowej wkłada się na 3—4 dni w następującą mieszankę wonną:

olejku różanego	10 g
olejku pomarańczowego	10 g
olejku z drzewa sandałowego	10 g
olejku cynamonowego	1.5 g
cytrynianu	5 g
olejku lawendowego	5 g
kumaryny	1.5 g
piżma syntetycznego	5 g
nalewki benzoesowej	62.5 g

Po upływie oznaczonego czasu wyjmuje się skórki z tej mieszanki, pozwala im osączyć się, i potem suszy na płytce szklanej. Po wyschnięciu pociąga się lewą, szorstką stronę skóry pendzelkiem umaczanym w płynie złożonym z 10 g benzoesu sublimowanego, 1 g piżma syntet., 1 g zybuczka, 30 g gumy arabskiej, 20 g gliceryny i 50 g wody. Poczem zlepia się skórkę złożywszy ją uprzednio wpół, suszy i wszywa w różne części garderoby. Saszetki skórzane pachną silnie i długotrwale.

PERFUMOWANIE CIAŁA

Należy je perfumować — czy nie?

Zdania są podzielone, a argumenty za i przeciw — jak najzabawniejsze. Nie myślę ich przytaczać, ani przeprowadzać dyskusji na ten temat. Jest to sprawa osobistych upo-



dobań lub przyzwyczajeń, zalotny gest lubiących swe ciało i dbających z pewnem przerafinowaniem o znikomą powłokę ziemską. Znikomą — lecz czasem tak uroczą, tak ponętną, że każda chłodna refleksja wydaje się czemś brutalnem, niegodnem uwagi, natomiast wszelkie toaletowe rafinements są należnym hołdem składanym pięknu.

W żartobliwej dyskusji towarzyskiej rozważającej tę kwestję, oświadczyła jedna ze zwolenniczek wonności:

Nie umiem sobie odmówić tej przyjemności i nacieram ciało wonnościami codzień przy porannej toalecie, co mnie zawsze radośnie podnieca. Pozatem, nie sprawiam tem drugim przykrości, przeciwnie, czasem nawet przyjemność. A wkońcu, niech za mnie przemówią tradycje kultury ciała różnych mądrych narodów, sięgające tysiące lat wstecz.

Argumenty, z punktu widzenia jednostki, słuszne. Przyjrzyjmy się wobec tego zbliska drobnym szczegółom tej higjeniczno-kokieteryjnej czynności.

Ale przedewszystkiem rzecz najważniejsza, którą z naciskiem podkreślić należy:

P e r f u m o w a ć m o ż n a j e d y n i e n i e n a g a n n i e c z y s t e c i a ł o; po kąpieli lub też po dokładnem obmyciu mydłem i obfitem spłókaniu wodą.

Perfumowanie w innych warunkach niejednokrotnie dla przygłuszenia wyziewów brudnej skóry, lub wykroczeń przeciwko higjenie — nazwać trzeba bez fałszywej uprzejmości, aktem niechlujnym. Zresztą, kombinacja perfum z wonią zaniedbanej skóry daje przykre wyniki i nie złudzi wybrednego powonienia.

Jedyny sposób godny polecenia, to znane nam wszystkim z biblji i klasycznej lektury „namaszczania wonnemi olejkami“.

Przyrządzenie wonnego olejku nie sprawia najmniejszej trudności. Kupuje się w aptece czysty migdałowy olejek i wlewa doń trochę perfumy. Przed użyciem należy zawsze dobrze zakłócić. Nie można robić dużego zapasu, gdyż olejek migdałowy szybko jełczeje i staje się niemożliwy do użycia.

Tuż po kąpieli lub umyciu i otarciu, gdy w skórze tkwi jeszcze nieco wilgoci, nalać na dłoń trochę olejku, rozetrzeć drugą i obiema dłońmi nacierać ciało, nie omijając żadnego kawałeczka skóry. Lekko, czy silnie, to już zależy od wrażliwości i potrzeb skóry. Jednorazowe natłuszczenie dłoni nie wystarczy, trzeba je kilkakrotnie powtarzać, gdyż odtłuszczona mydłem skóra łakomie chłonie olejek. Po natarciu całego ciała należy zbytek tłuszczu usunąć szorstkim ręcznikiem t. zn. wytrzeć je energicznie. Miękki ręcznik nie oddaje dobrych usług w tym przypadku.

Palcom u nóg należy poświęcić więcej uwagi; natłuszczać,

a potem wycierać, każdy zosobna. Jest to dla nich niezwykle dobroczynny zabieg; umęczone i unieruchomione całodziennem zamknięciem w obuwiu, pod wpływem nacierania ożywiają się i nabierają elastyczności, obieg krwi poprawia się a blada skóra różowieje. Następnie, wpływ na chód jest również niezaprzeczony, a czasem nawet ustępuje pocenie się nóg pod wpływem takich codziennych nacierań.

W zagłębieniu ramion transpiruje skóra szybciej, aniżeli gdzie indziej i stąd też wypływa czasem potrzeba zajmowania się niemi specjalnie. Potniki, których panie używają do chronienia sukien, pogarszają sprawę. Gumowe czuć bardzo przykro, inne znów nie spełniają swego zadania. Najlepiej więc potników zupełnie nie używać, a za to nosić rękawy tak wycięte pod pachą, by szew nie przylegał ściśle do ciała. Jeśli zaś bezwzględnie obejść się bez nich nie można, należy je przynajmniej zmieniać jak najczęściej.

Niektóre panie chcące uniknąć niemiłej woni potu, zostawiają we wgłębieniu ramion pianę z silnie pachnącego mydła. Wprawdzie przez jakiś przeciąg czasu nie odczuwają żadnych szkodliwości, później jednak w następstwie systematycznego zadrażniania delikatnej skóry występuje przykry świąd. Dużo lepszym, bo nieszkodliwym, dezynfekującym i odwaniającym środkiem jest płyn o następujących składnikach:

wody kolońskiej	50 g
gliceryny	25 g
wody różanej (albo przegotowanej)	25 g
nalewki benzoesowej 20 kropel.	

Przed użyciem zakłócić i zwilżyć skórę po umyciu. W ciągu dnia można bezpiecznie powtórzyć zabieg kikakrotnie.

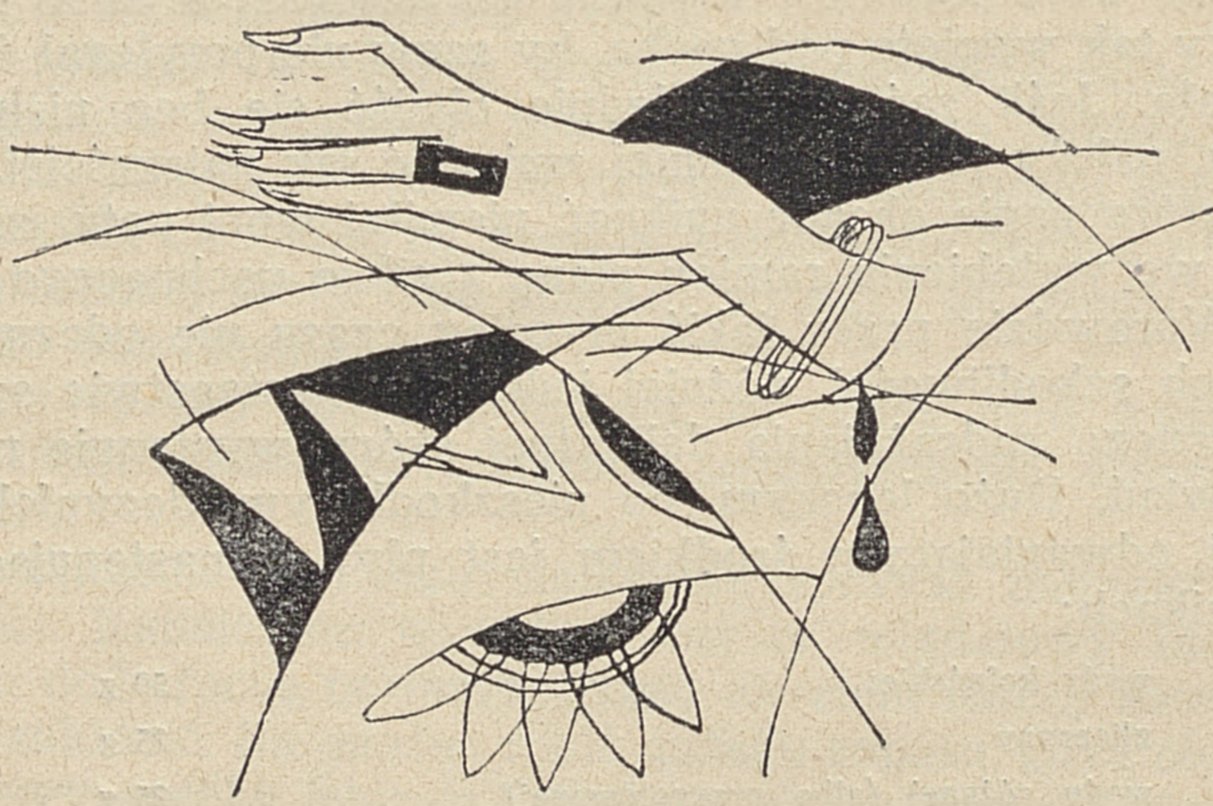
W przypadkach silniejszego wydzielania się potu dobrze jest wesprzeć działanie wyżej podanego płynu następującym proszkiem:

mączki ryżowej	60 g
talku	56 g
tanniny	2 g
kwasu salicylowego	2 g
nadboranu sodowego	5 g

Po zakropleniu płynem, zapudrować.

Jest to czynność wymagająca wielkiego umiarkowania. Bo o ile miłą i ponętną jest subtelna woń wszelakich szatek niewieścich, o tyle razi nas i zniechęca impertynenckie narzucanie się ostrych, krzyczących pachnideł.

Bieliznę, po odebraniu z prania i przy umieszczaniu na półkach w szafie, przekłada się saszetkami. W lecie można ją przekładać świeżemi listkami róży, fiołków, mięty, kwiatem lipowym i wogóle dobierać wonne listki wedle osobistych upodobań. Listki nawet silnie pachnących świeżych kwiatów nie pozostawiają w bieliźnie ostrej woni.



Sukien, płaszczy, futer, trykotaży, pończoch, sztucznych kwiatów nie należy perfumować bezpośrednio tuż przed wyjściem. Wszystko to musi się powoli przepajać wonią w zamkniętej szafie.

Poszczególne części garderoby perfumuje się lekko rozpylaczem. Nigdy wprost z flakonika, gdyż wówczas powstają plamy na materjałach, których potem niczem usunąć nie można. Po naperfumowaniu wiesza się je w szafie i zamyka.

Drugi sposób — to saszety. Wszywa się mikroskopijne jedwabne saszetki w szwy sukien i okryć, w rękawy pod

pachami, ukrywa się je pod przybraniami. Zresztą wybór miejsca na umieszczenie saszet jest najzupełniej dowolny. W taki sam sposób rozmieszcza się paski perfumowanej skóry.

Dlaczego nie należy perfumować rzeczy w ostatniej chwili przed wyjściem — i trzymać je w zamkniętej szafie?

Niektóre perfumy, nawet te o najszlachetniejszej woni i w wyborowym gatunku, są w pierwszej chwili za ostre i nie dają należytego pojęcia o zapachu. Dopiero po jakimś czasie, gdy ulotni się dominujący zapach olejków eterycznych, dochodzi do głosu zasadnicza, łagodna woń. Przy próbach perfum zalecają sprzedający dwa sposoby: chusteczkę z kilku kroplami perfumy trzymać w torebce do drugiego dnia i dopiero wtedy wetchnąć woń. Albo — parę kropel perfumy rozetrzeć silnie na dłoni i po jakimś czasie sprawdzić rodzaj zapachu.

Zamknięcie rzeczy w szafie tuż po ich naperfumowaniu ma dwa cele: zapach nie ulatnia się w powietrzu w pokoju lub na ulicy, lecz pozostaje w szafie i tem lepiej przenika materjały. Następnie, szafa sama, tj. drzewo, chłonie perfumę, przepaja się nią nawskróś i zczasem staje się czemś w rodzaju wonnej saszety, albo lepiej kasety. Mamy tu więc i ekonomję perfumy. Na wschodzie robią do przechowywania cennych tkanin skrzynie z wonnego drzewa, np. różanego, sandałowego.

PERFUMOWANIE PRZEDMIOTÓW ZE SKÓRY

Do miłych przyzwyczajeń wytwornych pań należy perfumowanie rękawiczek i obuwia. Perfumuje się je od wewnątrz, i z zasady nie tą perfumą, której używa się do innych części garderoby.

Do tego celu wybieramy przezornie zapachy harmonizujące ze skórą i przygłuszające swoim intensywnym zapachem swoisty zapach skóry, zwłaszcza na obuwie, czasem nie do zniesienia przykry i uporczywy.

Proszek do rękawiczek

sproszkowanego korzenia kosaćca	10 g
magnezji	10 g
łojku	5 g

Zrobić saszetki z jedwabnego papieru, lub z jedwabiu, i trzymać je stale w rękawiczkach. Wyjmować przed wyjściem i wkładać zpowrotem po zdjęciu rękawiczek. Trzymane w zamkniętej kasecie tem łatwiej przepajają się wonią saszet.

PERFUMOWANIE OBUWIA

Ulubionym zapachem do perfumowania wszelkich wyrobów ze skóry — nietylko obuwia — jest t. zw. juchtowy, pochodzenia rosyjskiego, zwany pod nazwą:

Cuir de Russie

olejku juchtowego	60 g
nalewki benzoesowej	10 g

albo

Heliotrop

heljotropiny	36 g
waniliny	20 g
nalewki benzoesowej	10 g
odwaru zybuczkowego	10 g

Obuwia nie należy zaraz po zdjęciu wkładać na prawidła, lecz wprzód dobrze je przewietrzyć. Następnie rozpylić perfumą do wewnątrz, włożyć saszetki — jedną w miejscu pięty, drugą w palcach — i przytrzymać je prawidłem.

KAPELUSZE

Można je perfumować w rozmaity sposób, jak komu dogodniej. Zatem poprostu: rozpylać perfumę, wszywać mikroskopijne saszetki jedwabne, albo skrawki perfumowanej skóry pod przybranie, tj. pod wstążki, pióra, motywy, klamry. To samo odnosi się do podszycia kapeluszy, które następnie miłym zapachem przepajają włosy i skórę głowy. Nadają się do tego dobrze perfumy bez alkoholu, których intensywny zapach trwa długo.

Jakże inaczej czyta się list, z którego zalatuje woń perfumy, używanej przez piszącą. Przynosi on nam coś więcej, aniżeli z szeregu martwych liter uskładane słowa, zdania i myśli — bo wywołuje żywy obraz.

I mimowoli wówczas, choćbyśmy byli najzupełniej fantazji pozbawieni, wyczuwamy bliską obecność piszącej — niejako fizyczną — i już nie czytamy, lecz rozmawiamy z nią żywem słowem. Każdy, kto takie listy odbiera, przyzna mi słuszność i nie posądzi o przesadę. A i to zaznaczyć pragnę, że nie mam na myśli wyłącznie miłosnej korespondencji.

Papier listowy trzeba umieć perfumować. Wszelkie plamki, kleksy, zalewania psują miłe wrażenie.

Płynne perfumy nie nadają się do bezpośredniego perfumowania papieru, gdyż albo pozostawiają widoczne plamki, albo powodują zalewanie się pisma. Sposób użycia płynnej perfumy jest następujący:

Kasetę na papier skrapia się obficie perfumą od wewnątrz i natychmiast zamyka. Białą bibułę pokrajaną, mniej więcej, na format papieru i kopert zwilża się dobrze perfumą, wkłada mokrą do kasety i ponownie zamyka. Po wyschnięciu, które szybko następuje, przekłada się bibułami każdy arkuszyk papieru oraz koperty od zewnątrz i wewnątrz.

Im dłuższy czas poddajemy papier przepajaniu się perfumą, tem silniej pachnie i tem trwalej ją przechowuje.

Drugi sposób — to perfuma w proszku, taka, jaką przyrządzamy do saszet.

Proszkiem nie można perfumować papieru przed pisaniem, gdyż wszystkie litery byłyby zalane. Saszetki pachną tak mocno, że samo włożenie ich do kasety z papierem listowym przepaja go wonią w przeciągu kilku dni. Do jednej kasetki trzeba ich jednak kilka, ale nie tyle, ile arkuszyków. Wystarczą 4 lub 5, lecz pod warunkiem, że są w najlepszym gatunku. W handlu są do nabycia we wszelkich zapachach. Saszetki wkłada się do kaset zamknięte.

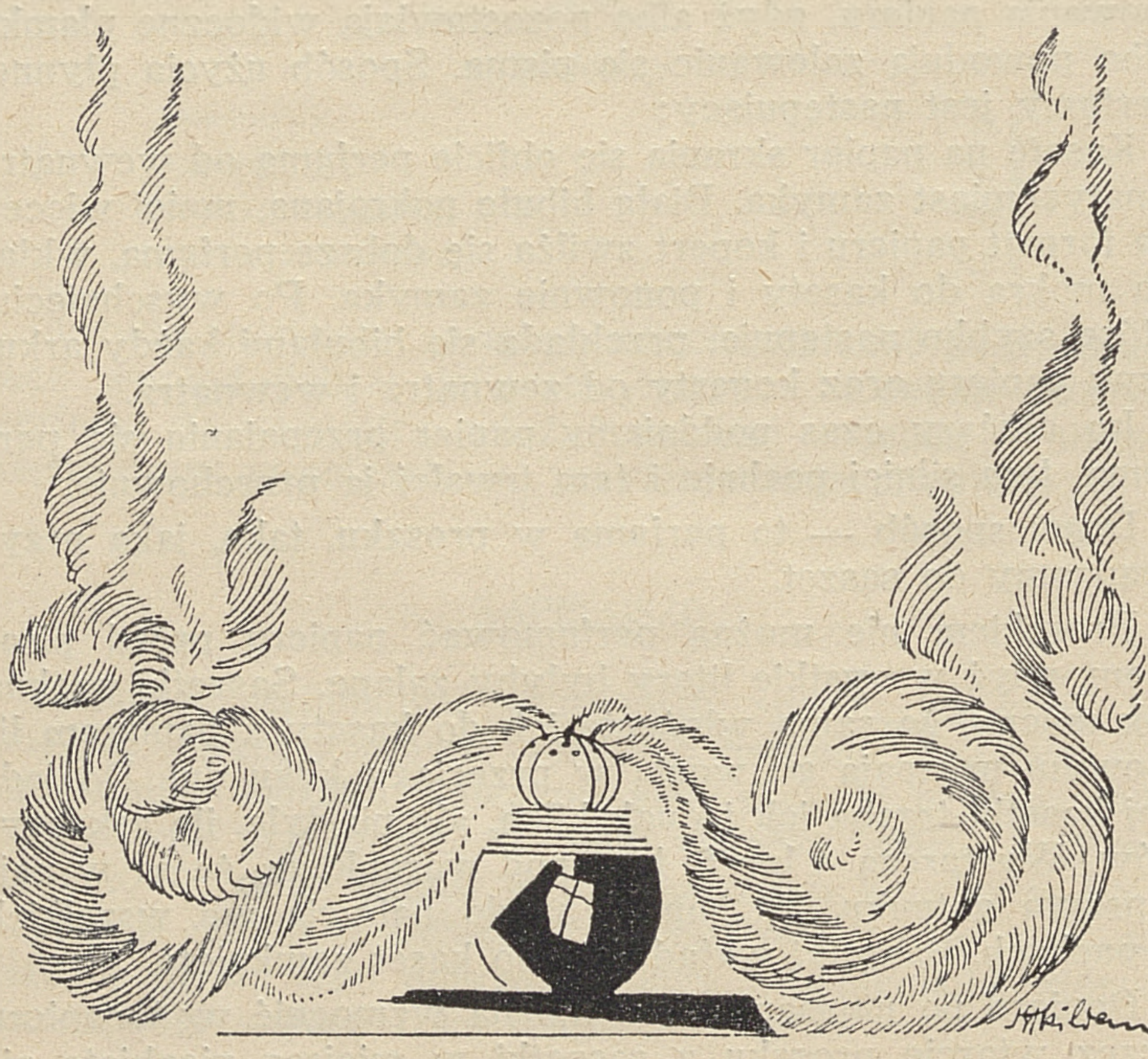
Dopiero po napisaniu listu można wzmocnić woń papieru przez wtarcie proszku z saszetki w miejsca nieobjęte pi-

smem i w stronę wewnętrzną koperty. Wykonać to należy nie palcami lecz zwitkiem waty, owiniętym na drewienko lub kostkę grubości zapałki.

Perfumowanie proszkiem jest trwalsze od płynnej perfumy.

Woń zalatująca z listu nie powinna być za silna, narzucająca się, lecz raczej dyskretna w swem wyrafinowaniu. Jest to bardzo ważny szczegół, o którym panie zapominają czasem. Wprawdzie można to wytłumaczyć faktem, że używając stale perfum zatracamy wrażliwość na tę specjalnie woń, co łatwo może prowadzić do nadużycia. Jeżeli jednak kontrolujemy tę czynność, nabywamy zczasem niezawodnej wprawy i nie zatracamy miary.

Perfumowany papier nadaje się nie do wszystkich listów. Wyłączyć trzeba korespondencję w interesach, wszelkie zamówienia, upomnienia itp.



CZĘŚĆ TRZECIA

ANNA FRYZE — MODNE ROBOTY RĘCZNE

Z. KULCZYCKA — ORGANIZACJA GOSPODARSTWA DOMOWEGO

Z. KULCZYCKA — FARBOWANIE W DOMU

Z. KULCZYCKA — NAJŁATWIEJSZY SPOSÓB MALOWANIA MATERJAŁÓW

INŻ. JÓZEF LIPSZ — CZYSZCZENIE PLAM

INŻ. JÓZEF LIPSZ — SKLEJANIE RÓŻNYCH PRZEDMIOTÓW

ANNA FRYZE

MODNE ROBOTY RĘCZNE

WSTĘP

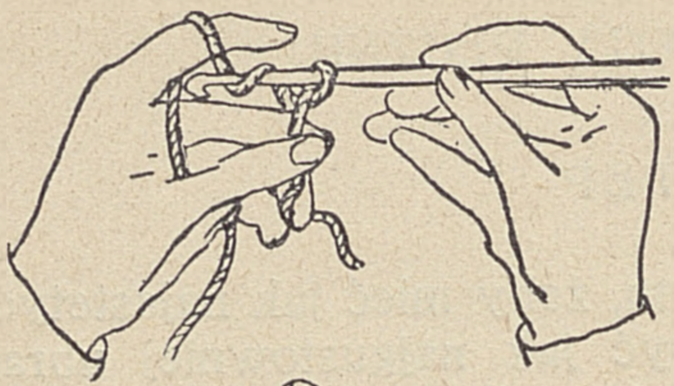
Któraż z nas nie marzy o tem, żeby mieć jak najestetyczniej urządzone mieszkanie, być jak najgustowniej ubraną i mieć jak najładniej wyglądające dzieciaki? Niewielu jednak z nas warunki życia pozwalają na to, by marzenia te oblec w realną formę przez zakupno wszystkiego tego, co nam się zdaje koniecznem, ażeby ani nasz dom ani nasza powierzchowność nie wykraczały przeciw estetyce i harmonji.

A jednak jak łatwo każdej kobiecie zastosować się właśnie do tych dwu sztandarowych pojęć mody naszych czasów. Znany jest jednak fakt, iż najpożyteczniejsze nieraz rzeczy ciężko torują sobie drogę w życiu do czasu, gdy wreszcie ogólne zrozumienie ułatwi im albo przypadek, albo poprostu — wszechwładna „Pani Moda".

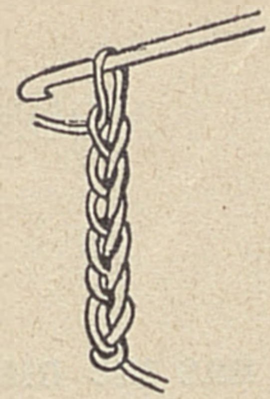
Do takich rzeczy należały doniedawna kobiece roboty ręczne. To co nasze babki i prababki wykonywały w długich godzinach żmudnego ślęczenia — nieraz jeszcze przy świeczce łojowej — a co przecież było niejednokrotnie prawdziwym artyzmem i arcydziełem, poszło w zapomnienie w okresie „kształcenia" kobiety i jej równouprawnienia z mężczyzną w walce o byt. Poszło w zapomnienie — lecz szczęściem nie na długo. Od kilku już lat kobiece roboty ręczne wróciły „do mody" — wróciły też dawne wzory i sposoby naszych prababek i choć już nie przy świeczce łojowej ale przy elektrycznej żarówce, kobieta dzisiejsza potrafi stwarzać własnemi rękoma takie same arcydzieła jak ongiś jej... prababka. I ta umiejętność właśnie jest owym cudownym kluczem, który otwiera podwoje do krainy marzeń tym kobietom, które — choć nie mają dużo pieniędzy, mają dużo cierpliwości i dużo dobrych chęci.

Dla tych właśnie kobiet chcę podać kilka wskazówek, jak „marzenia oblec w czyn".

Tablica I.



Rys 1.



Rys. 2



Rys. 3.



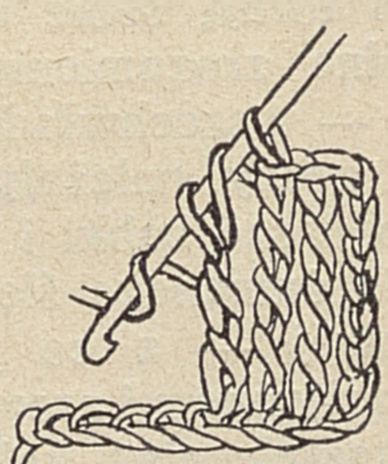
Rys. 4.



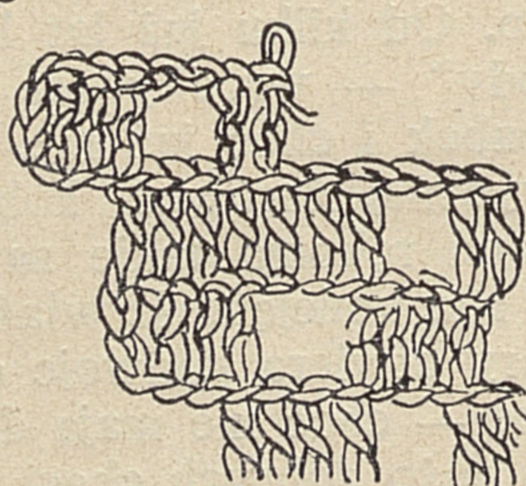
Rys. 5.



Rys. 6.



Rys. 7.



Rys. 8.

Proste są narzędzia ręcznej roboty kobiecej: szydełko, druty, igła zwyczajna, iglica do siatki (filet), widełki itp.

Przypatrzmy się kolejno technicznej stronie operowania temi narzędziami.

ROBOTY SZYDEŁKOWE

Do szydełkowania potrzebne jest szydełko i nić, dostosowane do siebie grubością. Szydełkuje się bawełną, włóczką, sztucznym jedwabiem lub lacetką, używając do bawełny szydełka stalowego, do innych materjałów — kościanego lub drewnianego.

Tablica I przedstawia zasadnicze ściegi, z których składają się roboty haczkowane. Początek każdej roboty haczkowanej stanowi „oczko na powietrzu". Powstaje ono z kluczki, owiniętej dokoła szydełka (rys. 1) — nitkę przytrzymuje się przytem pierwszym i trzecim palcem. Następnie nawija się nitkę na szydełko i przeciąga przez tę pierwszą kluczkę — tak powstaje pierwsze oczko, z którego przez kolejne przeciąganie tworzy się szereg oczek na powietrzu czyli łańcuszek (rys. 2).

Mając już odpowiedniej długości łańcuszek, należy „wrócić się" po nim albo ściegiem łańcuszkowym albo ścisłemi oczkami, zaczynając od przedostatniego oczka łańcuszka (licząc od szydełka), tak, jak to przedstawia rys. 3 i 4.

Ściegu łańcuszkowego używa się do przejścia, unikając w ten sposób urywania nitki. Szydełko wkłuwa się w oczko łańcuszka (rys. 4), nawija nitkę i przeciąga ją odrazu przez oczko i kluczkę, znajdującą się na szydełku.

Ścisłe oczka (rys. 3 i 5) wykonuje się, wkłuwając szydełko w oczko łańcuszka, przeciąga nitkę, poczem powtórnie nawija nitkę na szydełko i przeciąga odrazu przez obie na szydełku znajdujące się kluczki. — Każdy rząd ścisłych oczek zaczyna się jednem oczkiem na powietrzu.

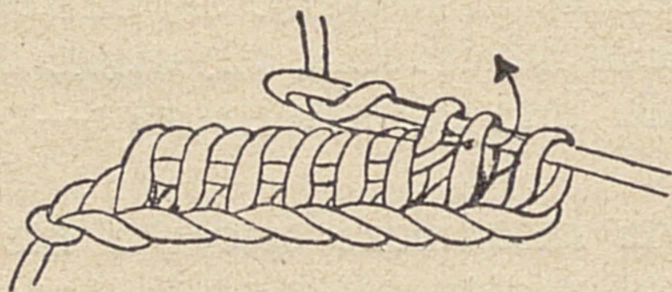
Przy słupkach (rys. 6) wykonuje się 7 ruchów: Nawija się nitkę na szydełko, wkłuwa w oczko poprzedniego rzędu, nawija znowu nitkę, przeciąga przez dwie kluczki na szydełku, znowu nawija nitkę i przeciąga przez pozostałe dwie na szydełku kluczki.

Tablica II.

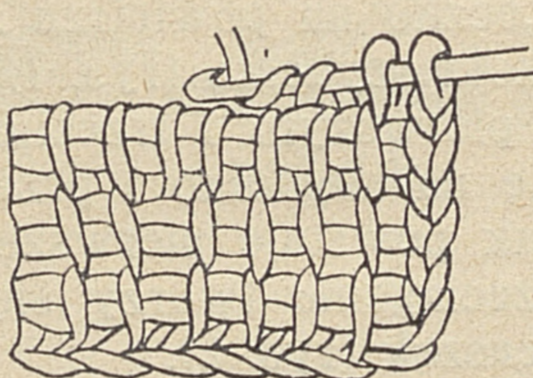
Rys. 1.



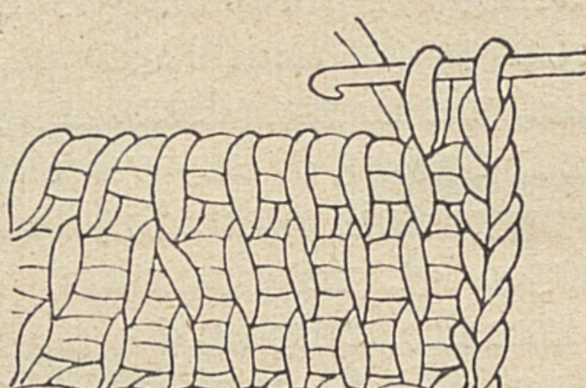
Rys. 2.

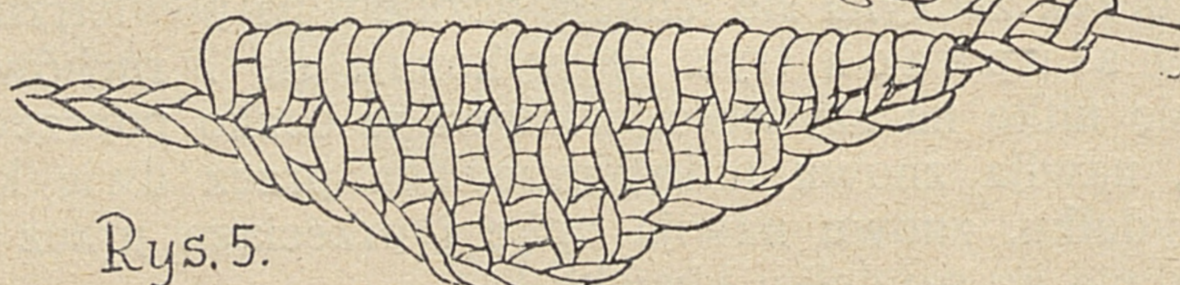


Rys. 3.



Rys. 4.





Rys. 5.

S ł u p k i p o d w ó j n e wymagają dwukrotnego nawinięcia i trzykrotnego przeciągnięcia przez dwie (i zawsze tylko kolejno przez dwie) kluczki na szydełku.

S ł u p k i p o t r ó j n e (rys. 7) wymagają trzykrotnego nawinięcia, a czterykrotnego przeciągnięcia kolejno przez dwie (i zawsze tylko dwie równocześnie) kluczki na szydełku.

Rys. 8 przedstawia d o b i e r a n i e s ł u p k ó w. Na końcu rzędu słupków dorabia się tyle oczek na powietrzu ile potrzeba do rozszerzenia roboty, więcej trzy oczka; następnie, obróciwszy robotę, robi się pierwszy słupek w czwarte oczko łańcuszka, licząc od szydełka.

Często i chętnie używanym ściegiem szydełkowym jest t. zw. ś c i e g T u n e t a ń s k i (Tablica II), którego cechą jest, iż nabiera się w pierwszym rzędzie kolejno na szydełko nitki, przeciągane przez każde oczko, odrabiając w ten sposób powstały szereg kluczek dopiero w rzędzie powrotnym.

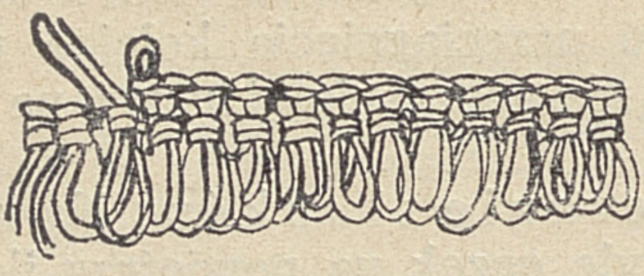
Używa się do tego szydełka długiego, kościanego lub drewnianego, równej grubości. Pierwszy rząd: łańcuszek przerabia się w sposób wskazany na rys. 1 (Tablica II), przeciągając przez każde oczko kolejno nitkę, którą zostawia się na szydełku, tak, iż utworzy się na nim rząd kluczek. Drugi rząd: (rys. 2) nawijając każdorazowo nitkę na szydełko, przeciąga się ją przez dwie kluczki z szeregu, dochodząc wkońcu do jednej kluczki na szydełku. Trzeci rząd robi się tak samo jak pierwszy, nabierając na szydełko zamiast oczek łańcuszka kolejno każdą pionową nitkę poprzedniego rzędu.

D o b i e r a n i e (rys. 3) uskutecznia się przez wkłucie szydełka w tylną i przednią część oczka poprzedniego rzędu.

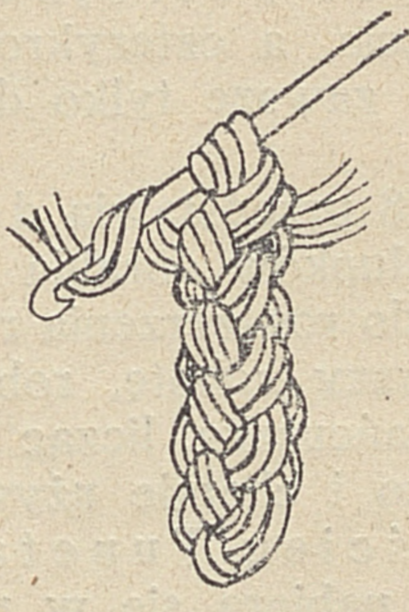
U j m u j e s i ę (rys. 4), nabierając w danem miejscu dwie nitki pionowe naraz.

Rys. 5 ilustruje dobieranie na początku i końcu roboty (po obu stronach). Po stronie prawej dorabia się po każdorazowym „drugim“ (powrotnym) rzędzie łańcuszek, przez którego oczka przeciąga się kolejno nitkę i nabiera na szydełko. Po lewej stronie zużywa się oczka łańcuszka zapa-

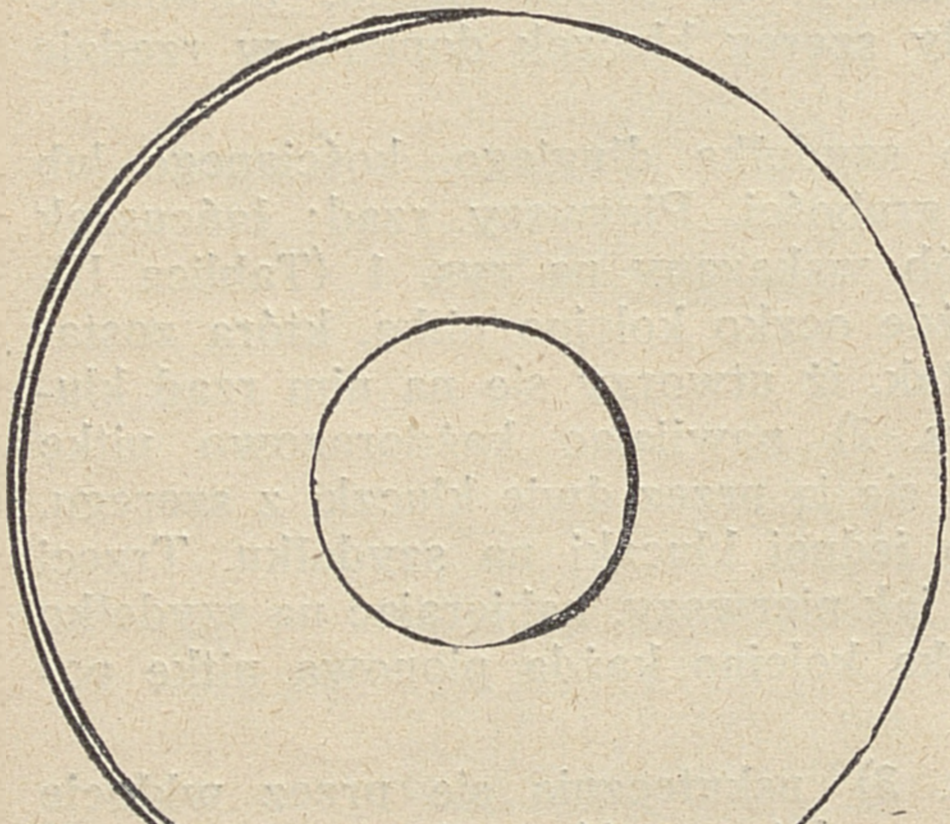
Tablica III.



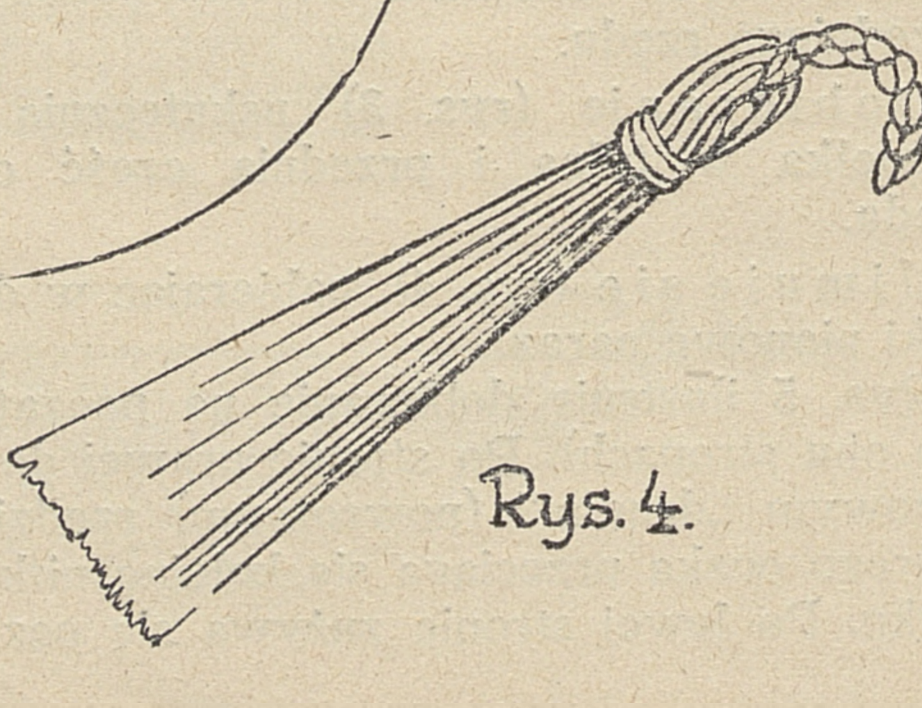
Rys. 1.



Rys. 2.



Rys. 3



Rys. 4.

sowego, zrobionego przy rozpoczęciu roboty. Ładną ozdobą roboty szydełkowej jest t. zw. Baranek (Tablica III), tj. szydełkowanie długich i gęstych kluczek. Używa się do tego wałeczka drewnianego, toczonego, o 1 cm średnicy — można też robić wprost na palcu (nawijając nitkę dwa razy). Pierwszy rząd stanowi rząd ścisłych oczek, na którym rząd kluczek będzie leżał od spodu. W tym celu kładzie się wałeczek pod brzeg roboty, przekłada przezeń nitkę i przeciąga ją szydełkiem od tyłu ku przodowi przez następne oczko — następnie nawija się nitkę wprost na szydełko i przeciąga przez oba oczka. Gdy wałeczek zapełniony jest kluczkami, wyciąga się go z kluczek i postępuje jak z początku (rys. 1).

Mówiąc o szydełkowaniu należy wspomnieć o ozdobach używanych przy robotach szydełkowych. Mam na myśli sznurki szydełkowe i pompony.

Sznurek ilustruje rys. 2 — użyto nitki poczwórnej, aby osiągnąć większą grubość.

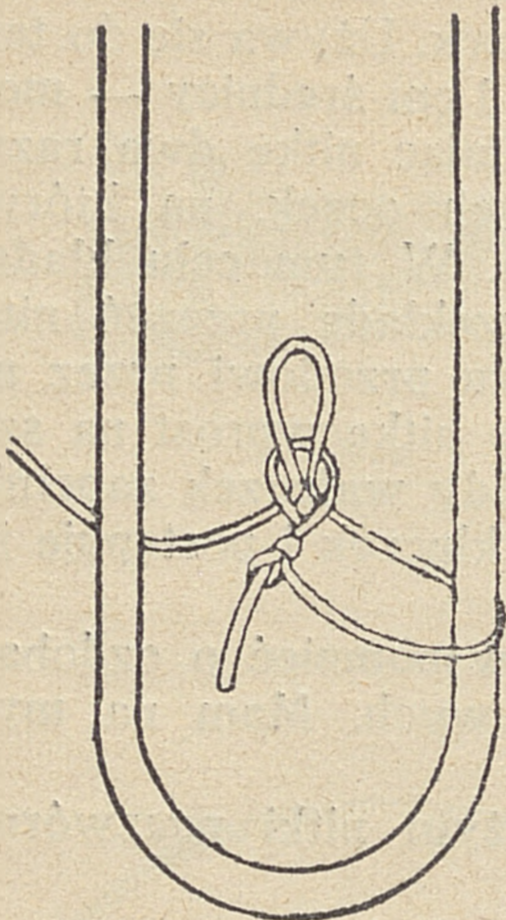
Pompony są dwojakie: okrągłe i podłużne.

Pomponik okrągły: z tektury wycina się dwa pierścienie kołowe jednakowe (średnica dużego koła zewnętrznego 9 cm, małego wewnętrznego 3 cm) (rys. 3). Pierścienie te ułożone na sobie owija się włóczką od środka na zewnątrz w kierunku promieni koła, gęsto i grubo tak, aby otwór pierścienia był wypełniony. Następnie rozcina się włóczkę wzdłuż brzegów pierścieni, pomiędzy te dwa pierścienie wkłada się mocną nitkę, którą związuje się silnie — pierścienie tekturowe rozdziera się i wyrzuca, a pompon wyrównuje się nożyczkami.

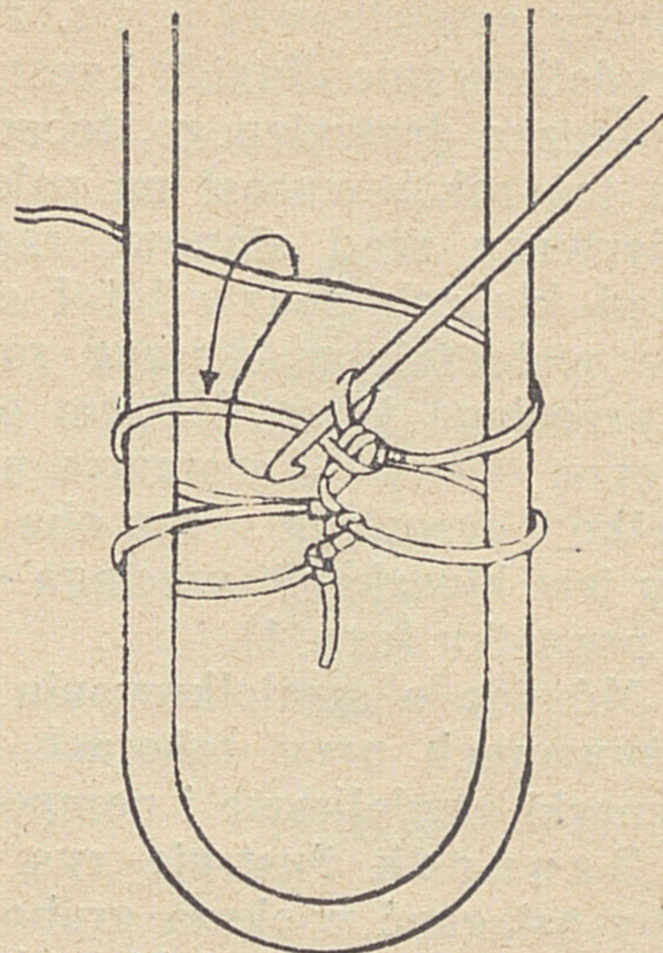
Pomponik podłużny: na karton szerokości 8 do 10 cm nawija się gęsto włóczkę, rozcina ją z jednego brzegu i związuje 1—2 cm od zgięcia (rys. 4).

ROBOTA WIDEŁKOWA (Tablica IV)

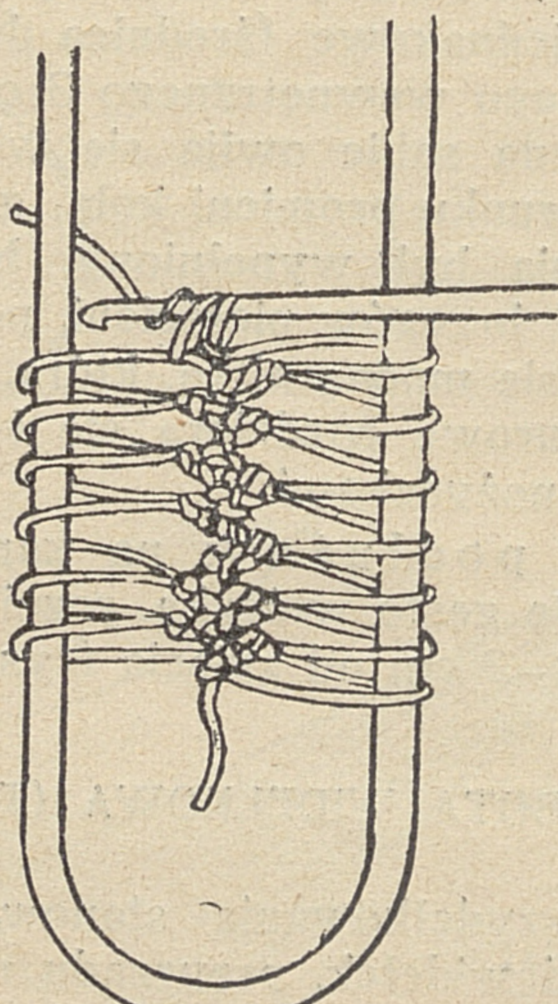
Kombinację szydełkowania stanowi robota widełkowa, nazwana tak od widełek, przyrządu metalowego w kształcie widełek strojowych, dokoła których oczka się przerabia. Zaczyna się jednem oczkiem na powietrzu (rys. 1),



Rys. 1



Rys. 2.



Rys. 3

poczem przekłada się nitkę przez jedno ramię widełek od przodu ku tyłowi i przeciąga ją przez pierwsze oczko ku przodowi, kończąc ścisłem oczkiem. Następnie obraca się widełki, przekłada nitkę znów od przodu ku tyłowi przez drugie ramię widełek, przeciąga nitkę od tyłu ku przodowi (jak wskazane na rys. 2) i kończy ścisłem oczkiem. Dalej postępuje się jak poprzednio (rys. 3). Gdy widełki pełne, należy pętle zesunąć i robić dalej do odpowiedniej długości pasa.

ROBOTY NA DRUTACH (TRYKOTAŻ) (Tablica V)

Roboty na drutach wykonuje się bawełną, włóczką i tp. Grubość drutów dostosowuje się do materjału.

Robotę na drutach rozpoczyna się dwoma drutami złożonemi razem, aby otrzymać pierwszy rząd bardzo wolnych oczek. Sposób roboty tego rzędu ilustruje rys. 1, 2 i 3.

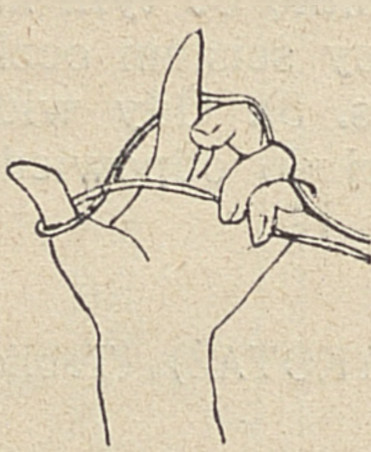
Na rys. 1 uwidocznione jest położenie nitki na ręce lewej i sposób owinięcia jej dokoła palców, przyczem pozostawia się swobodny początek nitki pięć razy dłuższy od szerokości roboty. Druty wsuwa się w pętlę koło kciuka od dołu do góry i chwyta niemi nitkę przechodzącą ponad palcem wskazującym, przeciągając ją przez pętlę (rys. 2 i 3). Kciuk usuwa się i przez przyciągnięcie nitki otrzymuje się pierwsze oczko. Następnie owija się nitkę ponownie około kciuka i postępuje jak powyżej (rys. 4).

Robota na drutach składa się z oczek bezpośrednio ze sobą zespolonych. Przez różnorakie przewlekanie nitki powstają różne typy oczek. Do przerobienia oczka potrzebne są zawsze dwa druty; w tym celu wyciąga się jeden drut z pierwszego rzędu oczek.

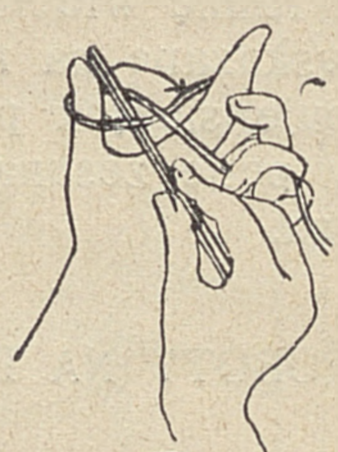
Ścieg gładko (rys. 5) powstaje, gdy drut prawej ręki wkłuwa się w oczko lewego druta od dołu ku środkowi, nabierając następnie nitkę nawiniętą na palcu wskazującym i przeciąga ją przez to oczko, spuszczając je równocześnie z lewego druta.

Ścieg nawywrót (rys. 6): nitkę kładzie się na lewy drut, prawym drutem wkłuwa się w oczko leżące na lewym drucie od środka ku przodowi, nabiera nitkę i przeciąga

Tablica V.



Rys. 1.



Rys. 2.



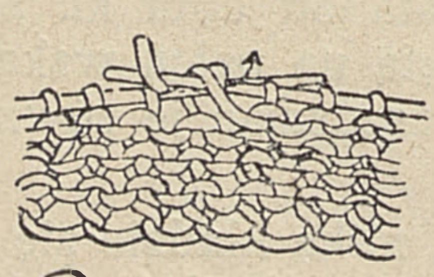
Rys. 3.



Rys. 4.



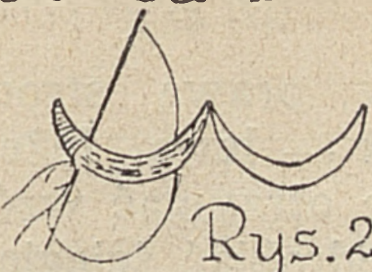
Rys. 5.



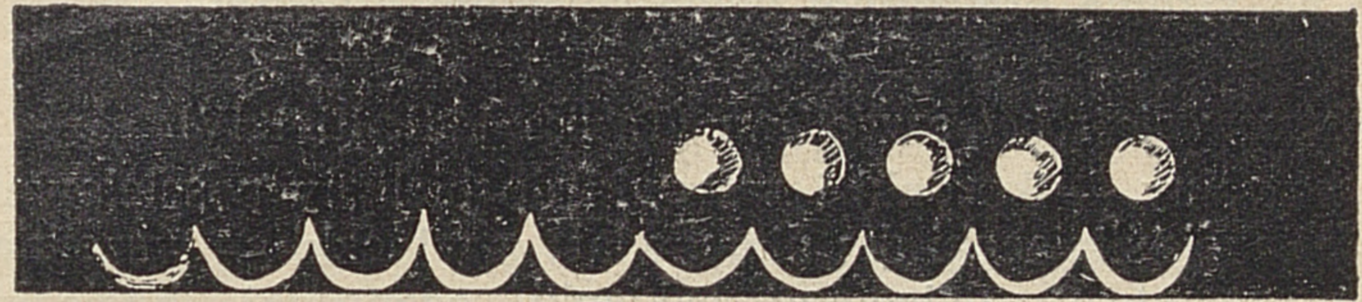
Rys. 6.

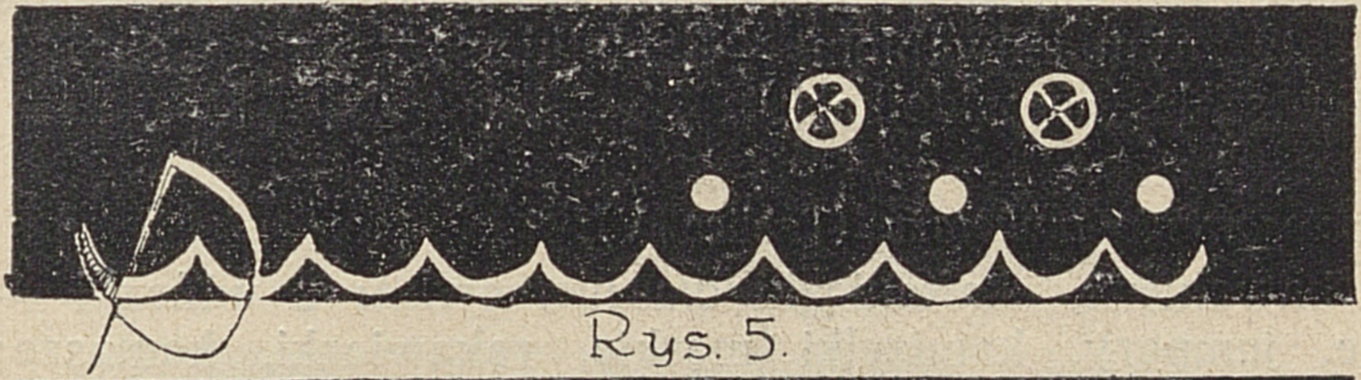
Tablica VI.


Rys. 1.

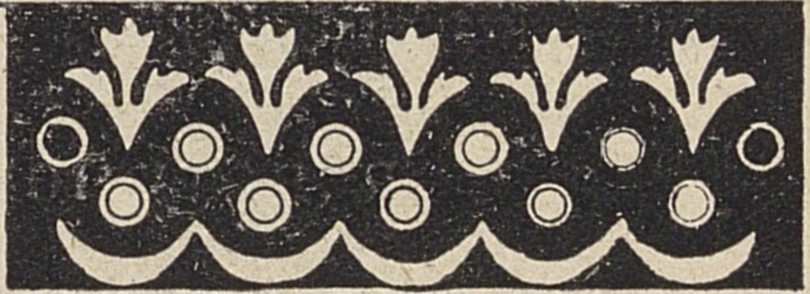

Rys. 2.

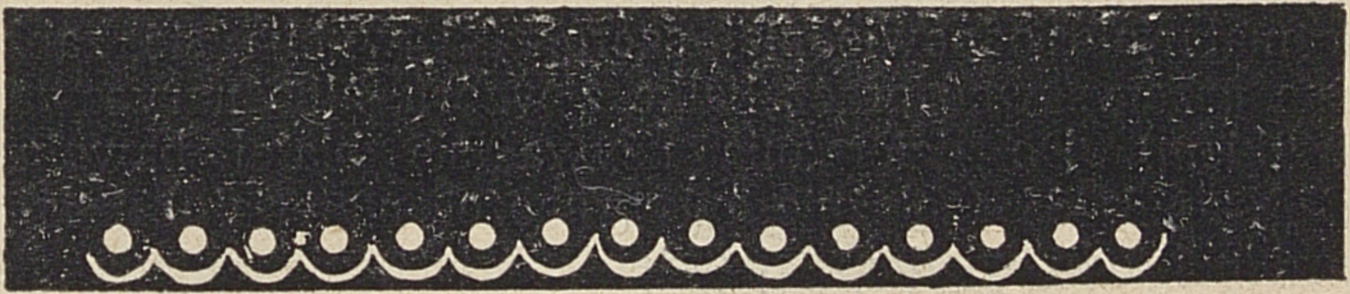

Rys. 3

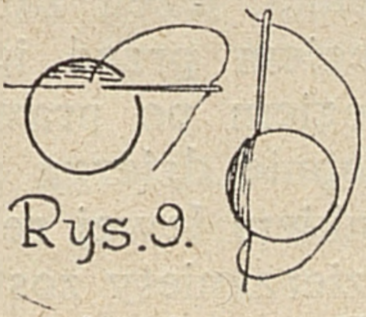

Rys. 4.

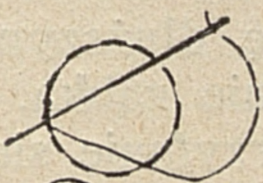

Rys. 5.

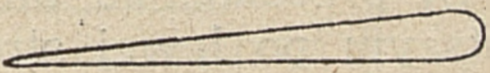

Rys. 6.


Rys. 7


Rys. 8.


Rys. 9.


Rys. 10.


Rys. 11

ją przez to oczko wtył, spuszczając je równocześnie z lewego druta.

Ścieg gładko tworzy prawą stronę roboty robionej wokrąg, ścieg nawywrót — lewą. Jeżeli roboty nie można robić wokrąg, a chce się otrzymać wzór ściegiem gładkim, należy druty powrotne odrabiać ściegiem nawywrót, który daje po stronie odwrotnej wzór ściegiem gładkim.

Zastosowanie robót szydełkiem (Tablica I, II, III i IV):

Z bawełny — koronki i wstawki do bielizny pościelowej i dziecinnej, śliniaczki dla niemowląt; z włóczki — wszelkie szale, swaetery, dziecinne sukienki, czapeczki, buciczki (ściegiem tunetańskim); z włóczki skombinowanej z lacetką lub sztucznym jedwabiem — tabletki, serwety na okrągłe stoliki, szale (na widełkach).

Zastosowanie trykotażu (Tablica V):

Z bawełny — kaftaniczki dla niemowląt; z włóczki — szale, jumpery, kamizelki męskie, rękawiczki, kamasze; z jedwabiu — krawatki męskie.

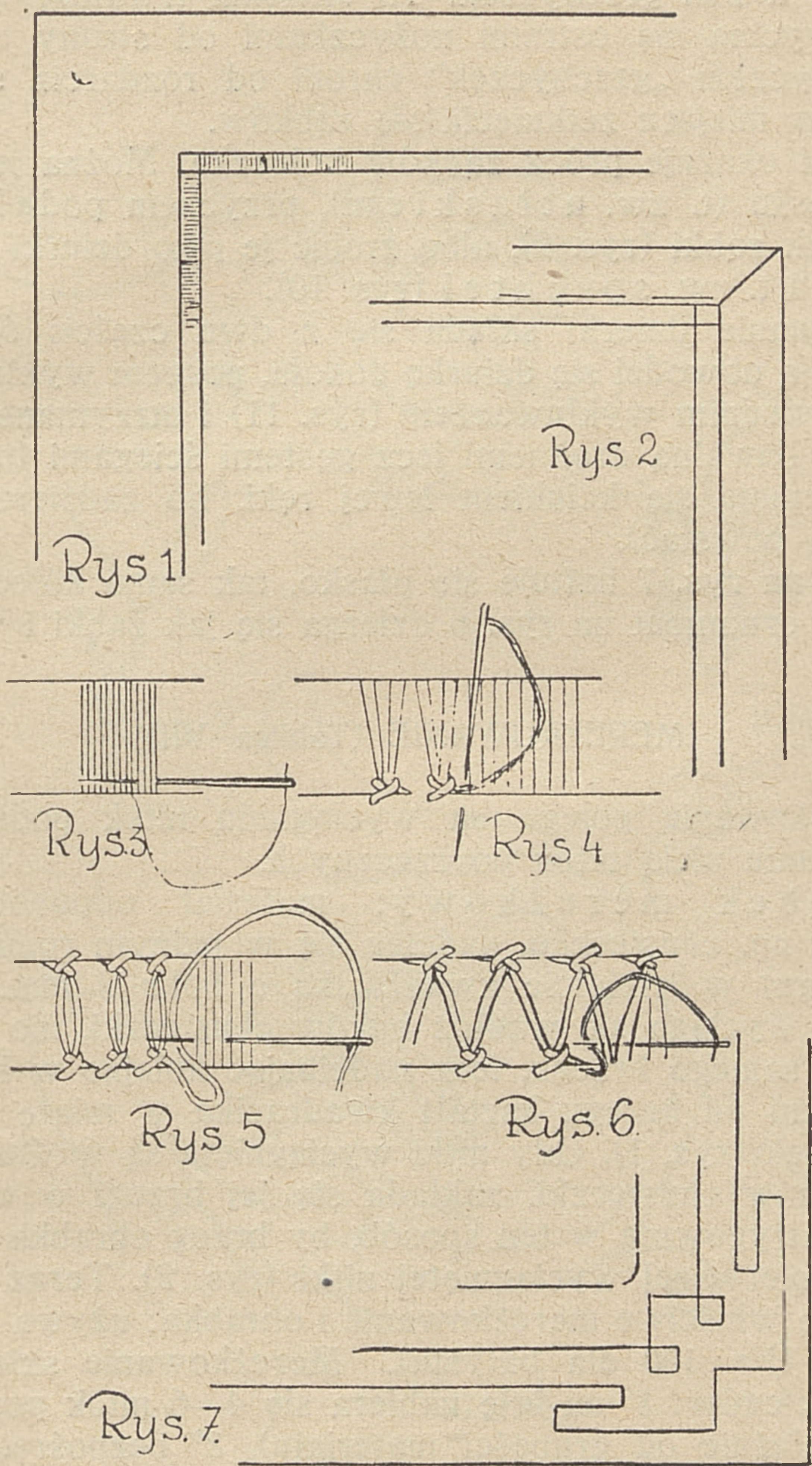
ROBOTY IGŁĄ

DZIERGANIE (Tablica VI)

Na materjale odpowiedniej szerokości wybija się ząbki (można przerysować przez kalkę z wzoru, albo narysować naparstkiem). Do dziergania używa się białej bawełny DMC Nr. 25—35 (zależnie od grubości materjału) i igły zwyczajnej odpowiednio cienkiej. Dzierganie składa się z dwu ściegów: podwlekania i właściwego dziergania.

Każdy ząbek podwleka się bawełną cienką, jeżeli ząbki są drobne, grubszą, gdy są szersze ściegiem przed igłą (rys. 1), przeciągając nitkę dłuższym ściegiem po prawej a krótszym po lewej stronie ząbka. Następnie dzierga się jak na rys. 2: nitkę przytrzymuje się kciukiem lewej ręki, tak, aby po przeciągnięciu igły z nitką zadzierzgnięty został rodzaj półkluczki, tworzącej brzeg ząbka. Początek i koniec

Tablica VII.



każdego ząbka dzierga się wąziutko, przyczem, rozpoczynając ząbek następny, należy pierwsze trzy ściegi złączyć z ostatniemi trzema ściegami poprzedniego ząbka (rys. 3) tworząc t. zw. grzebyczek. To umacnia trwałość ząbków, które wycina się ostremi nożyczkami od strony dzierganej, przyczem „grzebyczek“ chroni od rozdarcia się materjału w miejscu zetknięcia się ząbków.

Rys. 4 okazuje prócz ząbków kółeczka. Można je haftować płasko (t. zw. atłaskiem), przyczem podwleka się je tak jak ząbki (rys. 9), albo zrobić je jako dziurki (ażurowo) czyli t. zw. spachtel (rys. 10).

Wykonanie dziurki składa się z dwu części: ściegiem przed igłą obwodzi się dziurkę dokoła, poczem wykłuwa się ją odpowiednim wykłuwaczem (rys. 11) i otrzymane brzegi obrzuca bawełną drobnemi lecz gęstemi ściegami (nitki nie przytrzymuje się kciukiem lewej ręki, bo zadzierzgnięcia nie mają powstać).

Listki na rys. 7 haftuje się płasko, tak samo kółeczka na rys. 8 a ornament na rys. 6 dzierga się jak ząbki i wycina.

MEREŻKOWANIE (Tablica VII)

Mereżkowanie polega na wyciąganiu nitek podłużnych i obrabianiu nicią nitek poprzecznych.

Obrąbek mereżkowy: materjał odpowiedniego kształtu, np. chusteczkę, nadcina się w jednym rogu (2 cm od brzegu) w kształcie kwadracika o boku 3 mm. Nitki nadcięte wyciąga się wzdłuż boków chusteczki, nie dochodząc do samego brzegu, lecz nadcinając kolejno w każdym rogu 2 cm od brzegu kształt kwadracika w miarę wyciągania nitek (rys. 1). Gdy nitki wyciągnięte są wzdłuż czterech boków chusteczki, zakłada się jej brzegi w obrąbek i przyfastrygowuje w ten sposób, by brzeg obrąbka dochodził do pierwszej wyciągniętej nitki (rys. 2). Teraz rozpoczyna się właściwe mereżkowanie i obrąbka: używa się nici cienkich (Nr. 100 dla batystu). Mereżkowanie składa się z dwu ściegów: 1° na igłę nabiera się 4—6 nitek poprzecznych (zależnie od grubości materjału), 2° bezpośrednio za ostatnią nabraną nitką wkłuwa się igłę w materjał od spodu

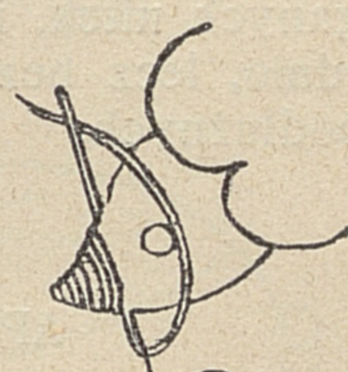
Tablica VIII.



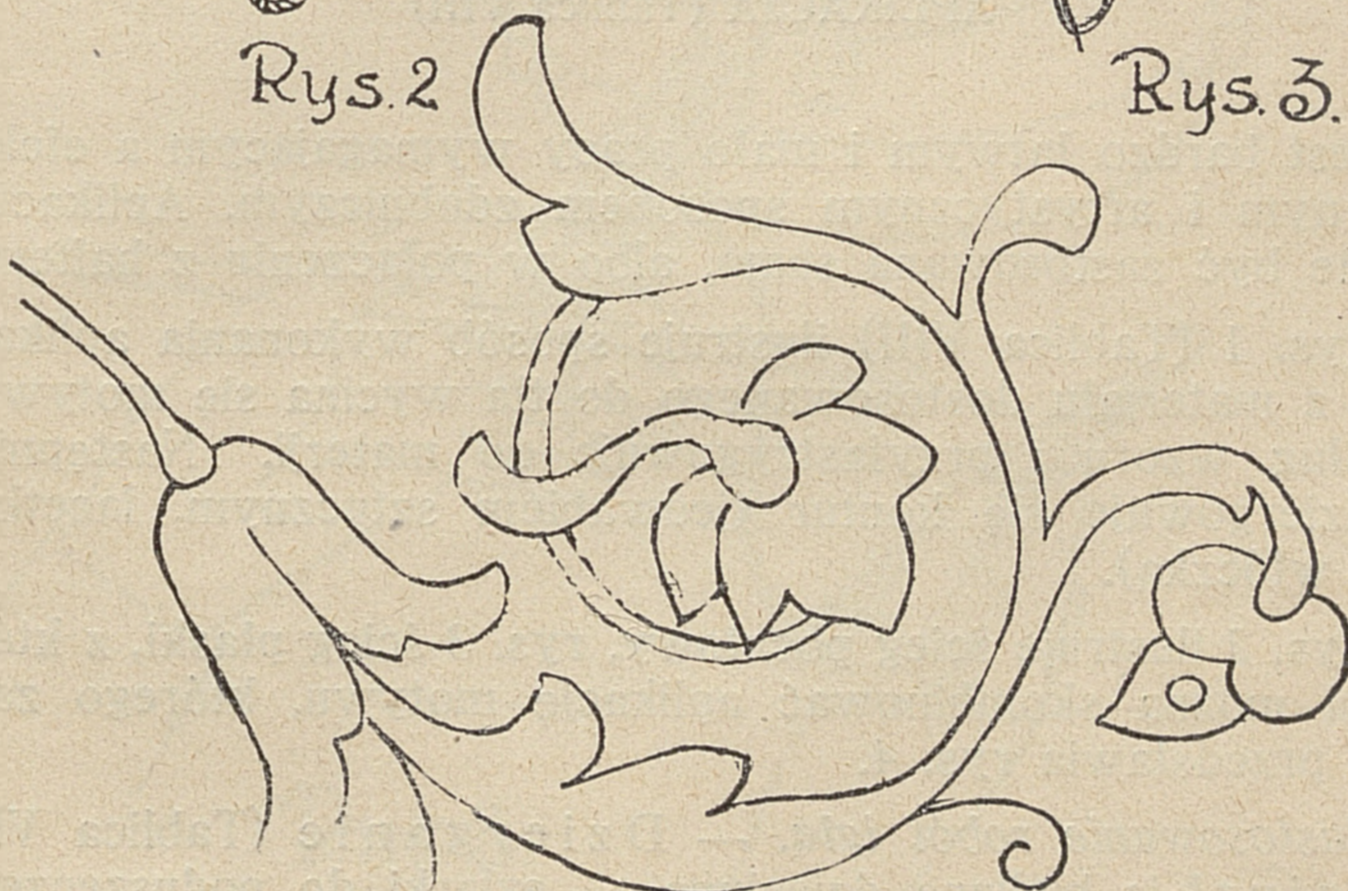
Rys. 1



Rys. 2



Rys. 3.



Rys. 4.

w ten sposób, by chwycić równocześnie brzeg założonej materji (rys. 4) i mocno przyciąga nitkę. — Wycięte kwadraciki na rogach obrzuca się a sam róg obrąbka chusteczki zaszywa się w ukos krytym ściegiem. Skończywszy mereżkowanie po jednej stronie wyciągniętych nitek, obraca się robotę i mereżkuje stronę drugą, przyczem można mereżkować tak jak na rys. 5, albo tak jak wskazuje rys. 6, t. zn.: nabierać po drugiej stronie na igłę te same nitki poprzeczne, które były nabierane po stronie pierwszej, utworzy się w ten sposób rodzaj drabinki (rys. 4), lub brać po połowie nitek z dwu sąsiednich słupków, wskutek czego powstanie nie drabinka, ale wzór zygzakowaty (rys. 6).

W z ó r m e r e ż k o w y (rys. 6) zależy od kombinacji wyciąganych nitek, ich ilości i kierunku. Mereżkuje się jak poprzednio, lecz bez obrąbka, z dwu stron wyciągniętych nitek podłużnych.

APLIKACJA (Tablica VIII)

Jest bardzo łatwym i mało pracy wymagającym a efektownym i artystycznym sposobem zdobniczym. Aplikacja może być zastosowana sama, albo w połączeniu z haftem.

Rys. 1 (Tablica VIII) ilustruje sposób wykonania aplikacji: z materjału dostosowanego do tła wycina się motywy podług wzoru i przyfastrygowuje do materji. Następnie obdziergowuje się kontur (jedwabiem sztucznym, lacetką lub włóczką).

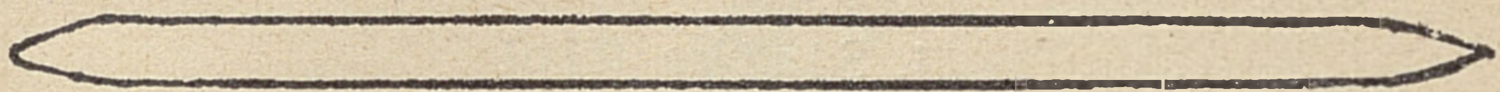
Rys. 2 ilustruje ścieg pocztowy, rys. 3 ścieg płaski, z któremi można skombinować aplikację motywu, którego zarys przedstawia rys. 4.

Zastosowanie robót igłą. — D z i e r g a n i e (Tablica VI) i d z i u r k i: bielizna dziecinna — szlarki do poduszeczek dla niemowląt i do koszulek. — M e r e ż k o w a n i e (Tablica VII): bielizna osobista, pościelowa i stołowa. — A p l i k a c j a (Tablica VIII): suknie damskie, makaty, fryzy w dziecinnym pokoju.

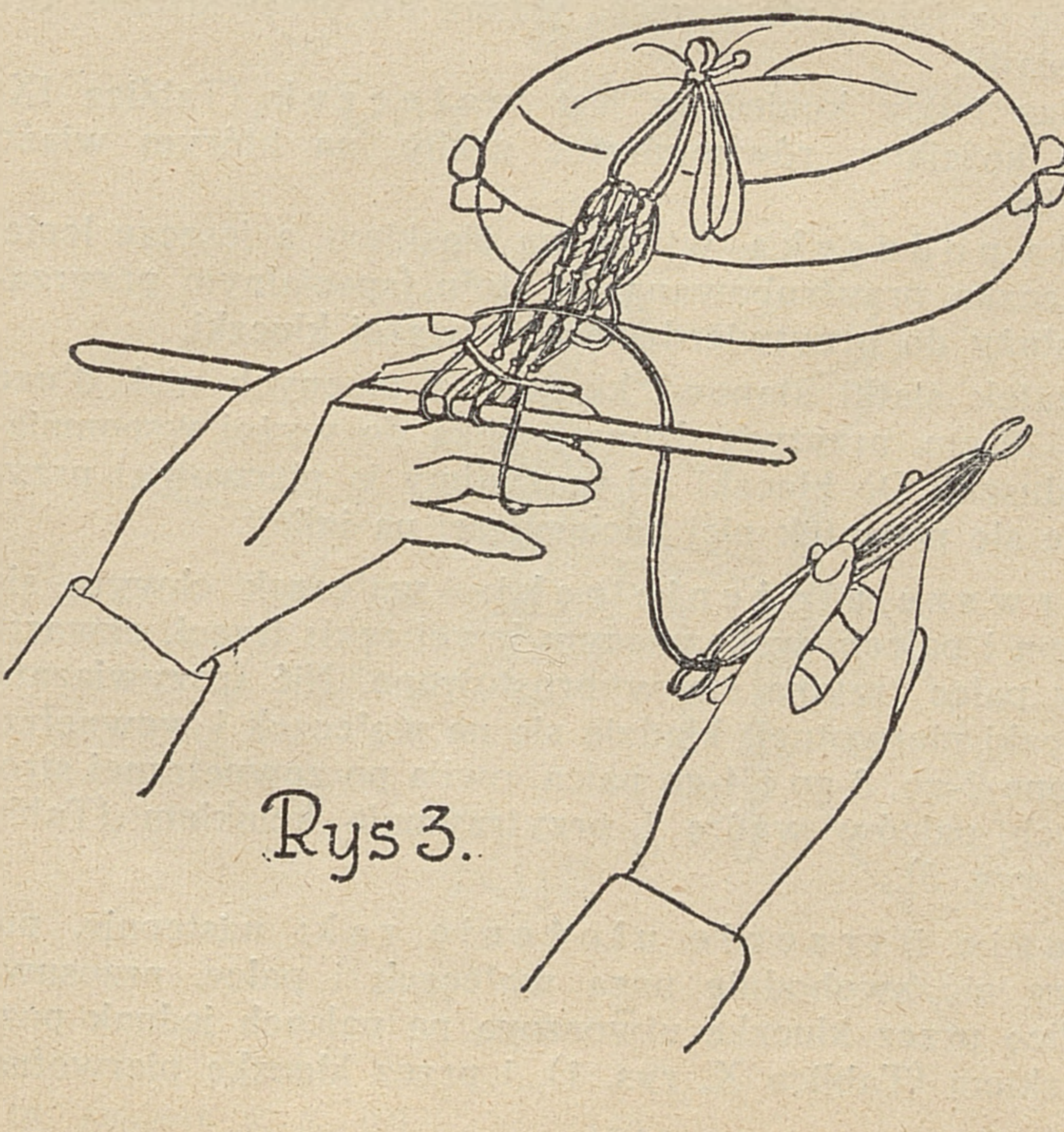
Tablica IX.



Rys.1.



Rys. 2



Rys 3.

Filet jest haftem na siatce na wzór staro-francuski; na tle delikatnej siatki „ceruje się“ kwiaty, listki, małe gałązki, wykwitające z delikatnych amfor i waz.

Robota „filet“ składa się z dwu części: 1) sporządzenia siatki jako tła, 2) haftu na siatce, t. zw. cery.

1. Siatka (tło)

Siatka składa się z oczek złączonych węzłami. Do wiązania siatki potrzebne są różne narzędzia. Przedewszystkiem iglica (Tablica IX, rys. 1) stalowa, grubości drutu spłaszczonego i rozszczepionego na obu końcach, pod rozszczepieniem jest dziurka dla przywiązania nitki. Nici naciąga się na iglicę, nie grubszą jednak niż przewidziane jest oczko siatki.

Oprócz iglicy konieczny jest wałeczek (Tablica IX, rys. 2) kościany, równomiernie gruby, na którym wiąże się oczka.

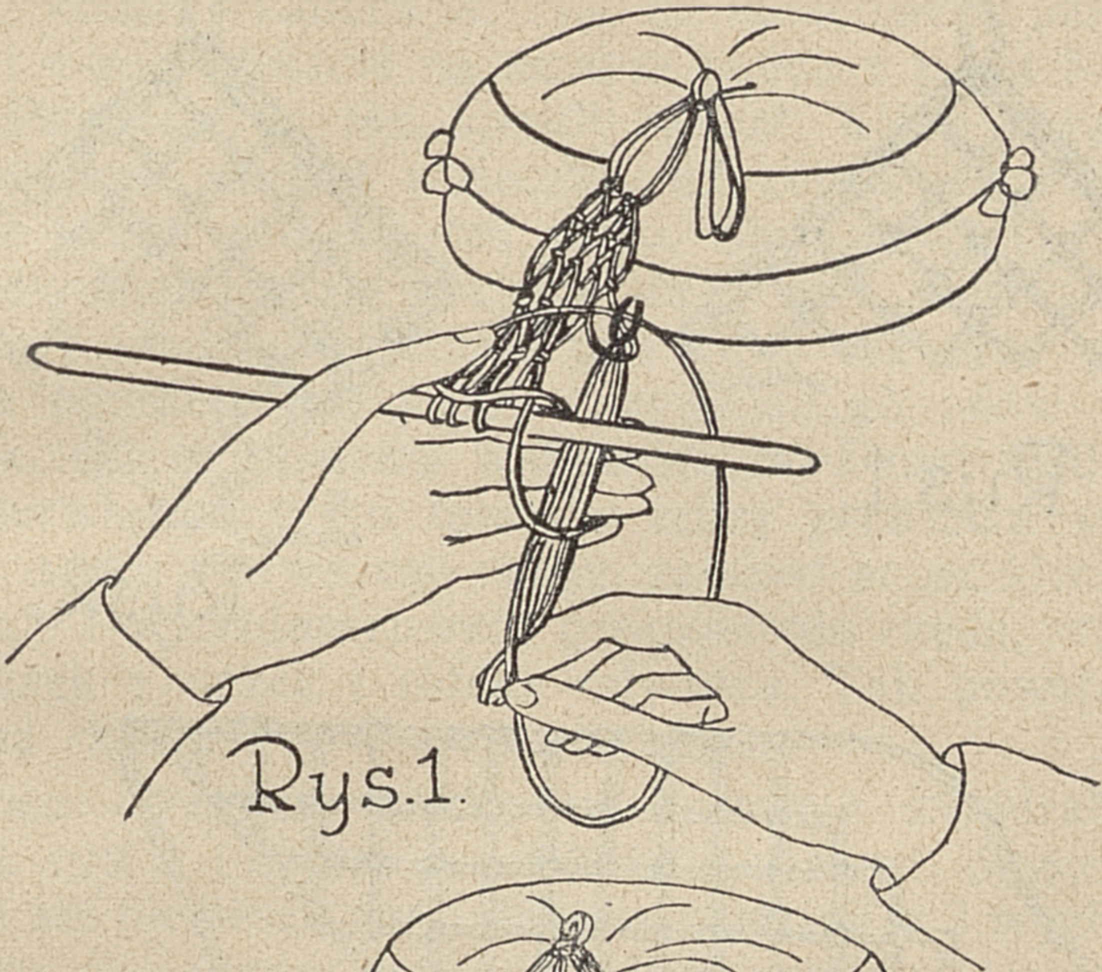
Ciężka poduszka, wypchana piaskiem, a jeszcze lepiej poduszeczka przyśrubowana do stołu (specjalnym przyrządem) służy do przytwierdzenia pierwszej kluczki.

Początek siatki stanowi kluczka z mocnych nici, długa na 10—20 cm. przytwierdzona szpilką do wyżej wspomnianej poduszki. Do kluczki tej (nazwijmy ją pierwotną) przywiązuje się początek nici naciągniętej na iglicy.

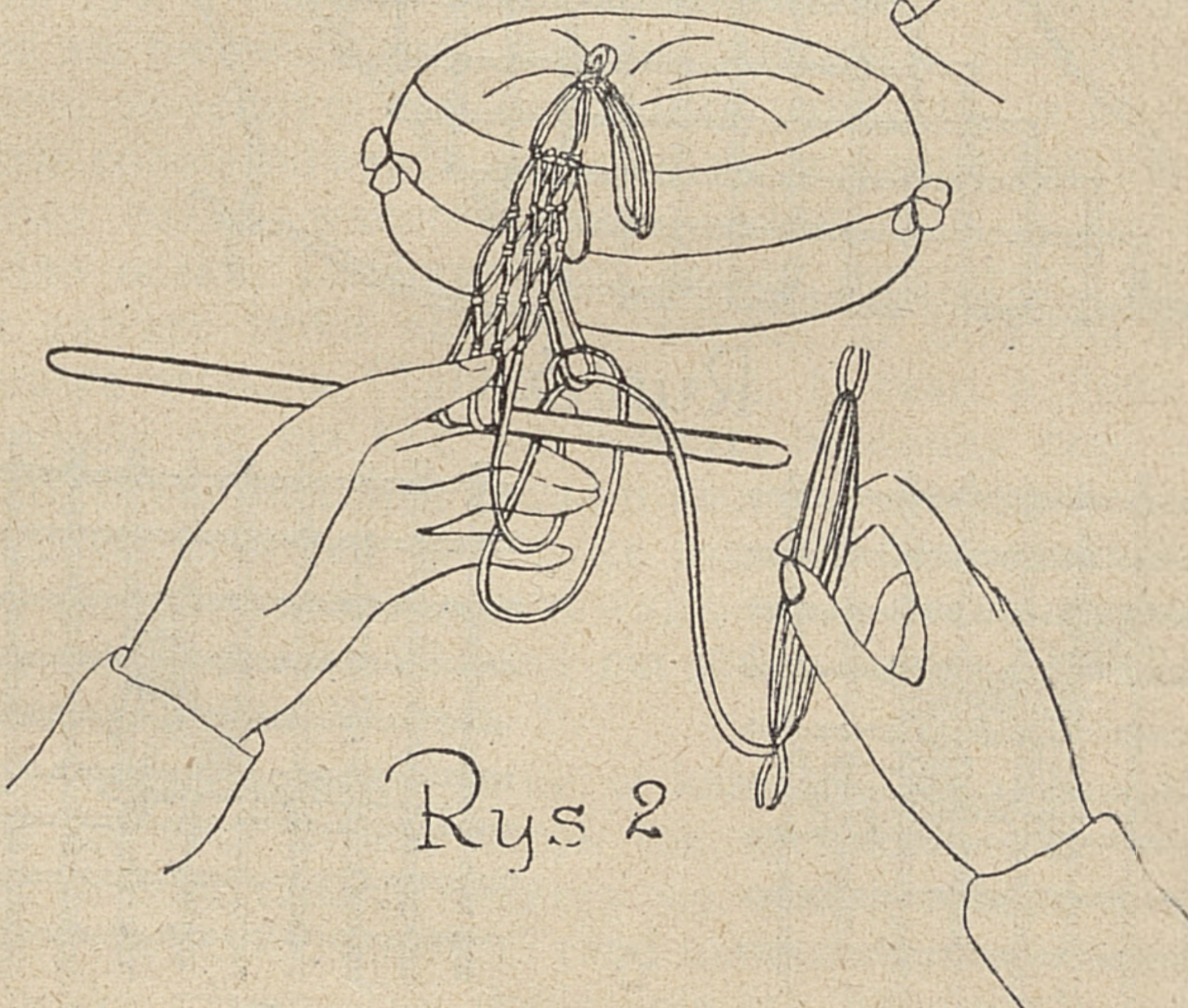
Pierwsze ułożenie ręki: wałeczek chwyta się kciukiem i palcem wskazującym lewej ręki; trzeci, czwarty i piąty palec trzyma się wyprostowane. Nić (przywiązaną do kluczki pierwotnej) kładzie się na wałeczek i wewnętrzną stronę 2-go, 3-go i 4-go palca, owija po zewnętrznej stronie tych palców wgórę i przytrzymuje kciukiem (Tablica IX, rys. 3).

Drugie i trzecie ułożenie rąk: następnie, puściwszy nić swobodnie poza wałeczek i palce, przesuwa się iglicę przez kluczkę utworzoną na palcach jednak poza wałeczkiem (Tablica X, rys. 1), i przez kluczkę pierwotną,

Tablica X.

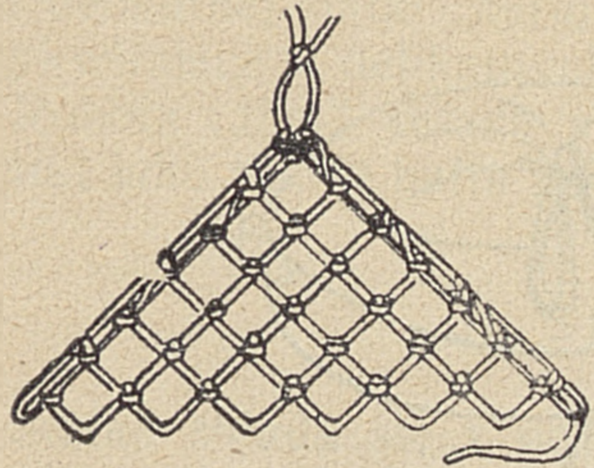


Rys.1.

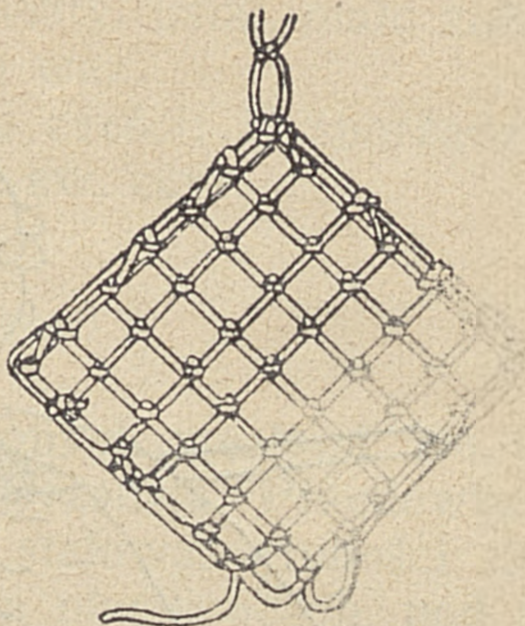


Rys 2

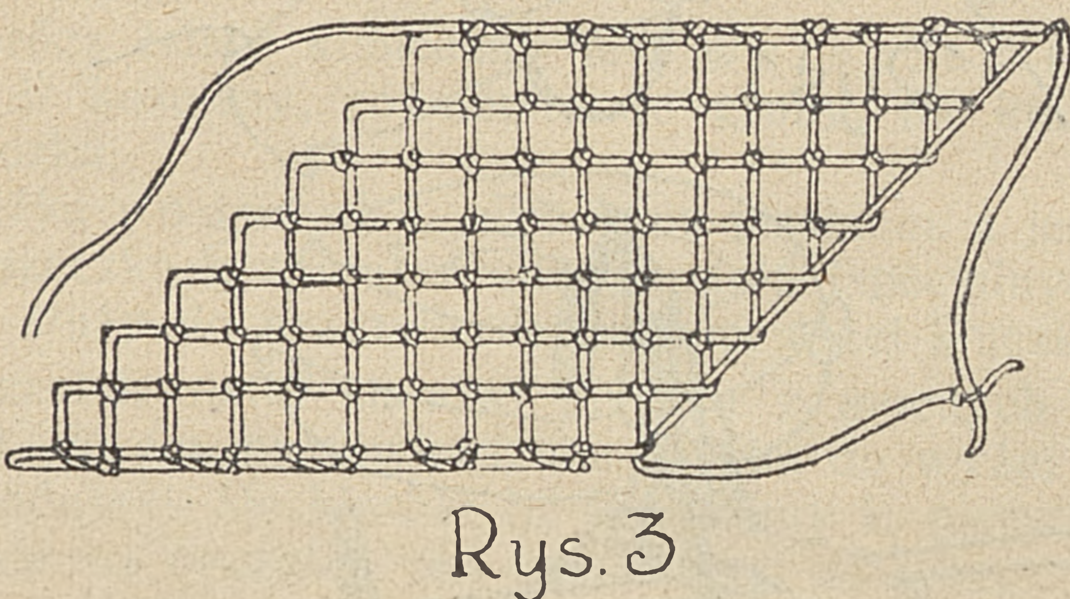
Tablica XI.



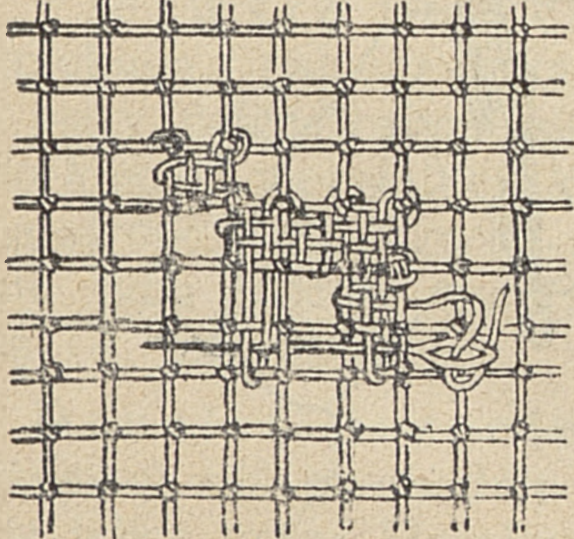
Rys 1.



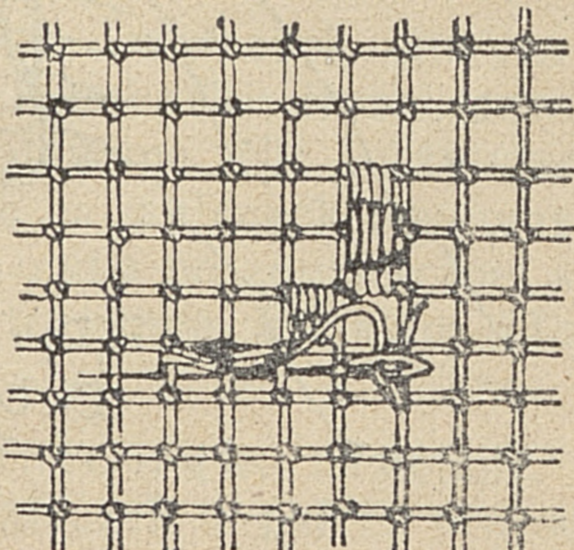
Rys 2.



Rys. 3



Rys. 4



Rys 5.

tworząc w ten sposób kluczkę drugą, którą przytrzymuje się małym palcem lewej ręki.

Teraz następuje najtrudniejsza część „oczka“: nić wychodzącą z iglicy przyciąga się powoli, uwalniając kolejno nić z pod kciuka (Tablica X, rys. 2), następnie z palców 2-go, 3-go i 4-go, wreszcie na samym końcu z palca 5-go (małego). Powstaje w ten sposób węzeł, który przyciąga się mocno przy samym wałeczku, od górnej jego strony. Następne oczka robi się tak samo. Skończywszy rząd oczek (w dowolnej ilości) wyciąga się z nich wałeczek, obraca robotę i kładzie wałeczek pod nitkę tuż przy pierwszem oczku poprzedniego rzędu, trzymając go znów w powietrzu kciukiem i palcem wskazującym. Drugi rząd różni się od pierwszego tylko tem, że iglicę przesuwa się kolejno przez oczka pierwszego rzędu, zamiast przez kluczkę „pierwotną“. Po każdorazowem przerobieniu rzędu, wyciąga się wałeczek z oczek i robotę odwraca. Tak powstaje t. zw. ukośna siatka.

Chcąc otrzymać siatkę w kształcie kwadratu (Tablica XI, rys. 1 i 2) lub prostokąta o oczkach pionowych, zaczyna się pierwszy rząd dwoma oczkami o 3 węzłach. Przy każdym następnym rzędzie (należy pamiętać, że po każdym rzędzie robotę odwraca się) robi się w każde ostatnie oczko po dwa oczka, wskutek czego każdy rząd powiększa się o jedno oczko. Dobieranie to należy powtarzać tak długo (lecz zawsze tylko na końcu rzędu), aż otrzyma się jako podstawę trójkąta (Tablica XI, rys. 1) rząd o ilości oczek o 1 więcej niż ma być we wzorze. Następny rząd robi się gładko, bez dobierania, poczem zaczyna się ujmować. Uskutecznia się to w ten sposób, że ostatnie dwa oczka każdego rzędu robi się razem (przesuwając iglicę przez dwa ostatnie oczka odrazu): Ostatni rząd ma jedno oczko i kwadrat jest zupełny (Tablica XI, rys. 2).

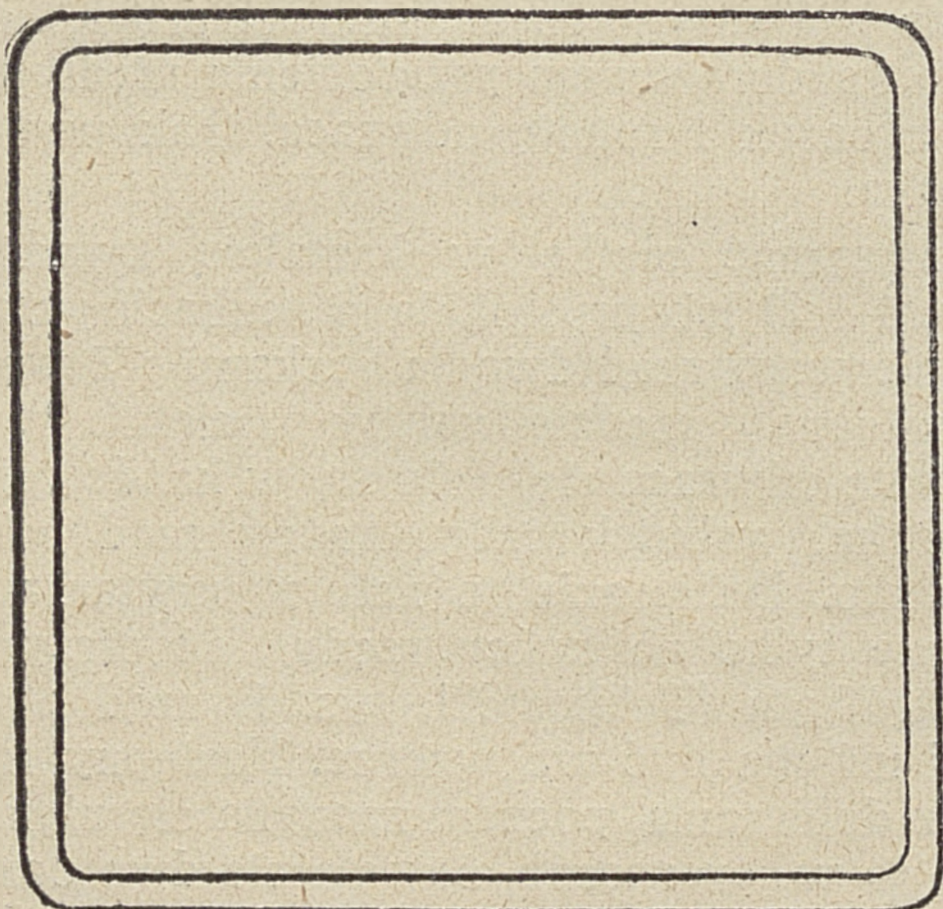
Rys. 3 przedstawia siatkę w kształcie pasa. Pas taki zaczyna się taką ilością oczek jak szerokość jego wymaga. W co drugim rzędzie dobiera się oczko, robiąc w ostatnie oczko dwa oczka, co drugi rząd ujmuje się, zrabiając 2 ostatnie oczka razem. Tak dobieranie jak ujmowanie uskutecznia się zawsze tylko na końcu rzędu, nigdy z początku.

Chcąc mieć początek pasa prostokątny, zaczyna się go jak kwadrat, dwoma oczkami i dobiera bez ujmowania do żądanej szerokości.

2. Przygotowanie do haftu

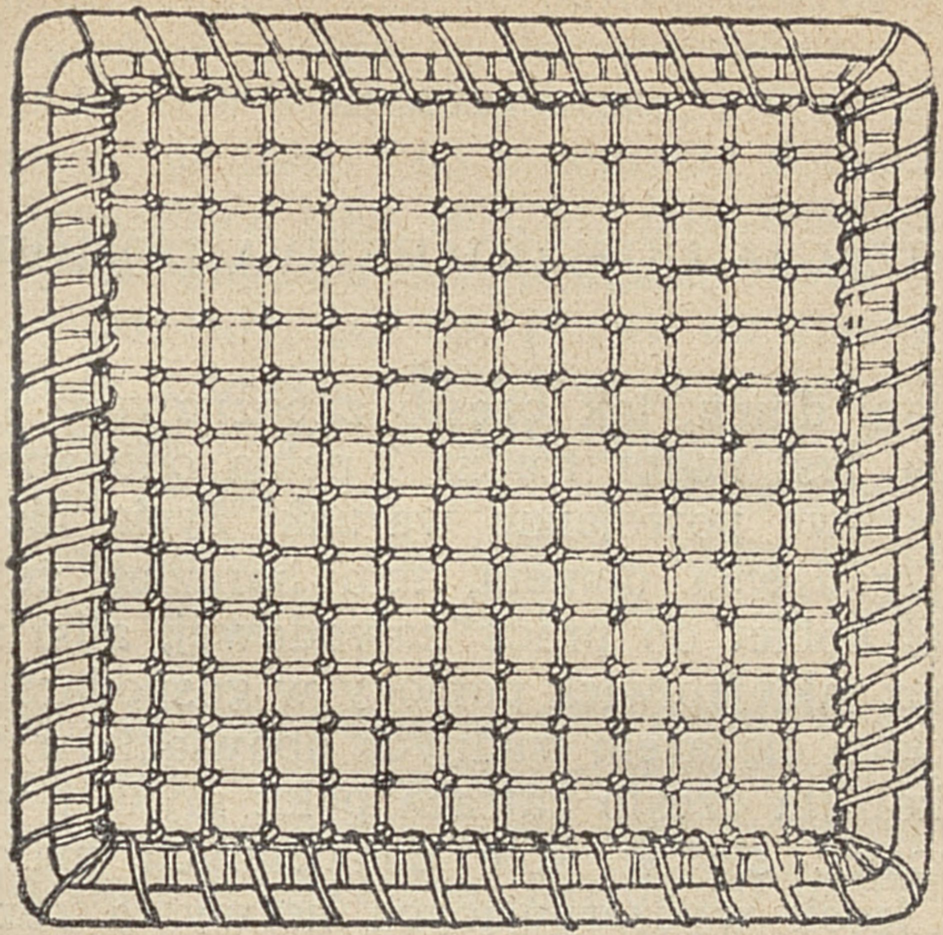
Jako narzędzie posiłkowe konieczna jest rama (można zamówić u ślusarza) z grubego stalowego drutu, kwadratowa lub prostokątna (należy przestrzegać dokładność ką-

Tablica XII.



Rys. 1

tów prostych) (Tablica XII, rys. 1). Siatkę wszywa się w ramę (Tablica XII, rys. 2) mocnemi nićmi, chwytając raz każde oczko kolejno, przyczem oczka narożne przytwierdza się trzema ściegami. W miarę roboty zacieśniają się



Rys. 2.

oczka siatki, tak, że po jakimś czasie należy nić przytwierdzającą siatkę do ramy mocniej przyciągnąć, by siatka była zawsze naprężona.

3. Cerowanie (Tablica XI)

Poczynając od lewego górnego naroża oczka, do którego przywiązuje się nitkę, ceruje się siatkę jak na rys. 4 (cera pończoszkowa). Nitkę przewleka się (zależnie od wzoru) przez jedno lub więcej oczek odrazu, przesuwając igłę naprzemian pod i nad nitkę. Drugi rodzaj haftu ilustruje rys. 5, przyczem nitki przeciąga się tylko tam i zpowrotem, aż wypełnią dane oczko.

Zastosowanie filet: koronki do komży, alby, obrusów kościelnych, motywy do firanek, bielizny osobistej, wstawki do pościeli i tp.

ORGANIZACJA GOSPODARSTWA DOMOWEGO

Rola pani domu, tak często zapoznawana i lekceważona, jest nader trudna i pełna odpowiedzialności. Uciążliwe powojenne warunki życia nie ułatwiają bynajmniej rządzenia domem, tem bardziej, że zmuszają coraz więcej kobiet do pracy zawodowej, albo do obchodzenia się bez jakiejkolwiek pomocy w gospodarstwie.

Przygnieciona ciężarem trudnych obowiązków i odpowiedzialności, kobieta często zatraca polot myśli i wyższe dążenia, obracając się w kole codziennych małostkowych i drobnych trosk wyczerpujących nerwy, a rozstrzygających o równowadze tak skomplikowanego organizmu, jakim jest gospodarstwo domowe.

Warto zastanowić się, w jaki sposób zapobiec temu, ażeby pani domu nie stała się zczasem jednostronną, zapracowaną niewolnicą swych obowiązków, albo żeby dom nie ucierpiał, gdy pani, chcąc zachować swą indywidualność, za mało się nim zajmuje. Oczywiście, nie zamierzamy zająć się tutaj temi wyróżnionemi przez los kobietami, które nie potrzebują zajmować się gospodarstwem osobiście, lecz tylko kierują rzeszą wyszkolonej służby.

Dobrze rządzone domy, o zrównoważonym budżecie, stanowią o powodzeniu całego państwa; dlatego nie należy lekceważyć takiej napozór nieznacznej kwestji.

Jeśli pani domu może wybrać między pracą zawodową, a pracą domową bez pomocy służącej, powinna zastanowić się, co jest korzystniejsze. Kobieta, mająca dzieci, wybierze najczęściej pracę w domu. Zważywszy, ile kosztuje utrzymanie i płaca samodzielnej służącej, ile w czasie nieobecności pani może powstać szkód, którym sama mogłaby zapobiec, ile wreszcie mogłaby oszczędzić, wykonywając różne rzeczy własnoręcznie, przekona się, że praca zawodowa, często bardzo licho płacona, nie przyniosłaby nadwyżki.

Prócz tego dzieci, powierzone opiece obcych ludzi, poniosłyby niezawodnie szkody na duszy i ciele.

Natomiast kobieta bezdzietna i taka, która nie ma zamiłowania do pracy w domu i do przemysłu domowego, wybierze pracę zawodową jako bardziej odpowiadającą jej indywidualności. W obydwu przypadkach mogą rozstrzygnąć jeszcze inne względy, jak np. prawo do emerytury i t. p., których jednak z braku miejsca tu omawiać nie będziemy.

Zorganizowanie domu kobiety pracującej zawodowo jest dość trudnym problemem. Nie uwzględniamy tutaj możliwości wiktowania się poza domem, które znacznie ułatwiłoby sprawę i pozwoliło radzić sobie ze służącą dochodzącą.

Ażeby zapobiec nerwowemu pośpiechowi w rannych godzinach przed wyjściem do pracy, pani domu powinna wydać plan pracy i rozporządzenia dnia poprzedniego. O ile służąca jest dość inteligentna, można jej nawet zanotować kilka słów, żeby nie mogła wymawiać się zapomnieniem. W każdej kuchni powinna wogóle wisieć tabliczka do notowania zajęć na dzień następny.

Jeśli pani lubi wcześnie wstawać, może w rannych godzinach przypomnieć wydane polecenia i dozorować jakiejś ważniejszej pracy, albo gdy starczy czasu, wyjść ze służącą na zakupno bodaj raz albo dwa razy na tydzień, żeby zapoznać się z cenami i artykułami sezonowemi.

Służąca powinna być przyuczona do umiejętnego rozkładania pracy. W celu uniknięcia „wielkiego sprzątania“, powinna kolejno sprzątać dokładnie po jednej ubikacji z myciem okien, drzwi i t. p. Jeśli pierze samodzielnie, nie należy gromadzić za dużo bielizny, tylko prać co tygodnia albo raz na dwa tygodnie. W ten sposób może pracę tę skończyć, zanim pani wróci do domu.

Służąca pozbawiona dozoru lubi przed południem tracić czas na rozmowy z sąsiadkami i na powolne spełnianie obowiązków. Dla zachęcenia jej do prędkiego a dokładnego wykonywania pracy, można jej przeznaczyć którąś godzinę w dniu do swobodnego rozporządzenia, jeśli wszystko znaleziono w porządku.

Gdy pani przyjdzie znużona do domu, nie powinna przed spożyciem obiadu i odpoczęciem zajmować się sprawami

domu. Dlatego musi przyzwyczaić służącą, żeby wszystkie skargi, sprawozdania itp. odłożyła na godzinę przeznaczoną na konferencję gospodarczą. Wtedy może także złożyć rachunki i odebrać rozkazy na następny dzień, a pani może doglądnąć, czy jej polecenia wykonano. Resztę dnia powinna pani domu spędzić spokojnie, odpowiednio do swych upodobań. Jeśli sama wykonywa naprawki przy garderobie i bieliźnie, niech uczyni to po południu lub wieczorem, żeby w rannych godzinach nie denerwować się i nie zrobić tego nieporządnie. W niedziele i święta będzie mogła poświęcić przedpołudnie sprawom gospodarskim i pouczyć w niejednem służącą. Gdy rozdzieli w ten sposób pracę, będzie miała codziennie kilka godzin dla siebie.

Czasem kobieta pracująca zawodowo nie może sobie pozwolić na utrzymanie służącej. Wtedy musi bardzo wcześnie wstawać, by móc posprzątać i przygotować niejedno do obiadu przed wyjściem do pracy. Wróciwszy, zgotuje skromny posiłek, a odpocząwszy trochę, dokończy rannego sprzątania i wyporządzi garderobę. Dopiero wieczorne godziny może obrócić na rozrywki i lekturę.

Kobieta pracująca w domu również musi sobie ułożyć plan zajęć.

Gdy sporządzi śniadanie, a mąż i dzieci odejdą do swych zajęć, posprząta mieszkanie, zaczynając od pokoju jadalnego, a kończąc na sypialnym, który trzeba wietrzyć najdłużej. Z mieszkania powinna usunąć wszystko co jest zbyteczne i bezwartościowe, a zostawić tylko rzeczy niezbędne i cenne przedmioty. Dla uniknięcia t. zw. głównych porządków, posprząta gruntownie po jednej ubikacji dziennie, inne tylko zamiecie i odkurzy. Jeśli może sobie na to pozwolić, sprawi sobie odkurzacz — który tak znacznie ułatwia pracę — i przyrząd do froterowania. Kurz można prędko i łatwo zetrzeć z mebli ręczną szczoteczką, jak do śmieci, której nie należy do niczego innego używać. Dla ochrony sukni i dla estetycznego wyglądu włoży duży fartuch w formie sukni i czepeczek, a rękawiczki — dla zaszanowania rąk. Skoro ukończy sprzątanie np. o 10 godzinie, może godzinę albo i więcej, zależnie od pory obiadu, poświęcić innemu zajęciu lub wyjściu na zakupno. Gotowanie powinna sobie

ułatwiać, przyrządzając skromne potrawy, które są najzdrowsze, i oszczędne, a podane ponętnie, smakują doskonale.

Technika zaopatrzyła nas w różne przyrządy ułatwiające pracę, jak różne maszynki do krajania i tarcia, maszynkę do mielenia maku, do ubijania śmietany i jaj, do mięsienia ciasta, do maglowania itp. Wydatek na nie opłaci się stokrotnie, gdyż oszczędzi dużo godzin pracy.

Podczas gotowania, gdy i tak musi przebywać w kuchni, może pomyć naczynie, żeby po obiedzie móc czem prędzej porzucić kuchnię i zająć się czemś innem. W myciu może sobie ulżyć, używając różnych szczoteczek i drucianych gąbek, a także namaczając poprzednio naczynie. Wycierania można sobie oszczędzić, płócząc naczynie w gorącej wodzie i wstawiając do miski dla ocieknięcia.

O ile jest to możliwe, powinni wszyscy domownicy zasiadać o jednej porze do posiłków. Dzieci zawczasu należy przyzwyczaić do sprzątania po sobie i do drobnych usług, jak nakrycie do stołu, posprzątanie po obiedzie itp. Gospodyni jest zwykle po obiedzie zmęczona i powinna przez dłuższy czas odpocząć. Dlatego niechaj umyje tylko sztućce, a resztę naczynia następnego dnia podczas gotowania.

Wieczorny posiłek może w lecie być zimny. Przy obiedzie można przygotować wieczerzę i wstawić do rury, a wieczorem zagrzać na gazie albo na małym ogniu. Tak samo może być woda przegotowana na herbatę w samowarze czy czajniku.

Godziny popołudniowe można tak podzielić, żeby użyć koniecznej przechadzki i zająć się szyciem, naprawianiem, lekcjami dzieci itp.

Wieczorne godziny powinny już koniecznie należeć do pani domu. Po dniu pełnym znoju musi umysł odpocząć przy rozrywce odpowiadającej jej osobistości. Niedziele i święta powinny być poświęcone odpoczynkowi; dlatego sprzątanie ograniczyć należy do najkonieczniejszych potrzeb. Matki i żony najczęściej psują swoje otoczenie przez zbytnią usłużność. Ciągłe żądania i wołania przerywają jej pracę, która staje się przez to niewydatną. Dlatego dobrze uczynią, powściągając swoją wrodzoną usłużność, a przyzwyczajając otoczenie — zresztą dla jego własnego

dobra — do służenia sobie samemu i do poszanowania cudzej pracy.

Oszczędna gospodyni będzie zawsze kupowała najsolidniejszy towar w najlepszym gatunku, przez co oszczędzi dużo czasu na naprawkach. Lichy materjał jest najdroższy gdyż trud na uszycie jest zmarnowany, a liche sprzęty prędzej się niszczą i wymagają częstych naprawek.

W dobrze zorganizowanym domu istnieje ład i rządność w rachunkach, a wydatki nigdy nie przekraczają dochodów, przeciwnie, zawsze istnieją jakieś oszczędności, które pokryją nieprzewidziane wydatki.

Oto mądre i praktyczne rady, które otrzymała pewna młoda pani domu: mieszkaj ponad stan, ubieraj się podług stanu, a jedz poniżej stanu, wtedy będziesz zdrowa, a nie zaznasz braku.

FARBOWANIE W DOMU

Chęć oszczędzania zmusza pracowite kobiety do nabywania umiejętności w wielu dziedzinach, w jakich mało się dotąd ćwiczyły, jakkolwiek w dawnych czasach całą odzież wykonywano w domu. Każda niewiasta znała dawniej różne sposoby farbowania i umiała sporządzać farby z roślin i minerałów.

Dziś farbowanie przedstawia znacznie mniej trudności, gdyż farby można otrzymać gotowe, w najrozmaitszych odcieniach. Przy uważnem i dokładnem zastosowaniu przepisów uzyskuje się bardzo piękne wyniki i można obejść się bez farbiarni, co jest szczególnie pożądane, gdy się mieszka na prowincji i gdy chce się uniknąć długiego czekania.

Do farbowania nie potrzeba żadnych specjalnych przyrządów. Wystarczy duży kociołek, pojemności 10—20 l, najlepiej polewany albo cynkowy.

Farby kupuje się według tabeli z próbkami. W handlu istnieją farby do farbowania w zimnym rozczynie i do gotowania. Te ostatnie nadają się najlepiej do

trwałego farbowania, tem bardziej, że można niemi farbować wszystkie tkaniny. Zimne farby nadają się szczególnie do batikowania, do farbowania delikatniejszych tkanin, które nie znoszą gotowania, i do farbowania rafji, słomki i wzorów do robót ręcznych.

Przez umiejętne mieszanie farb można uzyskać każdy kolor i odcień.

Przed farbowaniem należy tkaniny zważyć i należycie przygotować.

Gotową odzież, jakoteż poprutą materję, należy wyprać i usunąć wszystkie plamy, oraz nitki. Ponieważ bawełna inaczej przyjmuje farbę jak wełna i jedwab, nie można tych tkanin razem farbować, lecz każdą zosobna. Jedwab przyjmuje farbę najłatwiej, następnie wełna, trudniej bawełna i tkaniny lniane.

Wszelkie taśmy, guziki i inne ozdoby najlepiej usunąć i farbować osobno związane, albo sfastrygowane. Jedynie czarne taśmy itp. pozostaną w każdej farbie czarne i nie trzeba ich odpruwać.

Gdy chcemy farbować odzież niepoprutą, musimy być przygotowani na to, że podszewka i nici inaczej przyjmą farbę, jak wierzch, co jednakowoż czasem nie szkodzi.

Sprute części poleca się sfastrygować w duży płat, żeby się nie gubiły i podczas gotowania nie przywarły do dna.

Najkorzystniej jest wygotować materje w miękkiej wodzie z dodatkiem mydła i sody. W ten sposób zejdzie część pierwotnego zafarbowania, a spłowiałe materje wyrównają się nieco, przez co nowe ufarbowanie będzie bardziej jednostajne. Po dokładnem wypraniu konieczne jest bardzo sumienne wypłókanie najpierw w ciepłej a następnie zimnej wodzie kilkakrotnie zmienianej. Gdy tylko trochę mydła pozostanie w tkaninie, ufarbowanie będzie plamiste i nierówne. Po wypłókaniu należy rozwiesić tkaniny, by ściekły, ale b e z w y ż y m a n i a.

Materje spłowiałe najlepiej farbować na pierwotny kolor, albo na trochę ciemniejszy odcień. Białą materję można farbować na każdy najdelikatniejszy kolor. Natomiast ciemniejszych tkanin nie można ufarbować na jasny kolor, tylko na inny tego samego odcienia, albo na ciemniejszy. Istnieją

wprawdzie chemikalja do ściągania farby, ale dla zastosowania ich potrzeba pewnej wprawy i prawie wszystkie nadwerężają włókna.

Na torebkach z farbą są wymienione kolory, jakie powstają przy farbowaniu różnemi farbami. Najlepiej jednak zrobić wpierw próbę na kawałku materji, którą mamy farbować.

Rozczyn farby należy przygotować dokładnie podług przepisu umieszczonego na paczce. Przy rozpuszczaniu należy pamiętać, że prawie każdy odcień składa się z kryształków różnych kolorów; jeśli więc nie będą dokładnie rozpuszczone, powstaną na materji plamy. Zawartość paczki należy więc zupełnie rozpuścić w 1 l gorącej wody i potem dopiero wlać do kociołka z resztą wody, z którą należy ją dobrze wymieszać. Na paczkach jest zaznaczone, ile wody i farby potrzeba na pewną wagę suchej materji. Woda deszczowa, jako miękka, jest najbardziej odpowiednia do farbowania. Do rozczynu należy dodać *soli* albo *octu* według przepisu. Do farbowania wełny poleca się wogóle dodać prócz soli trochę octu, gdyż zapobiega to skurczeniu i zmięciu, których później nie możnaby wygładzić ani wyprasować.

Przed farbowaniem powinno się zrobić próbę na małym kawałku tej samej materji, którą zamierzamy farbować, przemoczywszy go przedtem dokładnie. Należy pamiętać, jak długo próbka gotuje się w farbie, żeby resztę materji równie długo gotować. Po wyjęciu próbki należy ją wypłókać i prędko wysuszyć w pobliżu pieca, albo pod żelazkiem. Jeśli kolor nie odpowiada, można go zmienić przez ostrożne dodanie odrobiny innej farby. Zbyt jaskrawy kolor można złagodzić dodatkiem farby czarnej albo popielatej; inne odcienie można uzyskać przez mieszanie farb podług tabeli, umieszczonej na paczce. Gdy farba jest odpowiednia, należy włożyć ściekniętę, ale jeszcze zupełnie mokre, *niewykręcone* tkaniny do gorącej farby, której powinno być tyle, żeby tkaniny były dobrze pokryte. Im więcej wody, tem równiej wypadnie farbowanie. Gdy podczas gotowania wody ubywa, trzeba dolewać co pewien czas gorącej wody. Tkaniny należy gotować, mieszając bezustannie,

żeby były zawsze pokryte farbą. Im dłużej się gotuje, tem ciemniejszy będzie odcień zafarbowania. Nie należy jednak dłużej gotować, jak przez trzy kwadranse. Dla jedwabiu i innych delikatniejszych tkanin wystarczy znacznie krótszy czas gotowania. Chcąc uzyskać bardzo jasny odcień, wystarczy zanurzyć tkaniny przez kilka minut w kipiącym rozczynie farby. Jeśli zależy nam na trwałem i mocnem zafarbowaniu, powinniśmy odstawić kociołek po gotowaniu z ognia i pozostawić ufarbowane tkaniny w farbie do ostygnięcia, bacząc żeby były przez cały czas nią pokryte. Gdy jednak spostrzeżemy, że kolor jest trochę za ciemny, wyjmujemy materję natychmiast z farby i pierzemy ją w gorącej wodzie z sodą i mydłem.

Należy szczególnie uważać, żeby czarnych tkanin nie gotować za długo, przez co mogłyby otrzymać odcień bronzowy, zielony albo fioletowy.

Gdy tkaniny ostygną w farbie, należy je wyjąć i płókać tak długo, aż woda pozostanie zupełnie czysta. Zawsze należy pamiętać, żeby unikać wyżymania i wyciskania. Po wypłókaniu dobrze jest rozwiesić niepoprutą odzież na wieszakach, żeby nie straciła fasonu. Popróte albo nowe materje najlepiej rozwiesić na dwóch drągach ułożonych na poręczach krzeseł, zważając żeby nie wyciągały się nakukos.

Odzież trykotową suszy się leżąco, inaczej wyciągnęłaby się zanadto i straciła fason.

Suszyć należy w cieniu, w miejscu przewiewnem, a prasować jeszcze wilgotne tkaniny. Gdyby wyschły zupełnie, fałdy i zmięcia nie dałyby się już nigdy wyprasować, nawet po ponownem przemoczeniu, zwłaszcza w tkaninach wełnianych.

Wiotkie materje powinny otrzymać apreturę. W tym celu zanurza się je po wypłókaniu w letniej wodzie, do której należy dodać trochę rozpuszczonej żelatyny, licząc 1 płatek na 1 l wody. Woda, w której gotowano ziemniaki, bez soli oczywiście, daje również dobrą apreturę. Tęższe i ciemniejsze materje można apretować karukiem, gumą albo odwarem mchu irlandzkiego (nie zamienić z mchem islandz-

kim). Apreturę należy przecedzić przez płatek, żeby się równo udzieliła materji.

W handlu można nabyć farby, któremi odświeża się gotową odzież zapomocą s z c z o t k i. Farbowanie takie wymaga dużej zręczności, przytem trudno znaleźć odpowiedni odcień, który nie powinien się różnić od danego ubrania. Najlepiej udają się ciemne kolory, jak granatowy, ciemnopopielaty, zielony, bronzowy i czarny.

Temi farbami można farbować f i l c o w e k a p e l u s z e, gdy chodzi o zachowanie ich fasonu. Główki należy wypchać mocno papierem, a rondko ułożyć stosownie do fasonu na stole albo zawiesić na jakimś sztelarzu. Gdy wyschnie, przeprasować przez mokry płatek, nie wyjmując papieru z główki.

K a p e l u s z e s ł o m k o w e farbuje się lakierem spirytusowym, do którego dolewa się 5 części albo i więcej spirytusu skażonego, jeśli chodzi o matowe zafarbowanie. Lakieru takiego można dostać w różnych kolorach.

Do przefarbowania s k ó r y służy specjalna farba, którą można jasne skóry farbować na każdy kolor, zaś ciemne odświeżyć tym samym kolorem. Należy żądać wyraźnie f a r b y do skóry i zważać, żeby nie otrzymać poprostu płynu zafarbowanego do nadania połysku. Płyn taki nie farbuje nawskróś i schodzi szybko. Najlepszą farbą do skóry, u nas znaną, jest „Vilbra". Skórę, rzecz jasna, farbuje się jedynie na zimno.

W ł ó c z k i, n i c i, b a w e ł n y i j e d w a b i e do haftu można farbować w zimnej i gorącej farbie. Należy je związać w motki i poruszać w farbie. Po wypłókaniu suszyć na drągach, przesuwając co pewien czas. Po wysuszeniu potrzepać dla rozplątania; dadzą się wówczas z łatwością zwinąć.

Naczynia i ręce łatwo oczyścić po ukończonem farbowaniu. Farby zimne i gorące zmywa się wodą z sodą i mydłem, farby spirytusowe — spirytusem skażonym. Jeśli zafarbowanie paznogci nie chce ustąpić, należy je zwilżyć sokiem cytrynowym albo wodą utlenioną.

NAJŁATWIEJSZY SPOSÓB MALOWANIA MATERJAŁÓW

Batikowanie jest sztuką, którą można wykonywać jedynie przy dużej zręczności i zdolności do rysunków. Niniejszy artykuł, przeznaczony dla pań, które nie mają czasu ćwiczyć się w tej pięknej robocie artystycznej, wskaże jedynie, jak można odświeżyć i ozdobić różne tkaniny najprostszym sposobem, t. zw. m a z a n i e m, c h l a p a n i e m i t e c h n i k ą z a w i j a n i a.

Sposobami temi można ozdobić chusteczki, szale, poduszki, abażury, zasłony, a także spłowiałe i nawet pocerowane tkaniny, które dadzą się po takiem przeobrażeniu na nowo użyć do celów dekoracyjnych. Chlapanie i mazanie można wykonać gorącemi farbami; technikę zwijania również, jeśli nie używamy do niej woskowanego sznurka.

Wszystkie wymienione sposoby można zastosować do materjałów jasnych i średnich odcieni. Tkaniny muszą być zawsze starannie wyprane, wypłókane i mokre.

Do m a z a n i a jakoteż c h l a p a n i a należy mokrą tkaninę rozciągnąć równo na gładkiej powierzchni, najlepiej ceratowej, albo na linoleum. Dobra jest także polerowana płyta kamienna, z której jednak potem trudno usunąć farbę.

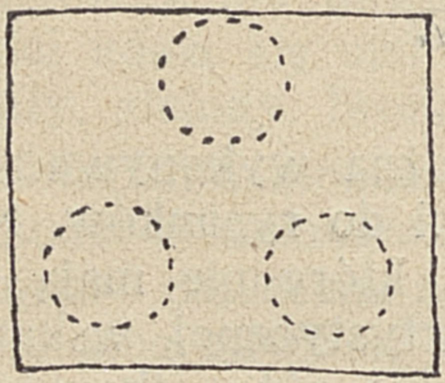
Na wyciągniętej materji można ołówkiem zaznaczyć wzór.

Duży pendzel należy zamaczać w farbie i pociągnąć nią prędko wzory jednym kolorem. Drugi pendzel, albo ten sam starannie wymyty zamoczyć w drugiej farbie, pomazać inne części wzoru i t. d. Należy pracować prędko, żeby tkanina nie wyschła a farby zlewały się z sobą, przez co powstają bardzo piękne efekty.

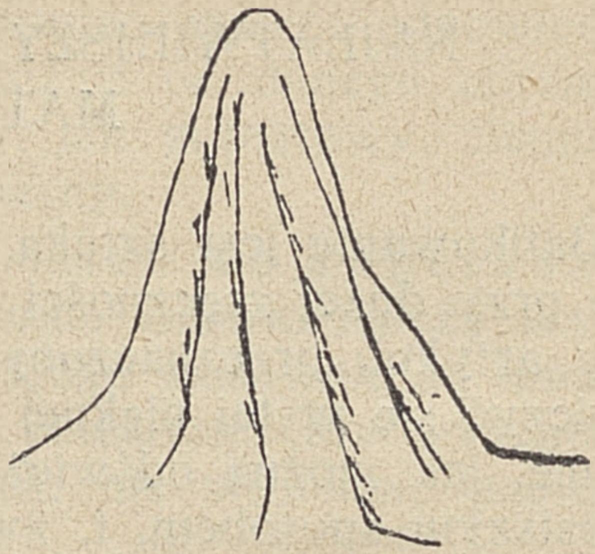
Chlapanie polega na tem, że nie pociąga się wzoru pendzlem, tylko chlapie różne farby podług jakiegoś wzoru, którego lepiej nie znaczyć ołówkiem, gdyż podczas chlapa-

nia powstają często niespodziane wyniki, zaś asymetrja należy właśnie do zalet tej techniki.

Paski, gwiazdy, zygzaki i inne linje tła można uzyskać, składając tkaninę różnemi sposobami i mażąc tylko powstałe



Rys. 1.



Rys. 2.

przez to brzegi. Na takiem tle można jeszcze po rozciągnięciu materji wykonać jakiś wzór. Do wykonania tych sposobów potrzeba pewnej ręki, poczucia linji i barw.



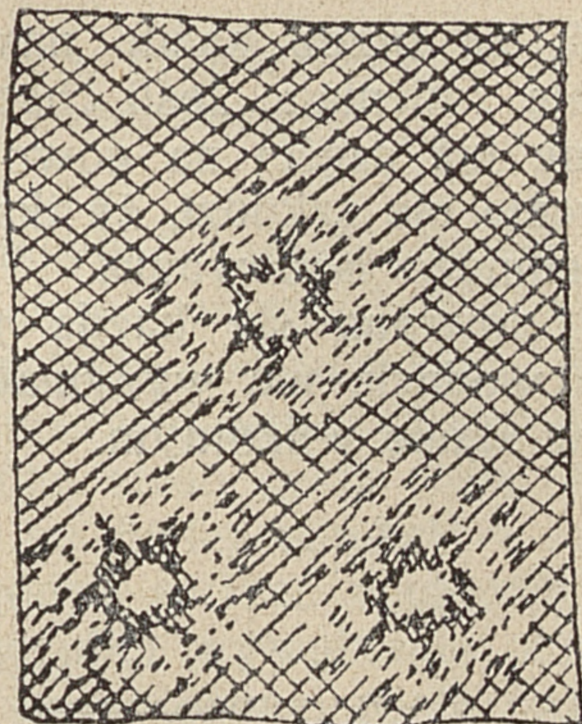
Rys. 3.



Rys. 4.

Łatwiejsza choć mozolniejsza jest technika zawijania. Na tkaninie należy zafastrygować albo zaznaczyć ołówkiem jedno lub więcej kół, zależnie od jej rozmiarów (rys. 1). Koła te można rozmieścić symetrycznie albo nie; ładnie wyglądają także koła różnej wielkości.

Środek każdego koła uchwycić dwoma palcami (rys. 2) i skręcić materję w stożek (rys. 3) aż do zaznaczonej granicy kółka, następnie obwiązać ten stożek mocno sznurkiem woskowanym (rys. 4). Środek kółka można pozostawić wolny. Jeśli kółko nie ma być czyste, należy sznurek obwiązać niezupełnie ściśle. Po obwiązaniu wszystkich kółek należy zanurzyć tkaninę w farbie najjaśniejszej, jeśli zamierzamy farbować w kilku farbach. Wogóle poleca się



Rys. 5. — Batik zawijany.

używać jasnych kolorów, gdyż przy kilkakrotnem farbowaniu kolory ciemnieją. Chcąc uzyskać różnobarwne gwiazdy, należy wyjąć tkaninę z pierwszej kąpieli, odwiązać część sznurka u dołu stożków skręconej materji i zamoczyć tkaninę w innej farbie, następnie odwiązać znowu część sznurka i t. d., aż całe kółka są zafarbowane. Rzecz jasna, że kółka nie będą równe, tylko wskutek zlewania się farb i zwinięcia materji znaczone na wzór nierównych gwiazd. Początkujący nie powinni zrazu farbować dużych przedmiotów i w wielu kolorach, dopóki nie nabędą trochę wprawy. Jeśli tło ma pozostać jasne, można zanurzać w farbie jedynie obwiązane stożki. Grubszy sznurek niekoniecznie musi być woskowany, wystarczy zawiązać go bardzo mocno. Tak obwiązane tkaniny można nawet gotować przez krótką chwilę w farbie.

Popprutą i spłowiałą włóczkę można tym sposobem ufarbować w cienie i na nowo użyć. Po spruciu należy ją zwinąć w motki, wygotować w wodzie z sodą, wypłókać i wysuszyć. Każdy motek obwiązać mocno i ciasno dość grubym sznurkiem do połowy, jeśli zamierzamy farbować na 2 cienie, albo do $^2/_3$, $^3/_4$ części zależnie od ilości kolorów, jakich zamierzamy użyć. Po ufarbowaniu w jednej farbie odwiązać odpowiednią część sznurka i farbować w następnej farbie i t. d.

Należy pamiętać, że przez każde następne farbowanie poprzednie farby się zmieniają. Jeśli chcemy tego uniknąć, musimy ufarbowane już części na nowo obwiązać sznurkiem, przyczem wcale nie szkodzi, że tkanina lub włóczka są mokre z poprzedniego farbowania.

Po ufarbowaniu powinno się każdą tkaninę dokładnie wypłókać w kilku wodach, nie wyżymać, rozwiesić i następnie prasować w stanie wilgotnym.

Inż. JÓZEF LIPSZ

CZYSZCZENIE PLAM

II.*

PLAMY NA PAPIERZE **

Wchodzą tu w grę przedewszystkiem plamy od tłuszczu i brudu, tudzież od atramentu.

I. Plamy tłuste.

1) Na bibułę nasypać sproszkowanej kredy, położyć na niej splamione miejsce, posypać kredą na kilka mm, nałożyć bibuły; ścisnąć na kilka godzin między deseczkami pod ciężarem, lub przeprasować niezbyt gorącem żelazkiem.

2) Obłożyć z obu stron gęstą pastą magnezjową i bibułami (używać tylko białej bibuły!) i przycisnąć. Po obeschnięciu (1—2 godz.) zetrzeć magnezję.

Uwaga: W wypadku wywabiania plam z książek nie zamykać książki na obłożonej pastą kartce, plama bowiem może przejść na sąsiednie kartki, z powodu wyciekania benzyny; należy przeto rozgiąć książkę naodwrót i przycisnąć splamioną kartkę oddzielnie.

3) Wytrzeć plamę kawałkiem waty, zamoczonym w ciepłej terpentynie i wyciśniętym od nadmiaru płynu; potem wytrzeć mocnym spirytusem, wreszcie przeprasować żelazkiem przez bibułę.

II. Plamy od brudu.

Plamy od brudu (ściemniałe miejsca) usuwa się przez powleczenie zapomocą pendzla roztworem wody utlenionej (około 3%).

III. Plamy od atramentu.

1) Stężony roztwór fosforanu sodowego *(natrium phosphoricum)* zmywa wiele atramentów.

* Część I w Drugim Almanachu „Świata Kobiecego".
** Według Waldheima i osobistych doświadczeń.

2) Zmyć wodnym roztworem wapna bielącego (chlorku wapna), potem rozcieńczonym kwasem octowym, wreszcie wodą. Wkońcu usunąć płyn bibułą. (Zmywanie uskuteczniać kawałkiem waty lub bibuły, wyciśniętej od nadmiaru płynu).

3) 80 g kwasu szczawiowego *(acidum oxalicum)* i 20 g tiosiarczanu sodowego *(natrium hyposulfurosum)* rozpuścić w 1 l wody. Zmoczyć roztworem plamę i osuszyć bibułą. Proceder ten powtarzać kilkakrotnie. Gdy po kilku razach jeszcze widoczne są ślady, zetrzeć po wyschnięciu gumą. Sposób ten nadaje się do wszystkich atramentów gallusowych i kampenowych *.

4) Atramenty żelazowo-gallusowe (bez barwika) dają się wywabiać z papieru 5% kwasem solnym, lub kwasem szczawiowym, także 10% roztworem chlorku cynowego *(stannum chloratum)* z dodatkiem kwasu solnego (ostatni sposób nadaje się też do atramentów z barwikiem) **.

O CZYSZCZENIU RĘKAWICZEK ***

Należy rozróżniać między metodami czyszczenia rękawiczek t. zw. duńskich, zamszowych i t. p. z jednej, a t. zw. angielskich, „*glacé*" z drugiej strony.

I. Rękawiczki duńskie etc.

1) Często wystarcza suche czyszczenie, a to przez pocieranie rękawiczki, włożonej na rękę, lub na formę drewnianą:

a) skórką podeschłej bułki.

b) szczotką, zanurzoną uprzednio do mieszaniny suchej, sproszkowanej, białej glinki i ałunu (roztartego).

2) Włożyć na kilka minut do zimnej wody, potem myć do czystości ciepłemi mydlinami z małym dodatkiem amonjaku, lub też mlekiem. Następnie wycisnąć płyn ręcznikami (nie wykręcać!). Dobrze jest po praniu włożyć rękawiczki do zamkniętego słoja ze spirytusem na kilkanaście godzin, potem wysuszyć w przewiewnem miejscu (nie na słońcu!).

* Pardeller.
** The Analyst. 33.
*** Według Focklera: Kunst- u. Feinwäscherei.

3) Zanurzyć na dzień (lub dłużej) do roztworu amonjaku (1 cz. handlowego amonjaku na 4 cz. wody), potem wypłókać zimną wodą i wysuszyć j. w. — Zaletą tej metody jest uniknięcie tarcia i naciągania, nieuniknionego przy praniu mydłem, a zmieniającego wygląd powierzchni rękawiczki.

II. Rękawiczki „glacé".

1) Na ręce lub na formie pocierać rękawiczkę łagodnie i zawsze w jednym kierunku gąbką, watą lub miękką szmatką, zmoczoną w mieszaninie spirytusu i olejku terpentynowego lub w benzolu (ostrożnie z ogniem: palne!). Po wyczyszczeniu zawiesić w przewiewnem miejscu dla wyschnięcia.

2) Rękawiczkę, rozpiętą j. w., powlec żółtkiem z jaja, po kilku minutach zmyć gąbką, zmoczoną w letniem mleku.

We wszystkich przypadkach przekonać się, czy barwa rękawiczek nie cierpi od odczynników (amonjak, spirytus, benzol itp.). Należy dotknąć patyczkiem lub końcem szmatki, zmoczonym daną substancją, jednego miejsca na rękawiczce. W wypadkach wątpliwych bezpieczniej jest oddać rękawiczki do zakładu chemicznego czyszczenia.

SKLEJANIE RÓŻNYCH PRZEDMIOTÓW

Poniższe przepisy tyczą się sporządzania z łatwo dostępnych materjałów środków do sklejania przełamów i pęknięć na materjałach najczęściej spotykanych w domowem gospodarstwie. Sposoby użycia podano tylko przy niektórych, gdyż te są naogół jednakowe i proste.

Pominięto przepisy na sporządzanie klejów, łatwo i tanio dostępnych w stanie gotowym w handlu, jako to: roztwór gumy arabskiej, roztwory dekstryny, kleje w rodzaju syndetikonu etc.

Trwały klej z krochmalu (do sklejania przedmiotów papierowych).

1 cz. krochmalu pszenicznego zarobić z 2—3 cz. wody na rzadkie ciasto i wlać do niego wśród mieszania 6—8 cz.

wrzącej wody. Dodać parę kropel formaliny dla zabezpieczenia od działania drobnoustrojów.

Kleje dla szkła, porcelany, metali.

1) (Szkło na szkle.) 5 cz. kauczuku i 1 cz. mastyksu rozpuścić w 4 cz. chloroformu. Pozostawić na kilka dni w ciepłem miejscu (ok. 40° C) do rozpuszczenia.

2) (Dla szkła, porcelany, mosiądzu.) 1 cz. sproszkowanej gumy arabskiej (najlepszej) i 4 cz. dobrze wypalonego, sproszkowanego gipsu alabastrowego, rozetrzeć z wodą zapomocą noża na płytce ze szkła matowego, do konsystencji gęstego ciasta. Nałożyć na powierzchnie sklejane, i pozostawić pod obciążeniem na 12—24 godz. w suchem miejscu. Wreszcie zdrapać wystający nadmiar kitu. — To sklejenie jest bardzo trwałe, jednak nie wytrzymuje wysokich temperatur i wilgoci.

3) (Dtto) 2 cz. azotanu wapniowego *(calcium nitricum)*, 20 cz. gumy arabskiej i 25 cz. wody utrzeć razem w moździerzu.

4) (Dla porcelany.) 3 cz. glejty ołowianej, 3 cz. białego piasku, 1 część białej żywicy zarobić na pastę z pokostem lnianym. Do użycia po 4 godz.

5) (Dtto) 40 cz. starego, chudego sera i 1 g sproszkowanego gaszonego wapna zarobić z wodą na gęste ciasto i zaraz powlec niem sklejane płaszczyzny.

6) Uniwersalny kit gipsowy (dla metali i szkła lub kamenia) : 21 cz. palonego gipsu, 3 cz. opiłek żelaznych, 10 cz. wody, 4 cz. białka z jaj kurzych.

Kleje dla drewna.

1) 1 cz. gaszonego, sproszkowanego wapna, 2 cz. mąki żytniej, 1 cz. pokostu lnianego, nieco umbry (farba mineralna).

2) 1 cz. kleju stolarskiego rozpuścić w 20 cz. gorącej wody — ewentualnie dodać drobnych trocin drzewnych.

Żelatyna chromowana (do uszczelniania korków, zalepiania pęknięć w naczyniach szklanych, porcelanowych, glinianych, metalowych).

4 cz. żelatyny rozpuścić w 32 cz. gorącej wody; roztwór zalać 1 cz. gliceryny i 1 cz. dwuchromianu amonowego.

Miejsce sklejane pociągnąć tą cieczą zapomocą pendzla i w ciągu 2 dni naświetlać na słońcu.

Uwaga: Przechowywać w ciemnem miejscu klej!

Sklejanie płyt marmurowych.

Wymieszać dokładnie 1 cz. kredy szlamowanej z 1 g cz. kaolinu i zarobić na rzadkie ciasto ze szkłem wodnem; pociągnąć sklejane powierzchnie — po uprzedniem ich ogrzaniu — silnie ścisnąć i pozostawić na 12 godzin do wyschnięcia.

Kleje dla przedmiotów rogowych i t. p.

1) Mastyks (odmiana żywicy) rozpuszczony w równej ilości pokostu lnianego.

2) 1 cz. szelaku, 1 cz. terpentyny weneckiej i 4 cz. spirytusu.

Kleje dla przedmiotów kościanych.

1) 1 cz. szelaku i 1 cz. terpentyny weneckiej rozpuścić w 2 cz. eteru — cieczą tą pociągnąć powierzchnie sklejane i ścisnąć.

2) 1 cz. surowego kauczuku rozpuścić w 1 cz. benzyny. Użycie j. w.

Kleje dla kości słoniowej.

1) 1 cz. białka kurzego i 3 cz. wody wymieszać z 3 cz. palonego gipsu na rzadkie ciasto. (Do sklejania 2 kawałków kości słoniowej.)

2) 1 cz. białego wosku, 1 cz. kalafonji i 1 cz. terpentyny — stopić razem i domieszać 1 cz. talku. (Do naklejania kości słoniowej na innych materjałach.)

Kleje dla celuloidu.

1) Pociągnąć powierzchnię przełomu jedną z następujących cieczy: aceton, mieszanina alkoholu i eteru (3:4), kwas octowy, octan etylowy (ester octowy), octan amylowy; po rozmiękczeniu, złączyć części i przycisnąć do zaschnięcia.

2) (Według Andèsa). 1 cz. kamfory, 1 cz. szelaku i 20 cz. spirytusu.

Kleje dla linoleum.

1) 20 cz. roztartej kalafonji ogrzać słabo z 5 cz. spirytusu — dodać 2—4 cz. oleju rycynowego.

2) 2 cz. surowej gutaperki rozpuścić w 9 cz. dwusiarczanu węgla.

Kleje dla przedmiotów kauczukowych.

1) Drobno sproszkowany szelak rozmiękczyć w wodnym roztworze amonjaku (około 25%-wym); otrzymaną galaretę podgrzać do rozpłynięcia się; zwilżyć nią sklejane powierzchnie i ścisnąć.

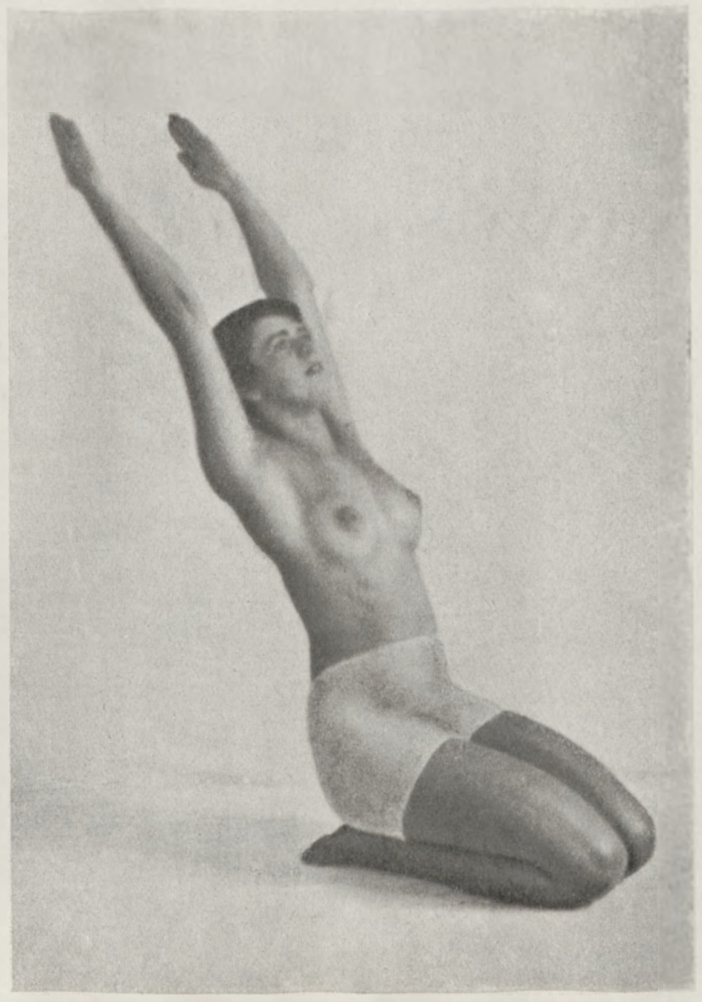
2) (Dla kaloszy etc.) 4 cz. gutaperki i 8 cz. kauczuku surowego rozpuścić w 30 cz. dwusiarczku węgla. Dodać 2 cz. kleju rybiego i wymieszać. Po sklejeniu najlepiej obwiązać przedmiot sznurkiem i pozostawić na 36—48 godzin. Potem odskrobać nożem nadmiar kleju.



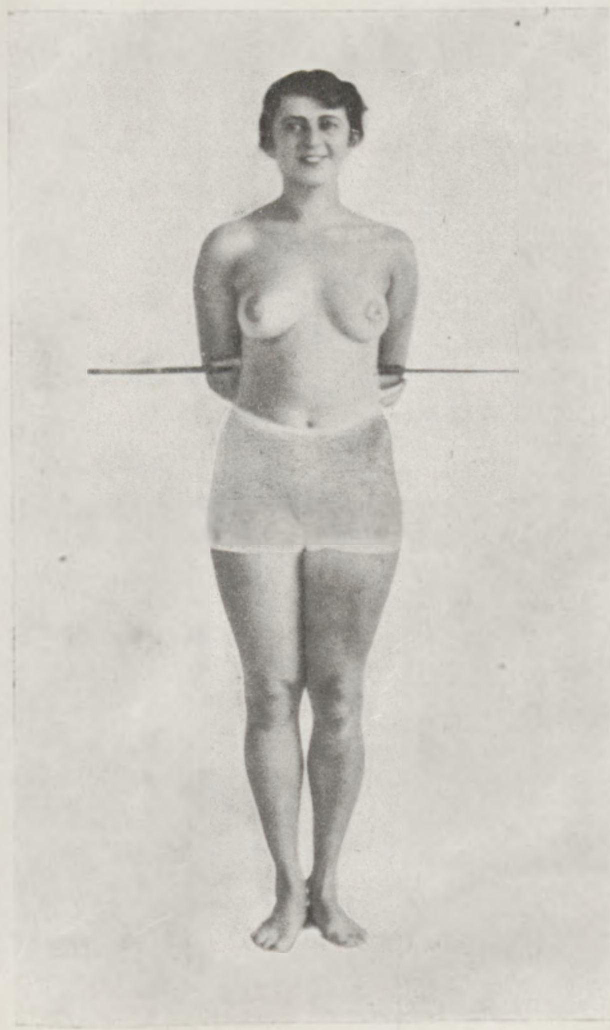
9. Krążenie tułowia, ręce na biodrach.



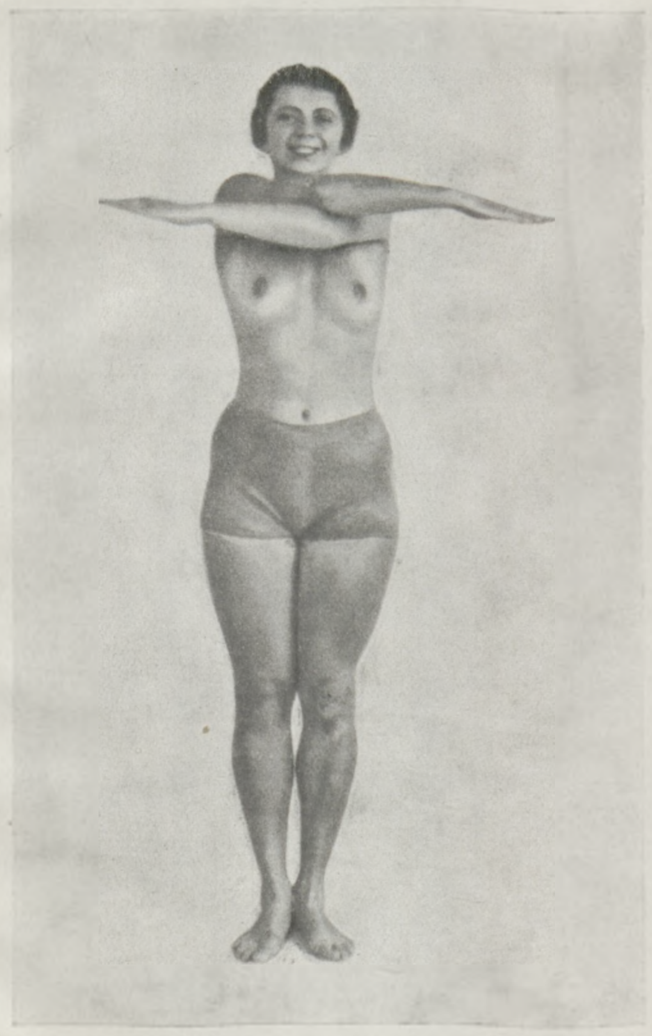
10. Wypad wbok lewą nogą, lekki skłon tułowia w prawo.



11. Siad klęczny, ramiona wwyż: lekki opad tułowia wtył.



12. Chód z drążkiem założonym za ramiona (w okolicy łokci).



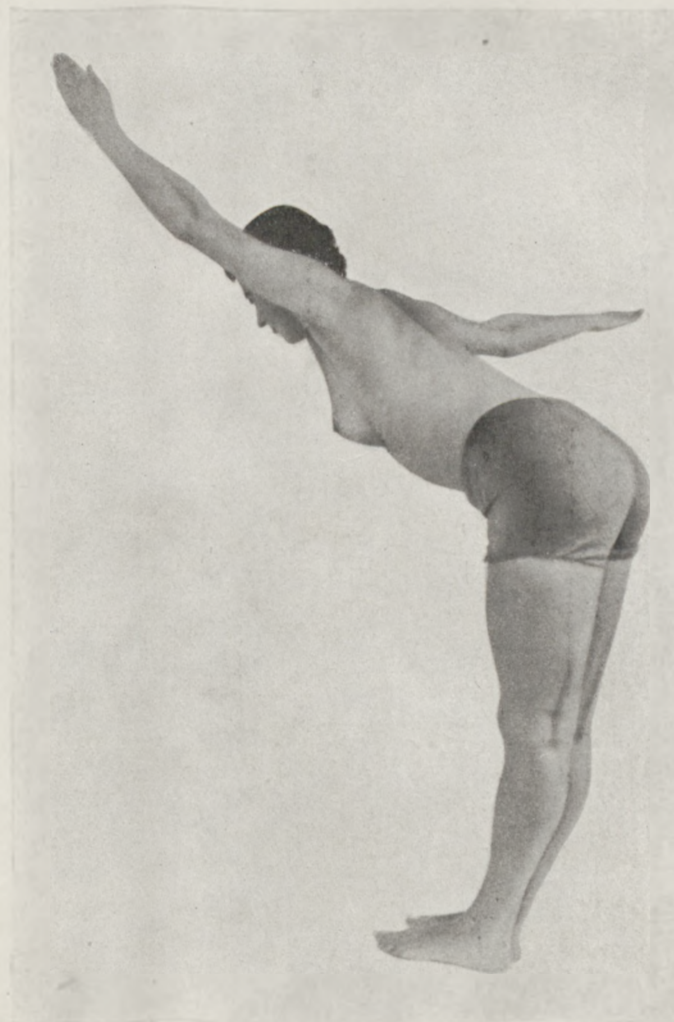
5. Z położenia ramiona wprzód (dłonie zwrócone do ziemi) zamachy ramion przodem skrzyżnie (na jednym poziomie).



6. Postawa — ramiona cofnięte wstecz (w tej postawie odwracanie dłoni nazewnątrz).

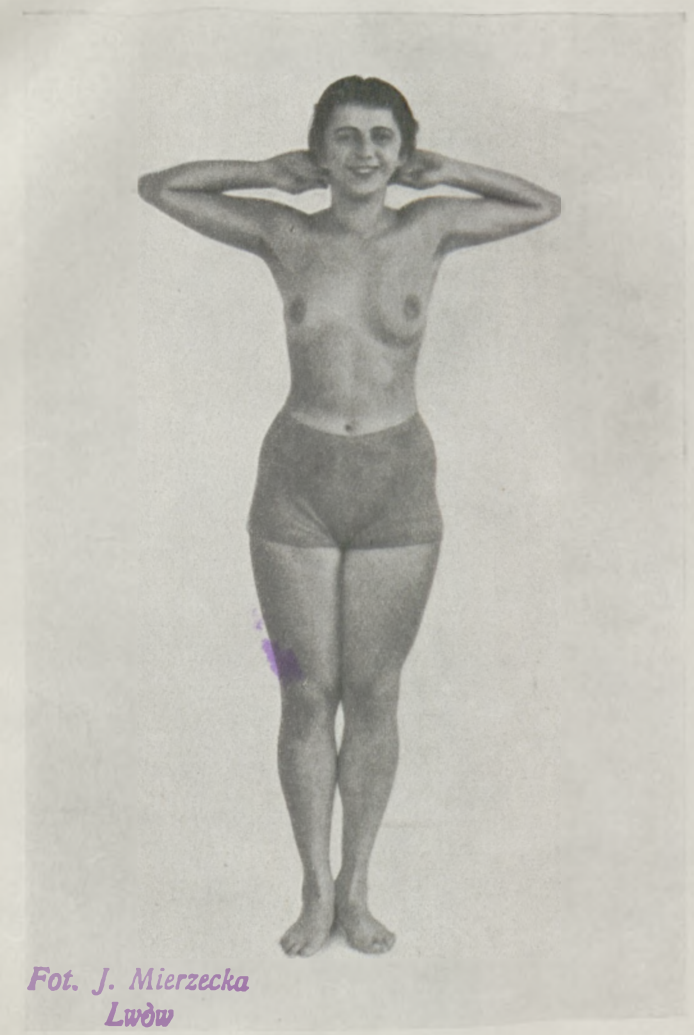


7. Wymachy ramion przodem wwyż (opuszczanie przodem wdół).



8. Opad tułowia wprzód, rzuty ramion (naprzemian: jedno wwyż, drugie wbok).

ĆWICZENIA DO ARTYKUŁU: „BIUST"

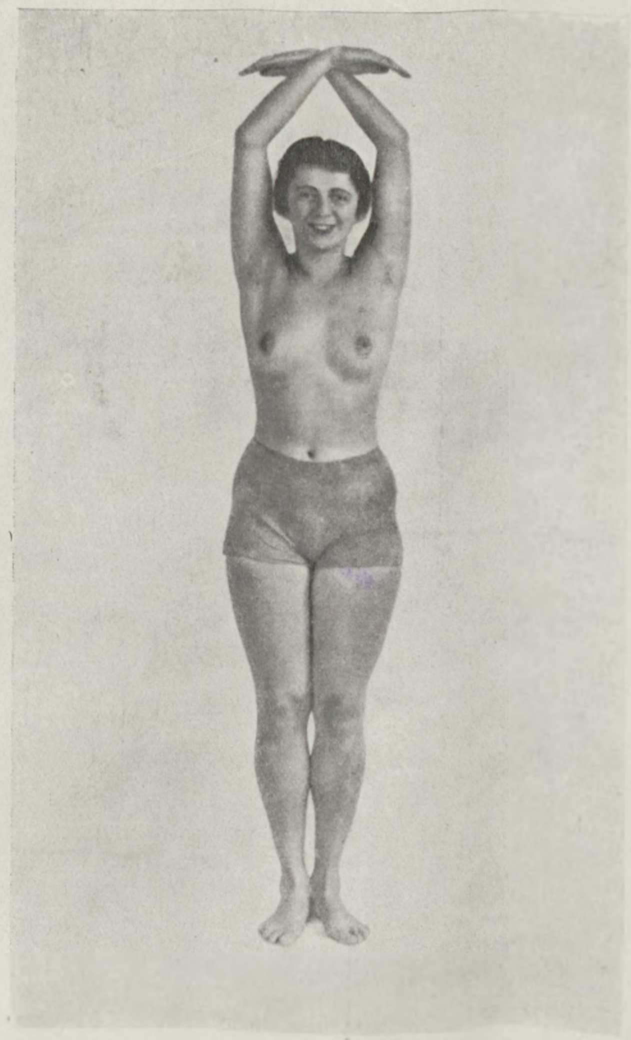


Fot. J. Mierzecka
Lwów

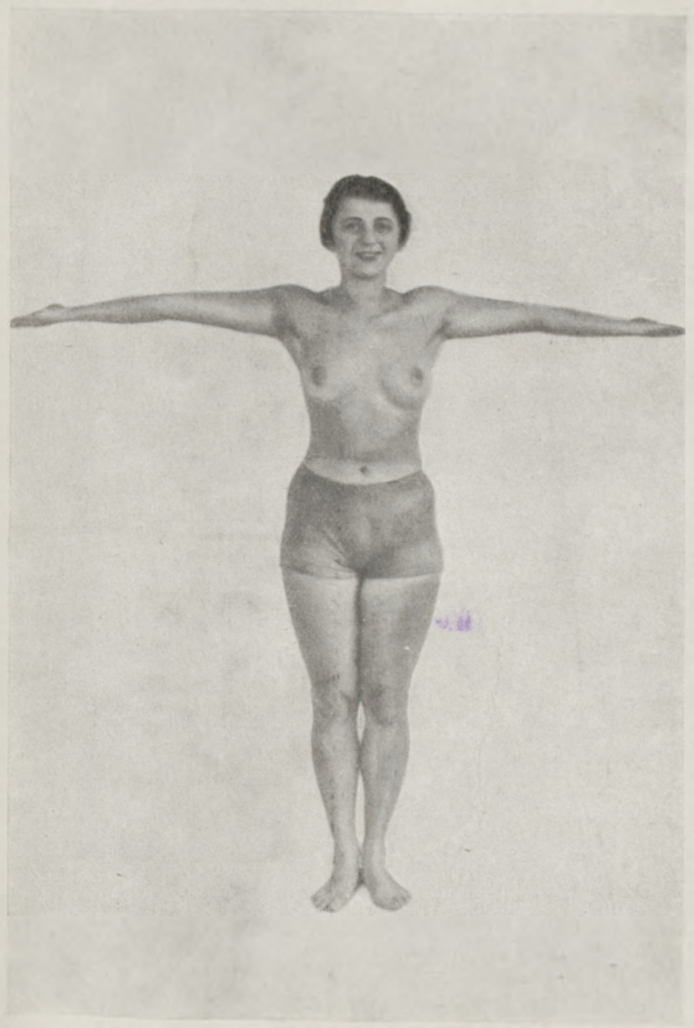
1. W postawie zasadniczej — ręce na kark



2. Postawa — ramiona wbok.



3. Z położenia ramiona wbok — krążenie ramion (wdół, do środka



4. Z

